

535
A

LISTY

DYONIZYI PONIATOWSKIEJ

DO

BOHDANA I JÓZEFA ZALESKICH

~~~~~  
TOM I.  
~~~~~

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900



DYONIZYA PONIATOWSKA

* 1816 † 1868.

LISTY DYONIZYI PONIATOWSKIEJ

DO

BOHDANA I JÓZEFA ZALESKICH

~~~~~  
TOM I.  
~~~~~

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1900



62634/1

K-114/76/64965

PRZEDMOWA.

Ogłaszając niniejsze listy pani Dyonizyi Poniatowskiej, pozostałe w papierach pośmiertnych Bohdana Zaleskiego, spełniam wyraźną Ojca mego wolę. Do tych listów dołączona była następująca notatka jego ręką skreślona: „W listach „Dyonizyi jest mądrość nie świecka, ale Boża: jakoby promieniujący Cherubin po swojemu przed Panem śpiewa jego „chwałę. Listy te tworzą niby ciąg zupełny filozofii chrześcijańskiej, filozofii samorodnej ukraińskiej, jak nasz step świeżej, „bujnej i bezbrzeżnej. Wydaje się, że ziemia przy niebie, „a niebo przy ziemi i jakby nie było między nimi rozdziału, „tak duma swobodnie i Bóg jej bliżej. Myśli jej, jako gwiazdy przewodniczki świecą mi z wysokości na bezdroża i każda sama w sobie jest światem gdzieś w rozstrzeniach i każda zapłodniona jest słowem Bożem“.

Bohdan Zaleski miał zamiar zająć się sam wydaniem tych listów, lecz stosunki rodzinne stały mu na przeszkodzie. Jak sam pisał w przedmowie do dzieła wydanego w 1875 r. p. t.: „*Bolesław Wstydlawy i Leszek Czarny*“, zakaz familii pani Poniatowskiej nie pozwalał uchylić osłony, pod którą musiała ukrywać się bezimiennosc autorki i zamykał usta wydawcy, który miał „tyle do powiedzenia“.

Dziś, znikły już przeszkody, które zmuszały do zatajenia nazwiska pani Dyonizyi Poniatowskiej, lecz zarazem ubyły prawie wszystkie osoby, które ją znały i mogły przeto dokładnie o niej pisać. Stając się wydawcą tych listów, nie chciałem ich puścić w świat bez krótkiego życiorysu ś. p. Dyonizyi; to też opierając się na zeznaniach piśmiennych i ustnych wiarogodnych świadków, zebrałem ile mogłem szczegółów ku oświeceniu jej żywota i wskazaniu główniejszych rysów charakteru.

Najstosowniej będzie na samym wstępie przytoczyć kilka ustępów z przedmowy napisanej przez Bohdana Zaleskiego do dzieła pani Poniatowskiej p. t.: „**Bolesław Wstydlivy i Leszek Czarny**“:

„Ś. p. autor nie był, chowaj Boże, nowicyuszem na polu „literackim, i owszem od najrańszych lat pracował dużo jako „publicysta, historyk i pisarz religijny. Myśliciel, podniosłego „ducha i zarazem niezłomnej prawowierności, brał on słowem, piórem i czynem gorący udział we wszystkich niemal „ważniejszych sprawach naszego wieku, a mianowicie w sprawach dotyczących się Kościoła i Polskiego Narodu. Wiele pism „polemicznych i moralnych, szerszych to szczuplejszych, ogłaszał wcześniej drukiem, bądź w osobnych dziełach, bądź po „dziennikach krajowych i zagranicznych. Na dziesiątek lat „przed śmiercią zamierzył był napisanie dziejów Lechii Wschodniej i Zachodniej w jednym całkowitem ich zestawieniu „i nakreślił sobie tę pracę wedle nowego ideału, zgodnego „z własnym jego sposobem widzenia rzeczy. W tym celu podejmował długie i sumienne studia, szperając z niezmiorną „wola i wytrwałością w księgach źródłowych, gromadząc ze dnia na dzień ogromne zasoby wiadomości potrzebnych do dzieła zakrojonego na wielkie rozmiary...”

....„Dzieje panowania Bolesława Wstydliwego i Leszka „Czarnego noszą także na sobie piętno improwizacji i niewykończenia. Zabrakło oczywiście autorowi czasu do syme-

„trycznego rozwinięcia, zaokrąglenia i powiązania ściślej „szego cząstek z całością. Jako wydawca, wskazuję tę ujemną „stronę pogrobowej pracy: ale jakże góruje ponad nią strona „jej dodatnia. Autor stoi na stanowisku czysto kościelnem „i katolickiem, na stanowisku tak wybitnie wyróżniającem „jego kartki od innych naszych pism dziejopisarskich. I jakież „w tych kartkach wysoki nastrój ducha! Ile głębokich „ostrzeżeń, ile wyblasków myśli nierzadko genialnych!”

...„Tyle o książce. Osobiście czuję ucisk wielki w sercu „na wspomnienie o człowieku, którego całą duszą miłowałem, wielbiłem, a o którym do czasu milczeć muszę. I za „prawdę bezdeń to melancholii, stać tak z palcem na ustach, „chłodnym, bezmownym, kiedy tyle byłoby do powiedzenia. „Bezimienny autor za żywota swego był mi druhem wiernym „i opiekuńczym, rozmodlonym aniołem w bolach i tęsknotach „na Tebaidzie tu mojej tułaczej“.

Teraz jeszcze kilka niezbędnych dla czytelnika objaśnień. Pierwsze listy pisane były po francusku, dla większej dogodności przetłómaczone zostały na język polski przez czcigodną panią Sewerynę Duchinińską, która ochoczo podjęła się tej pracy, za co składam jej najgłębsze podziękowanie.

Wszystkie prawie listy tu ogłoszone pisane były do Bohdana i do Józefa Zaleskich¹⁾; w niektórych z nich znajdują się wzmianki o osobach lub wypadkach, które tylko z domysłu odgadnąć można. Trzeba bowiem myślał przenieść się w czasy Mikołaja I i przypomnieć sobie jak trudne i niebezpieczne nawet było dla krajowców korespondowanie z emigrantami. Stosunek z wychodźcą był zakazany, przeto nazwisko jego musiało być opuszczone w listach. Nieraz lata miały bez wieści o tułaczcu, co też tłumaczy przerwy w kores-

¹⁾ Dołączono do zbioru kilkanaście listów do pani Iwanowskiej, do pani Rzewuskiej itd.; listy te były udzielone Bohdanowi Zaleskiemu kiedy bezpośrednia korespondencya była utrudnioną.

pondencyi. Matka pani Dyonizyi, Felicya Iwanowska i jej wujenka, Józefowa Zaleska zostały zesłane w głąb Rosyi w 1838 r., za utrzymywanie listownych stosunków z Józefem i z Bohdanem Zaleskimi. Pierwsza zesłana była do Kurska, gdzie straciła syna Rościsława; druga do Saratowa. Stąd owe ostrożności zachowane w listach, aby nikogo nie kompromitować i nie narażać. Korzystano ze sposobności, z pośrednictwa osoby wyjeżdżającej lub wracającej, by listy pewnie doszły do rąk przeznaczonych. Najczęściej pośredniczyła w tej korespondencyi siostra Dyonizyi, Pani Rzewuska ¹⁾, przez którą dochodziły wiadomości z kraju i wracały listy tułaczów. Dopiero kiedy państwo Poniatowscy wyjeżdżali za granicę, korespondencya mogła swobodnie się zawiązywać.

Szczegóły biograficzne o pani Dyonizyi Poniatowskiej nie są obfite. Pani Rzewuska, jej siostra, zamierzała napisać jej życiorys, lecz zapewne z powodów rodzinnych musiała odstąpić od swego zamiaru. Najobszerniejszy i najdokładniejszy materiał znajduje się w biografii skreślonej przez Helleniusza w dziele: „*Wspomnienia lat minionych*“, (tom 2-gi, str. 531) ²⁾.

Nazwisko Dyonizyi Poniatowskiej mało jest dotąd publiczności znane. Kto wie obecnie, że była ona autorką dzieł historycznych i licznych prac? Osoby żyjące w jej otoczeniu, w sąsiedztwie albo w stosunkach przyjaźni oceniały wysoko jej zdolności umysłowe i szlachetność serca. Sama posuwała skromność do najwyższego stopnia; nie pozwalała, by wzmiankowano o niej, by wspomniano jej prace i uczynki.

Dyonizya Poniatowska urodziła się 7/19 listopada 1816 r.

¹⁾ Konstancja hr. Rzewuska, siostra Dyonizyi, była także literatką. Wydała: „*Wspomnienia z młodości od r. 1830 do 1858 przez K. Nehemara*“. „*Wspomnienie pierwsze, Sylwia 2 tomy*“ (Lwów 1874 r.). Umarła w Narażówce, na Podolu 6 (18) stycznia 1880 r.

²⁾ Dzieło to wyszło w Krakowie w 1876 r., w księgarni W. Miłkowskiego.

w Kuryłówce na Podolu; była córką Dyonizego Iwanowskiego i Felicyi z Zaleskich, rodzonej siostry Józefa Zaleskiego.

Młodość przepędziła w domu rodzicielskim w Kuryłówce, gdzie pod okiem matki odebrała gruntowne i religijne wykształcenie. Guwernantka jej, pani Morland, emigrantka francuska, obznajmiła ją wcześniej z językiem i z literaturą francuską. Obdarzona bystrym umysłem i poetycką wyobraźnią, młoda uczennica łatwo przyjmowała nauki; czytywała książki z zapalem i wysnuwała z siebie myśli, które jasno wykladała.

Dyonizya zaślubiła 28 października 1832 r., hrabiego Dariusza Poniatowskiego, syna pułkownika Józefa, który, nabylszy znaczną część dóbr księcia Stanisława Poniatowskiego, leżących w powiecie Kaniowskim, na Ukrainie, doszedł mądrym gospodarstwem, rozumem i pracą do wielkiego majątku. Młoda Podolanka, bogata, uroczej piękności, wychodząc za mąż posiadała głęboką bogobojność i najszlachetniejsze przymioty duszy przejętej wiarą katolicką.

Wszedłszy do zamożnego domu Poniatowskich, stała się jego ozdobą. Przez jakiś czas błyszczała w świecie niepospolitą pięknnością, wysokiem wykształceniem i czarującym wpływem. Wkrótce wąż jej zdrowie zmusiło męża, który otaczał ją staraniami, do wyjazdu za granicę. Państwo Poniatowscy zatrzymali się przez dłuższy czas w Niemczech i osiedli w Mannheim, gdzie mieszkali generałostwo Szymanowscy. Pani Matylda Szymanowska była rodzoną siostrą Dariusza Poniatowskiego. W tem to mieście poznali się i zaprzyjaźnili z Zygmuntem Krasieńskim. Jednak jednym z celów podróży było spotkanie z Józefem Zaleskim, wujem Dyonizyi, dawnym wojskowym, który wzięwszy udział w powstaniu 1830 r., jako major wojsk polskich, musiał po jego upadku porzucić kraj rodzinny. Mieszkał on wówczas w Strasburgu, wraz z przybranym bratem a nieodstępny towarzysz, Bohdanem Zaleskim, z którym dzielił koleje życia tułackiego. Dopiero

w 1836 r. Dyonizya mogła się spotkać z ukochanym wujem, który ją opuścił dzieckiem i do którego miała wielkie przywiązanie. Po pierwszych uściskach, oznajmiła chęć poznania Bohdana, bawiącego w Molsheim i zajętego pisaniem poematu p. t. *Złota Duma*, w którym miał opiewać przechodzenie jednej duszy w różne ciała. Mimo kilkakrotnego wezwania Józefa, Bohdan głęboko zadumany a nie lubiący świata, nie chciał się oderwać od pracy; nareszcie dał się skłonić: we wrześniu 1836 r. przyjechał do Kehl, nad brzeg Renu, gdzie zamieszkiwali państwo Poniatowscy. Spotkanie młodej i pięknej Ukrainki, pełnej nastroju poetyckiego i religijnego, wywarło silne wrażenie na osamotnionym tułaczku. Odgłos tego spotkania znajdujemy w następujących wierszach:

„Ren gdzieś szumi ¹⁾

Żegna lubą swą w boleści
Więc i ona nie popieści?

Odtąd mętne życia fale
Mglą się straszniej itd.

Po kilku dniach spędzonych nad Renem, w miłym towarzystwie, wśród przypomnień Ukrainy, nastąpiło rozłączenie. Wróciwszy do cichego zakątka, Bohdan napisał poemat „*Duch od stepu*“, lecz oderwany od dawniejszego planu, niedokończył zaczętej poprzednio „*Złotej dumy*“.

Od tego czasu zawiązała się między Dyonizją Poniatowską i Bohdanem Zaleskim serdeczna przyjaźń, która przetrwała aż do śmierci. Odtąd Dyonizya stała się wierną i opiekuńczą siostrą, jak sam pisał: „rozmodlonym aniołem w bolach i tęsknotach na Tebaidzie tułaczek“; odtąd jest ona idealną Ukrainą, Zoryną wymarzoną w młodości.

¹⁾ Duch od Stepu.

W liście do Jana Koźmiana, Bohdan tak o niej się wyraża: „Dyonizya, to Ukraina moja wcielona, Duch od stepów! „Mało ją znalazłeś i w chwilach wcale niepociesznych. Żebyś ty „czytał jej pisma! Kiedyś pokażę ci jej różne uwagi o religii, „literaturze, filozofii, narodowości itp. Tyle tam natchnienia, „głębokości, blasku a przytem świeżości i prostoty, że klękać! „Taka wszędy świeża i nowa. I nie jest to uprzedzenie moje. „Niemal wszyscy poeci polscy poznali w niej i uczcili „ge-niusz“.

W poezjach Bohdana Zaleskiego są częste wzmianki o Dyonizyi Poniatowskiej i o jej matce, Felicji Iwanowskiej, a mianowicie w wierszach p. t.: „*Most kalinowy*“, „*Mara*“ i wielu innych. Im to został poświęcony poemat: „*Przenajświętsza rodzina*“. W rękopiśmie pieśni p. t.: „*Smutki*“, znajdując się następujące wiersze, które dopiero w dziełach pośmiertnych były ogłoszone ¹⁾:

Panie! o Panie! co się z niemi dzieje?
Wiesć stamtąd leci ustawnie tak smętna²⁾,
W łonie złowrózbe pobrzmiwają tętna,
Toż wypieszczone wielu dni nadzieje
W niwecz nie pójdą — rozwieją się pyłem
I znowu będę nędzarz — jako byłem?

Panie! od zgrozy kostnieje mi ciało
Miłość ku jednej³⁾, och miłość nie świecka
Jam ją ukochał nabożeństwem dziecka,
Co pieczętował matki nigdy nie zaznało!
Jak po modlitwie, uroczystości, święcie,
Biegliśmy wzajem splakani w objęcie.

¹⁾ Dzieła pośmiertne B. Z., tom I, str. 85.

²⁾ Aluzyja do wysłania w głąb Rosji pani Józefowej Zaleskiej i pani Felicji Iwanowskiej.

³⁾ Felicja Iwanowska.

I wtóram¹⁾ kochał, kochał niecielesnie!
Miłość ta wszczęta pod strażą Jezusa!
Naziemski, brudny ów owad, pokusa
Niepił krwi mojej na jawie i we śnie:
Och! nigdy w Panu nie złamał sojuszu,
Skinieniem oczu, lub słówkiem do uszu.

Ale najwierniej streszczone są uczucia poety dla przybranej siostry w wierszu napisanym w późniejszych już czasach p. t.: „*Po leciech ku Zorynie*“²⁾, który w rękopiśmie nosi tytuł: „*Polecenie Dumek*“ *pani Dyonizyi Poniatowskiej*:

Siostro, dwa duchy my bliźnie
Tyś rozmodlona — lat tyle
Wzlatasz ku wolnych ojczyźnie;
Ja rozśpiewany — na chwilę
W zaziemski żywot skrzydlaty
W żywot on spólny — pamiętasz?
W raj utracony przed laty,
Zdążam za tobą przez cmętarz.

Sny tu z z rajskiego ogrodu,
Porajskie żale i płacze
W pieśni skryształone, — od młodu
Dni umilały tułacze;
Dziś, gdy już gęsciej śnieg pruszy,
Nim ku cieplicom odlecę
Dumki, sieroty mej duszy
W twojej zostawiam opiece.

Wiązka zwiędłego ot kwiecia!
Mniejsza, że moi potomni
Jutro ją cisną na śmiecia!
Lecz Tobie ona przypomni
Wonią fiołków, konwalii
Oczarowanie tej wiosny

¹⁾ Dyonizya Poniatowska.

²⁾ Pisma J. B. Z., t. 4, str. 79 (Lwów 1877).

Co wciąż za nami z oddali
W rozgwar pobrzmiewa miłosny.

O byłoć ongi tu śpiewno!
W chorowód wieszczów dobrany
Z tobą ja, stepów królowno,
Przyzwał Rusalki, Hetmany:
Gęś złotostruna w mym ręku
Strojnje huczała do wtóru,
Aby żadnego rozdzwięku
Nie brakło Polsce do chóru.

Wszystko zamiera w jesieni:
Módlmyż się cicho i święcie!
Znikome cienie — do cieni
Nie uganiajmy w objęcie!
Ściszy i Dumki ptaszące
Aż odmłodniejem oboje
I z aniołami pod ręce
Odnajdziem gniazdko gdzieś swoje.

„Złączona była — pisze Helleniusz w wyżej wspomnianem „dziele — szczególną sympatją i pokrewieństwem z Bohdanem „Zaleskim, tak dalece, że te dwie dusze były jak dwa akordy, „które się w jeden głos zlewały; wszystkie najpiękniejsze pie- „śni Bohdana Zaleskiego były jakoby wypowiedzeniem jej „uczuć, zdaje się, że przez nią były natchnione. Kto czytał te „pieśni słowicze, pełne harmonii, piękności, wdzięku prawie „nieznanego w języku naszym, a słyszał p. Dyonizyę Ponia- „towską na Ukrainie o tradycjach i pieśniach ludu mówiącą, „uznawał, że to były dwa głosy jednego serca, jednej duszy, „kołysanej ukraińską piosenką“.

W grudniu 1836 r. Dyonizya powróciła na Ukrainę, do Tahańczy, majątku męża, gdzie zatrudniała się wychowaniem dzieci krewnych lub uczeniem dziatwy wiejskiej, dla której założyła szkołkę. Kiedy matka jej i wujenka zesłane zostały

w głąb Rosyi, podjęła się wychowania młodszej siostry Józefy i Franciszka Zaleskiego, syna Józefa.

Bądź z „Gniazdka“ (Kuryłówki)¹⁾, bądź „z domu“ (Tahancy)²⁾ pisywała listy pełne osłody, pocieszenia, spokoju, które spadały jak rosa na zbolale serca braci wygnańców, mieszkających samotnie w zacisznych i odludnych zakątkach Francyi i tęskniących za rodzinnymi stronami ukochanej Ukrainy. To też łatwo pojąć z jakim radośnem uczuciem oczekiwane i czytowane były te listy wśród pielgrzymki tułaczey, czy to w spokojnym Endoume, miasteczku nad skalistym brzegiem Morza Śródziemnego, czy w Fontainebleau, uroczym położonym pomiędzy lasami. Kiedy Bohdan nucił tęskne dумы i nosząc w sercu nieutulony żal po stracie ojczyzny, poddawał się smutkom, nadchodził z dalekich stron, z nad burzanów i stepów Ukrainy, miły i siostrzany głos, który rozgadał zachmurzone czoło, pokrzepiał zwątlone siły i wlewał w serce wiarę, miłość i nadzieję. Sam poeta opisał stan duszy w wierszu do Józefa Zaleskiego p. t.: „*Nasze Endoume*“³⁾.

Mój jednaku Józefie kochany,
W tem naszym Endoume sierocem,
Dwaj samotniki — jako pelikany,
Ku sobie jeno klekocem.
Morze i skały, kraj nagi, a pusty.
Co było wczora, toż dzisiaj,
Toż będzie jutro — a jākamy usta
Bóg, Polska, Mamcia⁴⁾ i Nisia⁵⁾.

.....

¹⁾ Majątek pani Iwanowskiej, dziś należy do p. Adama Orłowskiego.

²⁾ Majątek Poniatowskich, dziś w rękach hr. Buturlinów.

³⁾ Endoume, wioska niegdyś pod Marsylią, nad samem morzem, gdzie zamieszkiwali Zalescy w r. 1838, dziś jest przedmieściem Marsylii.

⁴⁾ Felicja Iwanowska.

⁵⁾ Dyonizya Poniatowska.

Burza nie codzień, Józefie, nie codzień
Bywa pogoda i tęcza!
O pożądany puka tam przychodzień¹⁾
I listy z kraju doręcza
Serca się nasze na falach unoszą —
Godujem, klaszczem ku sobie;
I niewspomniny pijani rozkoszą
Że chodzim w grubej żałobie.

Listy zaczynające się powitaniem młodziutkiej Ukrainki, obejmują cały niemal jej żywot i kończą się z jej śmiercią. Wskazują one myśli i uczucia, które duszę jej przepełniały, lecz mało zawierają szczegółów biograficznych o samej autorce. Niestety listy Bohdana, w odpowiedzi na nie, zostały zagubione i prawdopodobnie zniszczone. W każdym razie, mimo kilkoletnich starań, nie dały się dotychczas odszukać; ledwie udało się odnaleźć kilkanaście listów z ostatnich czasów. Cała korespondencya z pierwszych lat, najpiękniejsza i najważniejsza, musiała ulec zniszczeniu.

Życie Dyonizyi na Ukrainie było przepełnione różnymi obowiązkami, które nakładała na siebie. Kiedy mąż zwiedzał majątki i fabryki, ona siedząc w domu, uczyła wiejskie dzieci, pracowała umysłowo, odwiedzała wieśniaczki. Drogim był jej sercu lud ukraiński, do którego przywiązała się nad wszelki wyraz. Zamiast zabaw światowych, w dzień imienin Józefa i Bohdana, urządzała zabawę i ucztę dla wieśniaków. Wychowywała ubogie panienki sieroty, które przez kilkanaście lat we własnym domu na nauczycielki kształciła. Po skończeniu edukacyi, uposażała każdą i o każdej pamiętała. Nietylko starsze panienki uczyła katechizmu, ale i dzieci małe szlacheckie obojej płci. Napisała nawet katechizm również jak i „*Histories Polską*“²⁾ na użytek młodego pokolenia.

¹⁾ Listonosz często składał listy dla braci Zaleskich w skale pobliskiej ich domu w Endoume.

²⁾ Katechizm był drukowany, „*Dzieje Polski*“ leżą w rękopisie, rów-

Z boleścią patrzała na uciski jakie lud ponosił, gorąco pragnęła uwolnienia włościan i wszelkimi sposobami dążyła do tego kroku, wpływając na opinię publiczną i na znajomych; sama dawała przykład szlachetnego obchodzenia się z ludem wiejskim i błagała by z nim postępowano po bratersku. Okazywała swoją miłością dla ludu, jaki zbawienny wpływ można było mieć na Ukrainie. Czynem i słowem dawała przykład w sferze swej kobiecej działalności. Skąd p. Dyonizya czerpała te uczucia? Z własnego przedewszystkiem rozumu, ale prawdopodobnie jak to widać z jej listów i z natchnienia Bohdana i Józefa Zaleskich, którzy od najmłodszych lat przejęci gorącą miłością dla ludu, radzi byli ją przelać w wyższą duszę i czynem użyć.

„Kochała—pisze Helleniusz—lud ukraiński, z którym żyła, wśród którego się urodziła, sercem matki, myśli jej i uczucia zachwycające cechowały istotę nieskończenie duchowo i moralnie piękną. Pragnienie szczęścia ubogich i uciśnionych włościan było w niej silne, głębokie; miłość dla nich serdeczna, rzetelna i pełna prostoty; wtedy mówiąc półgłosem, wzruszała do łez. Główny jej wpływ był w żywym słowie, w widzialnem, iż tak rzekę, jakby słonecznem świeceniu się jej serca i ducha; wpływ jej żyjącego słowa był silny i rozległy, słyszano ją w kraju i na emigracji, nikt jej nie wyrównał i nie zastąpił. Towarzystwo jej było siłą dla ducha, światłem dla rozumu, zachwyceciem dla serca. W tym rozumie uczonym i jasnym, w sercu pełnem niewyczerpanej miłości, w uczuciu pięknem była silna i wyższa energia ducha, która widocznie rosła w miarę przybywających osób, które w niej pobudkę do wiary i szlachetności czerpały. Niezapomnianą jest ta niewiasta; godną była, aby dłużej ge-niuszu wyrzute były jej rysy“.

niez jak praca o „Sztuce“, której początek brakuje i kilka politycznych rozpraw.

„Konstanty Świdziński, najuczciwszy z ludzi naszego kraju, podziwiał jej erudycją, gruntowną znajomość dziejów polskich. Kroniki polskie, łacińskie znała wybornie, najzawilsze dziejowe kwestye treściwie rozjaśniała, była prawdziwym znawcą dziejów polskich i literatury polskiej. W przyjaznych była stosunkach z księdzem Stanisławem Chołojewskim, swym sąsiadem, najdostojniejszym kapłanem i pisarzem polskim, który w żarliwej wierze, dostojności osobistej wyrównywał wielkim mężom naszego Kościoła w XVI wieku, chętnie i często w towarzystwie p. Poniatowskiej przebywał. Wydrukował odpowiadź na uczynione mu przez nią zapytania. Prawdą i świętością katolickiego dogmatu Dyonizya Poniatowska najzupełniej do głębi ducha swego była przejęta, pojmując go w najsubtelniejszych odcieniach, w stosunku z każdym szczegółem życia ludzkiego, w sferze indywidualnej i społecznej. Duch i wpływ tej niewiasty były najzupełniej katolickie“.

Nie żyła dla siebie, poświęcała siebie na ofiarę Bogu; zapełniała swe serce miłością dla biednych. Bywało czasem, że w jej salonie zgromadzi się wiele gości, ona szybkim wzrokiem spojrzy na wszystkich, zauważy, że ktoś smutny, a oszukać jej w tem niepodobno było i dopóty pieści, prosi i zapłaczę razem, aż pocieszy.

Wbrew zamilowaniu ku rodzinnej ziemi, musiała wyjeżdżać za granicę, z powodu wątłego zdrowia. W 1842. r. przybyła do Rzymu, gdzie prawie cały rok spędziła, dojeżdżając niekiedy do Florencji, do ciotki Buturlinowej. W r. 1843. Józef i Bohdan Zalescy, przed wyjazdem do Ziemi Świętej, spędzili trzy miesiące z państwem Poniatowskimi w Rzymie¹⁾. Po użyciu wód w Schwalbach i kąpieli morskich w Ostendzie, Dyonizya powróciła do domu na Ukrainę w końcu r. 1843. trochę pokrzepiona na siłach fizycznych. Z powrotem, rozpo-

¹⁾ Listy Bohdana i Józefa Zaleskich, opisujące podróż do Ziemi Świętej, zostały z innymi prawdopodobnie zniszczone.

częła na nowo wiejskie życie, chętnie odwiedzała sąsiadów, a dobrem słowem i uczynkami wywierała wpływ na swoich i na lud. Zawiazała wtedy znajomość z Michałem Grabowskim, przyjacielem z lat młodości Bohdana; przez nią to odnowił się dawny stosunek między kolegami szkolnymi z Humaniana.

Nauka Andrzeja Towiańskiego znalazła w niej zaciętego wroga; opierając się na gruncie dogmatu katolickiego, walczyła przeciwko nowym teoryom. Liczne stosunki jakie miała na Ukrainie i na Podolu pozwalały jej oddziaływać korzystnie i skutecznie w tej mierze na obywatelstwo, a szczególnie na młodzież.

Tak dziesięć lat spędziła na Ukrainie, prowadząc na kresach życie niewiasty polskiej i katolickiej. Lecz piersi jej nie domagały; wkrótce tak groźne pokazały się symptomata, że doktorzy nakazali wyjazd na południe Europy, do cieplejszego kraju. Dyonizję, która dawniej tyle słynęła urodą, chorobą i cierpienia zmieniły do niepoznania. Bardzo bolesnem było rozłączenie się z ziemią rodzinną, której już nie miała obaczyć. W styczniu 1853 r., państwo Poniatowscy przyjechali do Rzymu, gdzie kilka lat przebyli czyniąc stąd wycieczki do wód i do Paryża.

W marcu 1853 r., po dziesięcioletniem niewidzeniu pani Dyonizyi Poniatowskiej, Bohdan Zaleski, który w ciągu tej pory zawarł był śluby małżeńskie z panną Zofią Rosengardtówną, udał się do Rzymu. W liście do żony tak się wyraża: „Nie zdołam wypowiedzieć co uczułem w sercu, na widok jej, „tak zmienionej po latach dziesięciu, żadnym sposobem uwierzyć nie mogłem, że to Dyzia. Podając rękę i w uściskach „powitania, jeszcze wątpilem, ażali ona. Po głosie dopiero, „a bardziej po świętej woni słów, poznałem naszego anioła. „Co to za okrutnik ten czas! Pustoszy naokoło nas i w nas „samych. Dyzię odarł aż do niepoznania, nie że wątpa, zwię- „dła, blada, ale rysy zmieniły się całkiem i zgrubiały. Dopiero

„kiedyśmy usiedli obok siebie i dłoń w dłoni jak przed laty „zaczęli rozmowę. Dyzia ożywiła się i odmłodziła, bo duch „zawsze jednak, ten sam na żywot i na wieczność. W przer- „wach cierpienia, kiedy jej ból niedokucza, improwizuje tak „piękne, święte, budujące rzeczy, że nasłuchać się nie można, „ani napatrzeć jej duchowej piękności. Z tem wszystkim ataki „to nerwowe, przemijające“.

Oslabienie przychodziło takie, że czasem przez miesiące zmuszoną była leżeć; mimo to, żyła w otoczeniu uczonych, oddając się pracom i studjom historycznym i religijnym, do których miała osobny popęd. „Najznakomitsi¹⁾ ludzie naszej „epoki skłaniali głowę przed panią Poniatowską. W Rzymie „była ona osią towarzystwa polskiego, węzłem kraju z ko- „ściołem, w kraju duszą życia katolickiego. Kryła się z przy- „miotami i talentami, w jakie ją Bóg hojnie uposażył. Pisała „dużo i znakomicie, ale choć wszyscy poeci polscy uznali ge- „nialność jej pióra, nie chciała nigdy uchylić tajemnicy. Zaledwie „po zgonie jej dowiedziano się, iż była czynną współpracow- „niczką *Przeglądu poznańskiego*. A co jej prac zniknęło i za- „ginęło o rzeczach polskich, o kwestyach duchowych i du- „chownych, katolickich i filozoficznych. Bohdan w niej upa- „trywał żywe wcielenie swojej Ukrainy, uosobienie Ducha od „Stepu. Józef Zaleski ukochanem zwał dzieckiem swoim, naj- „milszą Dyzią, bolejąc nad jej przedwczesnem uwiednięciem. „Zbyt ognista dusza rychło wątpie strawiła ciało. Zgasła „w kwiecie wieku, podobnie jak jej siostra Orłowska, ten „ideał kobiecego uroku, skromnego a pobożnego wdzięku, „której wizerunek pobożny w pismach O. Kajsiewicza odna- „leść można. Pani Rzewuska, mniej wysokiego od pani Po- „niatowskiej polotu, mniej cichego od pani Orłowskiej na- „stroju, bardziej od tamtych światowa, nie ustępowała im „pod względem serca“.

¹⁾ Bohdan Zaleski. „Przegląd polski“, styczeń, luty, marzec 1887 r.

Wówczas bawiło w Rzymie liczne towarzystwo polskie, a mianowicie generał Józef Szymanowski, szwagier Daryusza Poniatowskiego, Buturlinowie, szwagier i siostra Daryusza, Łubieńscy, Artur Kościelski, Olizar itd. Najczęstszymi gośćmi państwa Poniatowskich byli księża Zmartwychwstańcy, a szczególnie ksiądz Kajsiewicz, który o niej mawiał, że pani Poniatowska jest najrozumniejszą ze wszystkich kobiet, jakie w życiu spotkał, a nawet ze wszystkich, które dziś żyją. Teofil Lenartowicz, mieszkający wówczas we Włoszech, doznawał też najserdeczniejszego przyjęcia i opieki. Kardynałowie, dygnitarze kościoła, Montalembert i Ludwik Veuillot do jej salonu uczęszczali.

Zdrowie jednak ciągle niedomagało; w sierpniu 1853 r. doktorzy wysłali Dyonizję na kurację do wód Cauterets w Pyreneach. Podróż odbyła się wolno, w powozie. Państwu Poniatowskim towarzyszyli Józef Zaleski i ksiądz Hieronim Kajsiewicz. Tam, mimo stanu chorobliwego, mimo słabości, która chodzić niedozwalała, Dyonizya kazała się nosić do chorych, o osamotnieniu których wiedziała; przez parę godzin przy ich łóżku siadywała codziennie; namawiała do spowiedzi i do komunii, a po śmierci, ostatnie im oddawała usługi.

W listach Józefa Zaleskiego opisane są jej niezliczone uczynki. Przytoczę tu parę jeno ustępów:

Cauterets, 6 sierpnia 1853 r.

„Nasza kochana Dyzia ma się nibyto trochę lepiej, na chwilę bywa zdaje się rzeświejsza, czasem w przerwach od „świętego zamysłu, wraca na lica ów dawny dziewczęcy „uśmiech, z którym jej było tak ładnie; czasem przelotnie „miesza się do naszej gawędy, ale to nie na długo, bo jej „tchu na długo nie starczy, czasem się zrywa trochę chodzić, „to znów gra na fortepianie, czasem gadamy serdecznie o was, „o Ukrainie i o swoich dalekich; wtenczas myśl błyskiem „skupia, wszystko co było, co znikło, co już nigdy niewróci; „robi się w sercu naraz i błogo i smutno. Doprawdy, przy

„tej anielskiej duszy, staję się lepszym, staję się pokorniej- „szym przed Bogiem, uczę się lepiej modlić i lepiej kochać „ludzi. Ona bo już tak oczyściła sumienie, że stoi wciąż pra- „wie przed Bogiem i łatwiej z nim obcuje. Te zamyślanie „się, w które wpada, że niewie co się w około dzieje, to nie „więcej tylko ciągła modlitwa i miłość dla bliźnich. Zaraz „was samą rzeczą przekonam: kilka dni temu była ona w ta- „kim właśnie stanie zadumania, kiedy przyjechał tutaj dyli- „żansem jakiś porządny człowiek, zdawało się, że czerstwy „i mocnego złożenia; po długiem szukaniu mieszkania dla sie- „bie, znalazł mały pokój na trzecim piętrze, naprzeciw na- „szego domu i najął. Idąc po schodach dla zajęcia go, padł „bez zmysłów, zrobił się hałas, zwołano doktorów, między in- „nymi naszego, puszczone choremu raz i drugi krew, i zanie- „siono nieprzytomnego na łóżko. Było to w wieczór; naza- „jutrz zrana po kawie, ks. Hieronim, Daryusz i ja staliśmy „w oknie i gadaliśmy o tym wypadku. Dyzia siedziała po „swojemu na kanapie naprzeciw, zatopiona w głębokiej mo- „dlitwie i nie mogła słyszeć cośmy mówili, bośmy mówili ci- „cho. Wyszedł Daryusz i ks. Hieronim; a Dyzia, jakby myślą „z nieba ockniona, odezwała się do mnie: „Józefciu, ten czło- „wiek co tam choruje, jest to biedny sam jeden i nieznajomy „nikomu, może umiera, pójdź, zobacz czy nie można przy- „nieść mu jakiej pomocy albo usługi“. I zabłysło w jej oczach „takie święte uczucie, że mnie wskrósł niem przejęła. Uderzy- „łem się w pierś, czemu mnie samemu ta myśl nie przyszła „i poszedłem do chorego; niedługo po mnie przyszedł Da- „ryusz przysłany z krucyfiksem, ale już było zapóźno nawo- „ływać do życia, człowiek leżał bez przytomności i toczył „pianę skonań. Przy nim był ksiądz i jakaś babka, która się „na paciorkach modliła“.

2 września.

„Nasza Dyzia znacznie lepiej, już czwarty raz wczoraj „wieczór wróciła ze mną piechotą z Raillere, choć to wciąż



„z góry, a kiedyśmy tu przybyli, nie miała siły i dwóch minut „utrzymać się na nogach. Nagroził jej Bóg za dobry uczynek. Umarła tu temu trzy dni czy cztery, młoda 18-letnia „dziewczynka, hrabianka de Givry, przybyła sama z matką do „Paryża przed 6 tygodniami. Obie te panie nie miały nikogo „znajomego; prócz kilku doktorów, nikt u nich nie bywał. „Matka ze swoją córką chorą na suchoty gardlane, mieszkała „w jednym pokoju, który składał cały ich apartament; kiedy „już córka była bardzo źle, doktor nasz opowiadał jednego „wieczora do jakiego stopnia miłość matki może być ślepą, „kiedy chociaż jej to i mówią i sama widzi dobrze stan swego „dziecka, dotąd jeszcze nie wierzy, że już niema ratunku i że „śmierć dla jej córki tak blisko, owszem robi wciąż nowe „projekta, do jakich wód stąd pojedzie i o której porze na „przyszły rok znowu z córką tutaj powróci. — „A czy już „chora wypowiadała się?“ zapytała Dyzia. — „Nikt jeszcze „nie ośmielił się matce tego zaproponować“, odpowiedział „doktor. — Po wyjściu doktora, Dyzia zadysponowała nosi- „dła, przemogła prośbami opozycję Dariusza i kazała się za- „nieść do chorej. Odtąd przez siedm jeszcze dni życia niebo- „raczki, siadywała tam codziennie parę godzin; chora wypowia- „dała się, wszystkie Sakramenta przyjęła i spokojnie do samej „śmierci przytomna, w Bogu usnęła. We trzy dni potem przy- „jechał z Paryża biedny ojciec zmarłej, prawie na spotkanie „nas, niosących jego córkę do grobu. Oddał ostatnią usługę „dziecku swemu i zabrawszy żonę, zaraz wyjechał; jest to „pułkownik w służbie czynnej, z garnizonu paryskiego...”

W Paryżu, Dyonizya uczęszczała do bibliotek publicz- nych, ciągle robiła wypisy, wiele czasu poświęciła codziennej pracy nad historią, badając rękopisy i gromadząc materyały. Zapoznała się z Franciszkiem Duchieńskim, którego niektóre teorye się jej podobały, oraz z Vicquesnel'em, uczonym fran- cuskim. Wówczas napisała dziełko p. t.: *Rodowody słowiań- skie, Polska i Ruś* i toż samo po francusku: *Origines Slaves-*

Pologne et Ruthénie. W tem dziele streściła jasno i zwięźle różnicę pochodzenia, charakteru i dążeń między Polakami i Rusinami, oraz Moskalami.

Po pobycie w Paryżu, państwo Poniatowscy powrócili do Rzymu, gdzie z przerwami na wycieczki do wód przyby- wali do r. 1860. Co roku do nich dojeżdżała z kraju rodzina, Józef i Bohdan po kolei odwiedzali ich w odwiecznem mie- ście. Dyonizya zajmowała się żywo sprawami kościelnymi i traktowała z głęboką znajomością najwyższe kwestye teolo- giczne.

W r. 1860, po odbytej kuracyi w Vichy, państwo Po- niatowscy przenieśli się na stałe mieszkanie do Hyères. Ta miejscowość położona w ślicznym kraju, pod ciepłym pro- wanckiem słońcem, ochroniona wzgórzami od wiatrów północ- nych, jest znaną oddawna jako stacya klimakteryczna. Główne ulice miasta są osadzone palmami; pomarańcze, aloesy i inne rośliny rosną pod gołym niebem. Tu, w ciszy i w oddaleniu od świata, w otoczeniu rodziców, Dyonizya zdawała się wra- cać do zdrowia i swobodnie pracowała nad dziełami treści historycznej. Wysyłała korespondencye do dzienników krajo- wych i francuskich. Rozprawy polskie Dyonizyi były druko- wane w *Przeglądzie poznańskim*. Po francusku napisała bez liku artykułów i artykułików, ale ogłoszone bezimiennie w róż- nych dziennikach, mianowicie w *Univers*, w *Monde*, przepadły bez śladu.

Agaton Giller, znany patryota, cierpiący na piersi, prze- bywał w Hyères i doznawał serdecznego przyjęcia od rodziny Poniatowskich. Tak ich dom opisuje ¹⁾: „Hyères, małe mia- „steczko nad Śródziemnem morzem, słynie z pięknego poło- „żenia i łagodnego klimatu. Bohdan często w niem przeby- „wał, przyjeżdżając w odwiedziny do pani Felicji Iwanow- „skiej, siostry Józefa Zaleskiego i jej córki, Dyonizyi Ponia-

¹⁾ Bohdan Zaleski przez Agatona Gillera. Poznań 1882 r.

„towskiej. Z powodu braterstwa z Józefem i one zaliczały Bohdana do swojej rodziny i miały dla niego siostrzane dusze. Wielkiego wykształcenia i charakteru, dochowały mu, jak Józef Zaleski, aż do zgonu uczucia przyjaźni i rodzinnego przywiązania, biorąc w jego losach serdeczny i opiekuńczy udział“.

Bronisław Zaleski, sybirak, znakomity pisarz, redaktor *Roczników* Towarzystwa literacko-historycznego w Paryżu, spędził kilkakrotnie zimową porę w Hyères¹⁾, częstym był gościem u państwa Poniatowskich, u których zbierała się kolonia polska zimująca w tem uroczem ustroniu Francji; zachwycony był głębokością umysłu, wiedzą wszechstronną oraz nabożnością pani Dyonizyi, dla której zachował dożgonną cześć i uwielbienie.

Franciszek Duchiniński zimował także w Hyères; pracował on z Dyonizją nad dziełami historycznymi. Pani Seweryna Duchinińska wspomina o tym pobycie w tych słowach²⁾: „W Hyères przebywały dwie zamożne rodziny ukraińskie Poniatowskich i Iwanowskich. Pani Dyonizya Poniatowska, kobieta rozległej wiedzy, gorąca patriotka, знаła od lat kilku męża mego. Zachwycona jego historycznymi wywodami, przebywając czasowo w Paryżu, stała się gorliwą jego zwolenniczką i propagatorką głoszonych przezeń zasad... Odtąd rozwijająca się coraz bardziej piersiowa choroba zmusiła panią Poniatowską do stałego pobytu w Hyères. Tu pomimo zachwianego bardzo zdrowia, przedsięwzięła poważną i ob-

¹⁾ Hyères oddawna uczęszczane było przez Polaków, tam umarł w 1833 r. Kamil Mochnacki, brat Maurycego. Dziś Hyères stało się modną klimakteryczną stacją, liczy obecnie przeszło 15.000 mieszkańców, jedna z ulic nosi nazwisko Poniatowskich, na pamięć pobytu i dobroczynności państwa Daryuszostwa Poniatowskich.

²⁾ Seweryna Duchinińska. „Wspomnienia z 29-letniego pożycia z mężem swoim 1864—1893“. Paryż, Reiff 1894 r.

„szerną pracę także w języku francuskim. Przeprowadzała w niej chronologicznie historię walki cywilizacyjnej ludów aryjskich (oraczy) przeciw ludom pasterskim, pochodzenia turańskiego. Walkę tę pokazuje toczącą się przez wieki na rozdrożu dwóch światów, na kotlinie Dnieprowej. Żywiol aryjski, uosobiony w Lechitach, Rusinach i Litwinach, stawa naprzeciw sąsiedniej Moskwie, przedstawicielce Turanizmu. Praca ta genialnej kobiety jest potwierdzeniem wywodów mego męża“.

„Podczas pobytu naszego w Hyères, w r. 1865, niezmordowana autorka pracowała nad tem dziełem, dociągnięciem do dwóch obszernych tomów, a drukowaniem w lat kilka później, po jej śmierci“.

„Mąż mój znalazł się w Hyères, w żywiole zupełnie sobie odpowiednim. Całe poranki pracował z panią Poniatowską, odbywał z nią narady, pomagał w przekładach na język francuski *Statutu Wiślickiego* i innych niemniej ważnych dokumentów. Parę razy w tygodniu spędzaliśmy wieczory w domu p. Poniatowskiej. Mimo całej uczoności, wolna od wszelkiej pedanterii, była ona dziwnie uprzejma, pełna prostoty, pociągła ku sobie wszystkie serca. Rysy jej klasyczne, aczkolwiek wychudłe i zapadłe, zachowały przecież urok nieporównany. Ubiór zawsze staranny, a nawet wytworny, nacechowany artystycznym smakiem, pokrywał ślady trawiącej ją choroby. Oko czarne, błyszczące żarem, ożywiało tę piękną postać. Głęboko religijna, świadoma dogmatów wiary naszej, czego dowodem ułożony przez nią katechizm, potwierdzony przez cenzurę rzymską, roztaczała w koło siebie atmosferę świętobliwości“.

„Państwo Iwanowscy stale przebywali obok córki, on sam człowiek blisko 80-letni, lubił przypominać dawne czasy; czcigodna matka, pełna życia, zajmowała się piórem, ale na inszem polu. Celem jej pracy było spopularyzowanie Pisma

„świętego, dla zwykłych czytelników. Wkrótce po rozłączeniu „naszem, wydała dzieło swoje w 5 obszernych tomach“¹⁾.

Z innych osób, które wówczas mieszkaly w Hyères, nadmienić trzeba panią Konstancję Rzewuską, siostrę Dyonizyi i panią Cezarynę Gruszecką, ich krewną. Tak pani Iwanowska jak i jej dwie córki zajmowały się kwestyami literackimi, historycznymi i religijnymi. Wszystkie drukowały dzieła różnej treści, ale bez porównania nad nimi górowała pani Dyonizya.

Prace historyczne p. Dyonizyi miały obejmować zarys tworzenia się narodowości polskiej od IX wieku do połączenia wszystkich części Lechii w całość Rzeczypospolitej. Urywki z tych prac wyszły dopiero po śmierci autorki, także bezimiennie, niedokończone co do formy. Jedna z nich po polsku napisana, nosiła tytuł: „*Władysław Wstydlivy i Leszek Czarny*“²⁾ a druga francuska, miała nazwę: „*Luttes des Peuples Lechites contre les Ouraliens*“³⁾. Posiadając gruntownie język francuski i władając nim doskonale, sądziła, że pisząc równocześnie po francusku, przyczyni się do rozpowszechnienia historii Polski, tak mało znanej we Francyi. Bohdan Zaleski zamierzał wydać dzieła pani Dyonizyi Poniatowskiej, które miały obejmować „*Rodowody słowiańskie*“ i liczne rozprawy drukowane niegdyś w „*Przeglądzie poznańskim*“, a z których główniejsze były o Kościele, o Unii, o Rosyi i Rusi, o polityce carów, o Towiańszczyźnie, itd. „W rozprawach tych, pisał Bohdan Zaleski, są prawdy głębokie, cudośnie wyrozumowane, a budujące treścią i niewolące stylem polskim. Należy się jej braterskie odemnie uczczenie.

¹⁾ Dzieło p. Felicyi Iwanowskiej p. t.: *Słowa żywota*, wyszło w Krakowie w 1873 r. Ostatnie kartki tego dzieła, zawierające zwrot matki do tej umiłowanej córki oddają pięknie główne rysy charakteru i duszy Dyonizyi Poniatowskiej. Pani Iwanowska zakończyła życie w 1876 r. w Hyères.

²⁾ W księgarni luksemburskiej. Paryż 1875 r.

³⁾ 2 tomy. Paryż 1874 r. Imprimerie Simon Raçon et Comp.

„Owóż na sercu leży mi wydanie jej pism znanych i nieznanych. Na stare lata, to najpożyteczniejsza rzecz, jaką mogę „jeszcze przedsięwziąć dla kraju“. To wydanie niestety nie przyszło do skutku, zapewne z powodu obaw rodziny i takim sposobem stracona została możliwość zgromadzenia pism pani Dyonizyi.

O pracach historycznych p. Poniatowskiej, Agaton Giller tak się wyraża¹⁾: „W r. 1861, w Paryżu wydała dzieło: „*Pologne et Ruthénie, Origines Slaves*“²⁾, w którym faktami i dowodami, niemożącymi uleść zaprzeczeniu, autorka przedstawiała jasno i dobitnie różnicę Polski i Rusi od Moskwy i poparła dowody Duchńskiego. Inne jej dzieło, bardzo „obszerne, bo w dwóch tomach i także po francusku napisane“³⁾, podaje historię cywilizacyjnej walki narodów aryjskich z Uralcami, czyli z ludami turańskimi, to jest walkę „Polski, Litwy i Rusi z Moskwą. Dzieło to wielkiej wartości, „wzbogacone zostało przekładem na francuski język licznych „dokumentów, pomiędzy innemi „*Statutu Wiślickiego*“. Ktoby „wątpił o trafności poglądów Kijowianina, niechaj przeczyta „to dzieło genialnej kobiety, której uczoność mieli sposobność „ocenić najgłośniejsi i najznakomitsi uczeni francuscy i polscy. Obszerne opisy panowania Bolesława Wstydliwego przez „Daryuszowę Poniatowską po polsku napisany, wydał już po „jej śmierci Bohdan Zaleski w Paryżu. I to dzieło jest napisane według poglądów Duchńskiego, którego zasad broniąc, „rozwijala je dalej w różnych zastosowaniach“.

Śród prac przedsięwziętych zdrowie Dyonizyi coraz bardziej słabło. Mimo ciepłego klimatu i spokojnego życia, choroba piersiowa, którą oddawna była zagrożona i dla której

¹⁾ Giller. „O życiu i pracach Fr. Duchńskiego“. Lwów, str. 123.

²⁾ Paris. Typographie de Firmin Didot frères 1861. To samo dzieło po polsku wyszło w tym samym roku w Paryżu, drukowane u Martineta.

³⁾ „*Luttes des Peuples Lechites contre les Ouraliens*“ w Paryżu, 2 tomy. Imprimerie Simon Raçon et Comp. 1874.

musiała opuścić Ukrainę, niszczyła jej siły fizyczne. Mąż jej, Daryusz, często też niedomagał; przy końcu 1866 r., stan jego zdrowia znacznie się pogorszył. Dyonizya pielęgnowała męża, ale przez ten czas u niej suchoty gwałtownie się rozwinęły, z tak groźnymi oznakami, że nie było już nadziei zachowania jej przy życiu; ale, w miarę jak ciało słabło, tem silniejszą wydawała się na duszy. Przytomna, pogodna, pocieszając zboląłą matkę i rodzinę, budowała wszystkich podniesieniem ducha, rezygnacją chrześcijańską i spokojem.

Bolesny i razem budujący był widok małżonków leżących w przyległych pokojach, krzepiących się słowami otuchy i gotujących się na śmierć. Przez trzy tygodnie Dyonizya nie mogła się położyć, dni i noce spędzała w fotelu, bez żadnej skargi. Mówiła do osób ją otaczających: „Żle ze mną, ale nie „trzeba płakać, bo oczy potrzebne, trzeba pracować dla Boga“. Po przyjęciu ostatnich Sakramentów z pogodą i z pokojem, prosiła wszystkich o przebaczenie, rodziców, męża, sługi, a kiedy jej mąż powiedział, że się poddaje i zgadza z wolą Bożą, jakkolwiek rozporządził, czy ją, czy jego pierwszej żechce powołać do siebie, że za wszystko rękę jego błogosławić będzie, dziwnie radosny wyraz ożywił całą jej twarz: „Szczęśliwe uszy moje, rzekła, które te słowa usłyszały, jak wielkie jest miłosierdzie Boga, który daje taką pociechę niegodnej grzeszniczki“. Podziękowawszy wszystkim za modlitwy, usłyszała łkanie i powiedziała: „nie płaczcie, jest to chwila „najszcześliwsza mojego życia“.

Oslabienie coraz wzrastało, puchlina się powiększała, wzrok gasł, każdy wysiłek był opłacony wielką niemocą, jednak pisała różne listy, które miano oddać mężowi po jej śmierci. Nie przewidywała tego, że mąż ją uprzedzi. Daryusz Poniatowski pierwszy rozstał się z tym światem 14 grudnia 1867 r., w 62 roku życia. Konanie Dyonizyi było dłuższe, ciągnęło się jeszcze przez dwa prawie miesiące; wśród srogich

bólów, zachowywała zupełną przytomność, mając nieustanną modlitwę na ustach, oznajmując spokojnie ostatnie rozporządzenia. Już na łóżku śmiertelnym, kazała spalić rękopis powieści, którą była napisała w młodości; przypominała w liście do Bohdana Zaleskiego, że błędem było jego mniemanie, na którem miała się opierać „*Złota Duma*“, jakoby dusze ludzkie przechodzić miały przez różne ciała, polecała mu pocieszać bolejącą matkę, dyktowała rady i przestrogi dla rodziny i dla przyjaciół.

Dyonizya zgasła w Bogu 6 lutego 1868 r., w 52 roku życia. Zwłoki jej spoczywają obok męża i rodziców, w kaplicy szpitalnej w Hyères, gdzie napis łaciński i popiersia wyryte w marmurze dłutem Sosnowskiego, uwieczniają wśród obcych pamięć polskiej rodziny¹⁾. Sama bowiem przekazała w testamencie życzenie aby „ciała nie balsamowano i aby leżało gdzie mu Bóg rozkazał wrócić do prochu, czekając zmartwychwstania“.

Przedwczesna śmierć nie dozwoliła Dyonizyi Poniatowskiej dokończyć przedsięwziętych prac. Cokolwiek bądź, była

¹⁾ Napisy łacińskie są następujące:

Hic resurrecturi quiescunt nobiles Poloni Darius Poniatowski, natus an. Dm. MDCCCVI — mortuus XVI Dec. MDCCCLXVII.

Ejusque uxor, ut vitae ita mortis consors individua, Dionysia, ortu Iwanowska, nata VII Nov. MDCCCXVI — defuncta VI Febr. MDCCCLXVIII. Deo vixerunt. — Deo vivunt.

Tu pro eis orando, Pios advocatos tibi ipse concilia.

Hic in pace quiescit filiae generoque adpositus Dionysius Iwanowski, Eques Polonus qui octogenarius obdormivit in Dno, die XXII Jan. MDCCCLXIX. Orate Deum pro eo.

Hic in pace Domini requiescit Felicita Iwanowska, ortu Zaleska, in Polonia, obiit diem supremam in hac civitate Hyères anno Domini MDCCCLXXVI, die XIII Februarii. — Orate Deum pro ea.

ona kobietą wyższą, niepospolitego umysłu i charakteru, podniosłej duszy. Głęboko myśląca, wyobraźni poetyckiej, wysokiego nastroju religijnego, gorliwie zajmowała się kwestyami dotyczącymi wiary, kościoła, Polski i historii. Przy tem była skromną, dobroczynną, pełną dobroci i anielskiej słodyczy. Cierpiała na widok ucisku i prześladowania, wierzyła całą duszą w sprawiedliwość Boską, a przeto w zwycięstwo ostateczne dobrej sprawy. Zostawiła po sobie pamięć świętobliwej i wyższej istoty, choć unikała rozgłosu pomiędzy społecznymi.

„Umysł jej był głęboki, pisze Helleniusz¹⁾, gruntowny „i ścisły we wszystkich kwestyach, będących w obiegu; mówiła z namaszczeniem, z poczuciem prawdy, w duchu po- „bożności i najwyższej miłości Boga i religii katolickiej; z siłą „męską wykladała wielkie prawdy; zbijała sofizmata i błędy „w pojęciach naszego wieku logicznie i dzielnie. Wiele bar- „dzo umysłów oświeciła i wprowadziła na dobrą drogę; po- „dziwiająca była w tej młodej niewieście niepospolita siła ja- „snego rozumu, wsparta najrozleglejszą nauką, którąby się „najuczeńsi mężowie chlubić mogli. Była nieskończenie piękną „w obliczu, w sercu i w duszy; kto do niej się zbliżył, za- „chwycony był jej pięknnością; miała silne poczucie piękności „w dziejach, w sztuce, we wszystkim umiała ją dopatrzeć, „piękność przedstawiała w sposób żywy i przejmujący, wtedy „się rozjaśniało jej oblicze i świeciło pięknnością ducha, która „była jej naturą, istotnym przymiotem w rozumowaniach, „w wykładach i dowodach naukowych, mówiła jak surowy „mędrzec, nauczyciel i pisarz; wtedy ani przewidzieć było „można bogactwa, serca, piękności uczuć, do których gdy się „zwróciła, gdy je wypowiadała, mąż surowy ścisłej nauki „umilkł, a mówił najwznioslejszy poeta z najwyższą miłością „aniola, była zadziwiającą. Jej życie umysłowe coraz było

„wyższem i doskonalszem, ludzie najznakomitsi w kraju i za „granicą doskonalili się jej wpływem“.

Wiele lat już minęło jak Dyonizya Poniatowska usnęła snem wiecznym, śmierć wokoło srodze opustoszyła, to też listy jej okażą najlepiej, jaką ona była. Ogłaszając dziś te listy, spłacam zarazem pośmiertny dług ojca względem przybranej siostry, która mu tyle i tyloletnich dowodów przywiązania wyświadczyła. Bliższe zapoznanie się z wybraną istotą wyda może użyteczny plon i utrwali należną jej cześć. Miłą też sercu spełniam powinność, przyczyniając się do odżywienia tej zamglonej postaci, której wiara, rozum i serce raz jeszcze dla potomnych niezagasłym blaskiem zaświecą.

Dyonizy Zaleski.

¹⁾ „Wspomnienia lat minionych“ tom II, str. 531.

Do Bohdana Zaleskiego ¹⁾.

1835.

Bóg chciał aby wszystko co czyste i drogie sercu ludzkiemu, stało się dla mnie źródłem troski i udręczenia. Niech będzie Jego święta wola. Marzyłam z prawdziwą radością o przybyciu Józefa, który zostawił mnie młodem, swobodnem dzieckiem, z duszą pełną nadziei, z duszą dziś postarzałą, ale ukrzepioną i wzrosłą wśród czteroletnich męczeństw całego narodu. Ofiara miała być zupełna.

Wiadomość, że Józef jest u św. Pelagii ²⁾, gdy sądziłam, że go za chwilę ujrzę, bardzo dla mnie bolesna. Wy macie przynajmniej poczucie własnej siły, myśli wasze wolne i potężne uosabiają się w czynach, gdy tymczasem mnie biednej kobiecie dano tylko cierpieć w milczeniu i spokoju. Spokój w szczęściu, to niebo, ale któż odgadnie udręczenia istoty, która czuje, że nieszczęście nadchodzi, że niebawem dosięgnie ją sama, lub tych co drożsi jej nad życie, a nie śmie wyciągnąć rąk aby je oddać, nie śmie nawet wyszeptać słowa skargi. Krew za krew, łzy za łzy, cierpliwość i rezygnacya za pychę i tyranie. Niech Bóg je przyjmie, jako zadosyćuczynienie za winy ojców naszych.

¹⁾ Tłómaczenie z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

²⁾ Major Józef Zaleski został aresztowany i uwięziony u św. Pelagii, pod donosem konspiracyi przeciwko Ludwikowi Filipowi.

Potrafię zność z odwagą udział w boleści jaki mi przypadnie. Jeśli ci Panie, uciążliwym nie będzie stosunek z osobą, która dla ciebie istnieje zaledwie jako idea przyćmiona i daleka, pisuj do mnie, nie ukrywaj, uwierzę ci lepiej niż samemu Józefowi. Kochające jego serce chciałoby może oszczędzić mi cierpień. Mam dosyć hartu w duszy, gotowam na wszystko, zniosę wszystko!

Dobry panie, co było rzucać między nami lodowate słowo: „jestem dla pani obcym“. Nie jesteś bratem moim w Bogu, w cierpieniu, w nadziei, w miłości dla Józefa, bratem moim z Ukrainy, bratem moim ze stepów. Czyliżbyś nie zrozumiał duszy, ożywionej także tchnieniem Bożem, mniej szczęśliwej niż twoja, bo jak ty śpiewać nie umie.

Pragnęłabym ściągnąć na głowę twoją, wszelkie błogosławieństwa Boże, gdyż ty zadrżałeś na myśl samą przyczynienia nowych trosk nieznajomej. Ona ci to wypłaci, jedyną siłą jaką czuje w sobie, długą i gorącą modlitwą.

Dyonizya.

Moja ciotka słaba od kilku dni, nie może sama odpowiedzieć. Panie, za ziarnka świętej nauki, czeka i pragnie odplacenia.

Do Józefa Zaleskiego.

Mannheim, 27 listopada 1835.

Chwała Bogu, że mój ukochany wujaszek już wolny, a zatem będzie mógł widzieć się ze mną, gdzie mu to najlepiej wypadnie, byleby go wkrótce zobaczyła. Mogę opuścić Mannheim i pojechać gdzieindziej, jeśli to ci dogodniej. Piszę z radością, ze szczęściem, gdyż mój wujaszek wolny, a mam także dobre wieści z domu.

Proszę przyjechać, drogi wujaszku, tyle mam do opowiedzenia. Przyjeżdżajcie raczej, czekam na was obu. Nie

chcę zatrzymać się w Strassburgu, niechże tam już nikt nie zostaje. Il est juste que celui qui a partagé la peine, partage le bonheur, si toutefois ce qui est plaisir pour moi n'est pas peine et désagrément pour lui.

Kochany wujaszku, proszę zaraz odpisać, będę wyglądać i tego szczęścia. Całuję tysiąc razy mego wujaszka.

Dyżia.

Do Józefa Zaleskiego.

Mannheim, 27 grudnia 1835.

Nareszcie, mój dobry i kochany wujaszek jest w Strassburgu. Z pewnością was zobaczymy. Mimo długoletnich marzeń, teraz kiedy doczekałam się tego szczęścia, nie śmiem w nie wierzyć. Co wujaszek o niebezpieczeństwie pisze? Naprzód zdaje mi się, że dla nas żadnego być nie może; potem jak wujaszek może myśleć, że Dyżcia całą zimę przepędzi w Mannheim, a wujaszek Józio w Strassburgu, a dla uniknięcia trochę nieznaczącego ambarasu za powrotem do domu, pisywać tylko do siebie będą. Oto poddaję ku potwierdzeniu wujaszka. Ponieważ Daryusz dla mocnego uderzenia krwi do piersi, wyjeżdżać teraz nie może, czy nie mogłabym tu wyrobić rządowego pozwolenia na przyjazd was obu, choć na kilka dni do nas? Prawie pewną jestem, że je otrzymam. Można by prawdę powiedzieć, że cię niewinnie uwięziono i po usprawiedliwieniu uwolniono. Jeśli tak niedobrze, wujaszku, to tylko o dwa tygodnie później widzieć się będziem. Jak tylko Daryusz wyjeżdżać będzie mógł, napiszę gdzie się udać mamy, byle w Wielkim Księstwie Badeńskim; w ten moment przybędziemy. Wybieraj, wujaszku, najpewniejszy sposób; niech żadne względy nie przemagają nad tym najważniejszym. Całą zimę tu w tych stronach przepędzimy. Mamy więc dosyć czasu. Na Boga, wujaszku, namyśl się dobrze i ostrożnie dla

siebie. Niech ci nie przyjdzie niedorzeczna myśl narażenia się dla naszego bezpieczeństwa. Powtarzam, że się nam napewno nic nie stanie. Małe zajście byłoby tylko przykrością, a nie wiem jakby mnie okropnie bolało, gdyby cię z mojej przychyny miało spotkać coś z tego.

Mój dobry, kochany wujaszku, niech cię Bóg błogosławi i natchnie, jeszcze kilka dni i już was obaczę i będziecie z nami. Moja ciotka pozdrawia was z całego serca, a ja siadam na kolana u wujaszka jak przed 14 laty.

Daj Boże prędko już do Baden zawitać.

Dyzia.

Do Józefa Zaleskiego.

Mannheim, 1 lutego 1836.

Pisałam do mamci ¹⁾ i już wstawalam od stolika aby ubrać się na bal, kiedy przynoszą mi list twój, wujaszku. Zaraz ci odpisuję, niechże ta karteczka sprawi chwilę radości mojemu dobremu wujaszкови, podczas kiedy jutro spać jeszcze będę. Moje pismo podobne zupełnie do mamcinego, sądzę tedy, że musi być miłe wujaszкови. Daj Boże bym mogła się z wami spotkać, czekamy na pozwolenie dla wujaszka na przyjazd do Heidelberga, spodziewam się otrzymać je za parę dni. Potrzeba było dać twoje imię, wujaszku, i moje koło twego. Jeśli się co złego stanie, to przynajmniej razem. I nie będę miała gorzkiej myśli, że mnie dobrze, spokojnie, kiedy tobie źle, mój wujaszku. Byłabym już dawno u ciebie, ale zawsze się los sprzyśięga na mnie. Z początku Daryusz wyjeżdżać nie mógł, teraz ciocia Jaczewska na artrytyzm cierpi. Jak tylko pozwolenie uzyskam, dam ci znać, wujaszku, i zjedziemy się w Heidelbergu, stamtąd po kilku dniach odprowa-

¹⁾ Matka pani Poniatowskiej, Felicja Iwanowska.

dzimy cię do Kehl i zostaniemy tam razem, dopóki można będzie, może z miesiąc, da Bóg. Mój wujaszku, cobym ja mogła zrobić, żeby tobie nie tak tęskno było.

Całuję cię z duszy i z serca, mój kochany wujaszku. Co rana i co wieczora modlę się za was tak szczerze jak umiem. Adieu, que Dieu vous protège.

Dyzia.

Do Józefa Zaleskiego.

Mannheim, 18 lutego 1836.

Pomimo wszelkich starań, pozwolenia nam dać nie chcieli. Mniejsza o to, obejdziemy się bez tego. Mój wujaszku, dowiedziałam się pewnie, że najbezpieczniejsze miejsce dla nas wszystkich jest Lauterburg. 20-go tam będziemy, przybądźcież także oba. Kilka dni razem spędzonych, i to wielkie szczęście. Mój wujaszku, tak wielkie, że mi się wierzyć nie chce. Miałam listy niedawno, nasi wszyscy zdrowi i weseli, i Franio zdrów.

Mój jedynaku, mój drogi wujaszku z wąsikami, ja ciebie za dwa dni obaczę. Strach jak będę pieścić, za sześć lat. Do zobaczenia, jeśli pierwiej od was przyjedziemy, wszystko już dla was gotowe będzie. Pokój — cóż kiedy ja tam nie mam gościnnej pościeli, tylko brzydka niemiecka. — Fe! — Nie śmiej się, wujaszku, bo ja seryo mówię. Adieu, w sobotę się zjedziemy, w niedzielę w kościele będziemy razem.

Mój wujaszku, pierwszy raz od tak dawna pomodlimy się razem. Adieu.

Dyzia.

*Do pani Felicji Iwanowskiej*¹⁾.

Kissingen 24 lipca 1836.

W jakim usposobieniu serca byłaś, droga i ukochana mamciu, pisząc ostatni list do mnie? Rzekłby kto, że tyle złego wpadło ci w oczy, że uczułaś potrzebę ukołysać myśl w ideale dobrego; ależ tym ideałem ja nie jestem, mamciu droga! Chwila jeszcze, a gotowa jesteś widzieć mnie w duszy twojej, promieniającą darami niebios, jako anioła zesłanego na osłodę dni twoich! — Mamciu, płakałam, czytając twe słowa, ale ja nie jestem aniołem. Widzę wytkniętą mi drogę tak jasno, jak dano widzieć ją człowiekowi, a jednak zbaczam z niej bez ustanku. Ktoś wyrzekł: dobra wola, jeśli za nią w ślad nie idą dobre uczynki, to tylko próżność serca. Chciałabym abys mogła wyczytać w sercu mojem wszelkie złe, a uniknęłabys bolesnego zawodu, zgasłby ów przyzmat, jaki rozlacza w koło mnie oddalenie i przywykłaś do widoku niedoskonałości i słabości moich, o których tak chętnie zapominasz. Gdybyś ty знаła owe tysiączne, a tak drobne szaleństwa, co w biednej głowie mojej płaczą się jak arabeski i wężły trudne do rozwikłania. Czasem naprzykład mówię do siebie, że nie zajrzałam nigdy w głąb serca drugich, aby przez porównanie poznać co to jest miłość. Uczucie moje dla ciebie i innych jeszcze, nie jest może prawdziwem przywiązaniem. Może dusza moja z kamienia odbija tylko, jak zimne zwierciadło, to co pięknem jej się wydaje. Odbity obraz błyszczy dla świata, który widzi prąd żywotny w tem, co jest tylko cienką powłoką, on błyszczy dla wyobraźni mojej, która może się także myli i ów obraz zatrze się kiedyś, bo nie jest m n ą, jak malowidło zaciera się na płótnie. Mam ja chwile zwątpienia tak straszne, tak nadzwyczajne, że chciałabym zepchnąć je na dno duszy, aby nie narażać się na złośliwe żarty z mo-

jej affektacyi, lub na zarzut szaleństwa, wyrażony w pogardliwych słowach: „nikt jej zrozumieć nie może!“

Nie, mamciu, zaklinam się na wszystko co mi najświętsze, nigdy, dzięki Bogu, w najdrobniejszej rzeczy, nie zachwiała się wiara moja, coraz to głębiej niezłomne jej zasady wyciskają piętno na duszy mojej; bodajby wygryzły wszelkie złe, jakie w niej pozostało. Ale wątpię o sobie, o moich uczuciach, o cierpieniach przeszłych i obecnych. Bywa niekiedy, że płacząc zapytuję sama siebie, czy to prawda co ja przechodzę. Nie posądzaj mnie o szaleństwo, droga mamciu. Wtedy udręcza mnie myśl, że dusza moja niczem, wyobrażam sobie, że inni czują inaczej ode mnie, że obce dla mnie uczucia innych, zwane radością i zmartwieniem, że te wyrazy nie dadzą się zastosować do wzruszeń moich, że to co nazywam wzruszeniem, nie istnieje dla mnie, ale jest tylko ułudą wyobraźni. Nakoniec w głowie mojej powstaje myśl, żem ja po prostu posąg wykuty na podobieństwo człowieka, obdarzony jak on czuciem fizycznym i wyobraźnią, to jest zdolnością malowania w duchu i stosowania do siebie tych obrazów, że skutkiem tej zdolności, przyznaję sobie niekiedy poczucia moralne, jakie drudzy rzeczywiście posiadają: miłość, radość, zmartwienie. To przypomina jakąś straszną, fantastyczną powieść Hofmana, ale nie lękaj się, droga mamciu, to hallucynacya, sen na jawie, przez co tem okropniejszy. Szczęściem taki stan, trwa ledwie krótką chwilę, zresztą staram się oddziaływać rozumem przeciw niemu.

Szczególna tu nasuwa się uwaga, jeśli nigdy nie wątpiałam o moich złych uczuciach, to zapewne stąd, że ponieważ dobro nam wrodzone, nie czujemy go tak samo, jak nie czujemy oka w głowie. Cierpienie moralne, jest zatem walką pomiędzy d o b r e m, które stanowi samą istotę naszą, a złem, które nam obce i jak boleść fizyczna łamie tylko naturalny bieg rzeczy. W takim znaczeniu cierpienie uszlachetnia: im silniejsze, tem większy napotyka opór w sile żywotnej, stano-

¹⁾ Tłumaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchinińską.

więcej istotę naszą, w duchu Bożym, który żyje się, przy najmniejszym zetknięciu z duchem złego, z duchem materjalizmu, jeśli tak rzecz można. Taką była boleść pierwszego człowieka po upadku, gdy czysty zetknął się z nieczystością; to wiekuista prawda świata, że kara następuje za winę, jak skutek następstwem jest przyczyny, gdyż zło sprawia boleść dobru, jak ogień przez samo dotknięcie. Ale skąd pochodzi ta materya? czemu pocisk jej tak twardy dla ducha, który z samej istoty swojej powinien być jej panem? Czem jest ta siła grubiańska, co przykuwa do ziemi istotę z innych sfer, która patrzy w niebo, a nie ma dostatecznej woli, aby z radością porzucić miejsce cierpień? Czem jest to brutalne życie materyi, zwane szaleńcem namiętym, tak potężne, że wyrwało aniołów z łona szczęśliwości wiekuistej? czemu jest zło jednym słowem? Biblia nie mówi tego, a ja nie zapuszczam się nigdy w zrozumienie mojem, do wierzenia w to, czego ona nie uczy. Ale marząc niekiedy, wyobrażam sobie, że to synonim nicestwa, czem jest próżnia w przestrzeni, tem jest zło w duchu naszym. Nie ma rzeczy żywej, działającej, zwanej pychą, to tylko brak zupełny lub częściowy pokory, która jest cnotą, potęgą, gdyż pochodzi ze znajomości samego siebie, tego boskiego przywileju. Odrzucenie wszelkiej nienawiści, a w miejscu jej miłość, słowem to wszystko co dopomaga do wyrobienia w duszy świętości Bożej, jest siłą, cnotą, reszta nicestwem. Bóg sam posiada pełnię cnót, on wszystko może, oprócz mocy tworzenia bogów do siebie podobnych, gdyż nie byłby już jedynym, nie byłby już Bogiem. Gdzie nie ma pełni, tam mniej więcej jest próżnia. Niedoskonałość wszelkich stworzonych istot, wola, wysiłki cnót do zapełnienia tej próżni, starcie, wstręt wzajemny między dwoma pierwiastkami, to walka, to boleść, walka niebezpieczna, bo próżnia stawia opór dobru, stąd właśnie, że niem nie jest, wstrętną mu z samej natury swojej. Jeżeli wola słabnie, jeżeli próżnia zwyciężyła, tam dobro być

nie może. Duch Boży usuwa się, przez to samo istota ludzka rzuconą bywa na pastwę złemu, to jest pozbawioną właściwego sobie żywiołu piękna i dobra. Ale jeżeli wola, ta potęga wypływająca z każdej istoty ludzkiej, w miarę wielkości jej cnót, ta realizacja wszystkich cnót wiedzy, jeśli ta kierownicza co zakreśla drogi w przestrzeni i w czasie, jeśli ta broń straszliwa pokona próżnię, wtedy istota ludzka zupełną jest i pogrąża się w Bogu, a Bóg napęnia ją szczęściem błogosławionych.

Oto jedno z niezliczonych marzeń moich. Mamciu droga, błagam cię, nie snuj wątku na tym temacie tak bogatym, o początku rzeczy, on już obłąkał tyłu, od pierwszych czasów chrześcijaństwa. Ja zamykam oczy i wierzę temu w co nakazuje wierzyć nam kościół katolicki i lękam się obudzić w nim idei niezgodnych z tą wiarą obowiązkową. O! niechże nie mam na sumieniu, mamciu droga, że ci ukazała ten owoc zakazany. Mówiłam to po prostu, bo wszystko co przeżyła przez głowę twojej Dyzi, defiluje zawsze przed oczyma twojemi, oddaję wszystko pod sąd twój, dobro, zło, marzenia szaleństwa, słowem wszystko!

Powracając do wątpliwości moich o sobie, lękam się wrażenia, jakie na ciebie sprawi stan umysłu mego, droga mamciu. Nie trwoż się, bom ja nie często w takim stanie. Chciałam tylko ukazać ci najczarniejszy zakątek duszy mojej i zniszczyć tę aureolę, jaką mnie otaczasz z daleka. Nie chciałabym odbierać ci ułudy, która daje ci szczęście; ale gdyby zasłona pokrywająca moje słabości i wady, (jakie przypuszczasz tylko w teorii), miała się nagle rozdrzeć, cierpiałabys tysiąc razy więcej. Na ten raz, wyznanie pokorne win, lepiej posłuży spowiednikowi, niżli penitentowi. Pycha ludzka wszędzie się wciska; więcej jej czasem w rzeczeniu się, niż w przyjęciu przyznawanej sobie zasługi, jakiej nie czujemy się godni.

Jak ci podziękować, mamciu droga, że mnie tak ko-

chasz, a przez to widzisz we mnie wyobrażenie dobra. Mamci, niech co chcą prawią moje nedorzeczne hallucynacje, ja dobrze wiem, że cię kocham. Cieszę się radością twoją, płaczę na twe cierpienia, czuję to co mnie spotyka o tyle, o ile to ciebie dotyczy. Rzekłby kto, że cała moja czułość fizyczna, i moralna, nie leży we mnie, ale w tobie. O! ja cię bardzo kocham, lękam się czym cię nie zmartwiła tym listem, mam ochotę go podrzeć. Czy znasz mnie dosyć, mamciu, aby od razu dostrzedz ile jest miłości dla ciebie w tem właśnie, że nie chcę być ideałem twoim? Mój Boże! Mamciu, ja upadam na kolana przed tobą, patrzę ci w oczy, ściskam cię, bo nie mam słów dość słodkich na podziękowanie ci za to, co wypłynęło z głębi serca twego, kiedy pisałaś do mnie, ale nie chcę sprawiać ci zawodu.

Niech Bóg odplaci tysiąc razy, mamciu, szczęście jakie przyniosły mi listy twoje; niech wszyscy aniołowie niebiescy kochają cię za twoją Dyzię.

Czy otrzymałaś dwa ostatnie listy moje? Jutro o dziewiątej, będziemy w drodze do Schwalbach. Jakkolwiek mam tu kilka znajomości niemieckich, angielskich, nie żałuję nikogo. Moja dobra Landgrafowa hesko-rotemburska wyjechała. Doznaję tylko smętnego wrażenia, jakie sprawia zawsze na nas opuszczenie miejsc nawet obojętnych, których pewno już nie zobaczymy.

Czy doprawdy istnieje w świecie tak mało sympatii pomiędzy ludźmi, czy też mam obwinać o to właściwy stan umysłu i wrażeń moich? Czemu z tylu osób, które widywałam przez ten rok, tak mało pozostało mi w pamięci? Wszędzie i zawsze lód pod kwiatami. Nic nie wypływa z głębi duszy, a więc nie przemawia do umysłu, inaczej, jak książka lub posąg w banalny i jednostajny sposób. Ze wszystkich moich znajomych w Niemczech, trzy imiona tylko pozostały w pamięci mojej: owego kurlandczyka B., o którym pisałam ci w jednym liście, panny Sharp, młodej angielski, z którą

przebyłam zimę i Krasińskiego ¹⁾, z którym ciotka moja i ja spędziłyśmy długie godziny na rozmowie. To człowiek pełen rozumu i talentu. Resztę szczegółów o tych osobach bardziej zajmujących niż cała masa cudzoziemców, zostawiam na później, do chwili kiedy cię uścisknę, kiedy będę przy tobie.

Radabym wiedzieć czy wyjechałaś już, mamciu? czy jesteś spokojna? Jakżebym pragnęła oddać ci moją część spokoju i szczęścia na tym świecie!

Żegnam cię, mamciu droga, niech cię ten list nie zmartwi. Błagam cię, odegnaj złe myśli, jakie mógłby ci nasunąć. Mój aniele, moje życie, ty uosobione szczęście moje, nie miej żalu za nic, nie gniewaj się na mnie, niech ten list nie zadrażni uczuć twoich; ten list, to dług sumienia, a nie dowód niewdzięczności. Mamciu! tyś drugą mną! Całuję ręce twoje i nogi, ściskam cię z głębi kochającej duszy. Twoja

Dyzia.

Spotkałam tu Krügera z Berlina, który naszkicował portret Daryusza. Mówił, że portret mój skończony, że Begas prześcignął w nim sam siebie, że wymalował pyszny obraz, że cały Berlin zbiega się do jego pracowni, tak to utwór znakomity. Byleby tylko doszedł szczęśliwie do kraju!

Do pani Felicji Iwanowskiej ²⁾.

Schwalbach 29 lipca 1836.

Mamciu droga, od dwóch dni rozgościłam się w Schwalbach, miejscu ponurem, milczącym i dziwnie nudnem. PP. Northey i Warburton, jedyni znajomi jakich tu spotkałam, odjeżdżają jutro, zostanę więc sama, bo dziś rano u źródła, odbyłam przegląd całego żywego kalejdoskopu i żadna twarz

¹⁾ Zygmunt.

²⁾ Tłómaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchinią.

nie pociągnęła mnie ku sobie, nie obudziła najmniejszej ciekawości. Przechadzki rozległe, mało kogo spotkać tu można. Mam więc nadzieję, że uniknę kilkodniowych stosunków, nudnych i zabierających czas na próżno. Sześć tygodni samotności, wcale mnie nie przestrasza. Umieć oddawna pobratać się z czterema ścianami pustego pokoju, a jeżeli sięgnę pamięcią w dawne wspomnienia, kto wie czy im nie zawdzięczam najlepszych godzin w życiu mojem.

Świat marzeń piękniejszy od świata rzeczywistego, w którym żelazne jarzmo wprzęgą razem do dźwigania jednego ciężaru, pogania tąż samą koleją, obojętność i zapal, ciemnotę i poświęcenie, piękno i nędzotę; gdzie wszystko zniwelowane, ułożone, gładkie, ni zimne, ni ciepłe; gdzie wszystko co wielkie roztrąca się i dostraja do zwykłej miary. O! marzenie, marzenie! ta zdobycz wspaniała, wyrwana światu, jego konwenansom, ten raj młodych, którzy zachowali jeszcze odblask idealnego piękna, dziedzina tych wszystkich, których świat rani i smuci, dziedzina nieszczęśliwych, którym boleść pozostawiła iskierkę życia, a szczególnie kobiet, tych biednych niewolnic z duszą uwięzioną, dla których wszystko zbrodnią, nawet proste pragnienie woli i swobodnego czynu!

Kto może obliczyć ogrom tego świata marzeń, co się unosi ponad głowami naszymi, a wypływa z głębi dusz naszych jako wiekuiste westchnienie ku nieskończoności, jako miejsce pośrednie między niebem niedościgłym dla oczu naszych, a krwawem bagniskiem, od którego człowiek odwraca się ze zgrozą. Marzenie, to wieczność, to niezmierzony obszar dostępny dla myśli, to świat nadmysłowy, to spoczynek po trudach, to czarodziejski ruch obu, ukrzepiający duszę, bo jej ukazuje cel pewny, wyższy i dalszy od ziemskich celów! Drogo czasami przychodzi okupić tę radość, straszna to bowiem chwila, kiedy rozedrze się zasłona nad promienistym urojeniem i prawda rzeczywista całem brzemieniem upadnie na serce, wtedy gdy biedne to serce, istny więzień, śniło o wol-

ności i zbudziło się na poszczęk łańcucha, w swem ciasnem i ciemnem więzieniu. Wówczas to upada wszelkie rozumowanie, potrzeba wiary, tej jedynej uchrony przed rozpaczą. Ofiara, to warunek każdego społeczeństwa, a każda ofiara pociąga za sobą krwawą część wewnętrznego życia naszego. Chrystus poświęcił się w okup za świat cały; za jego przykładem, w każdym gronie ludzkim, w społeczeństwie czy też w rodzinie, są istoty skazane na ofiarę. Aby jedni swobodnie używali, nieszczęśliwi muszą cierpieć w milczeniu; aby utorować światu bezpieczną drogę przez pasmo wieków, muszą trupy i nędze wszelkiego rodzaju zawalić głębokie oteclanie. Młoda dziewczyna, gdy przez posłuszeństwo wchodzi w małżeńskie śluby, siostra miłosierdzia gdy pielęgnuje chorych, żołnierz zagrzebany w armii, wszyscy ulegają temu prawu, niewzruszonemu w całym paśmie wieków, z odmianami bez liku; — od drobnych względów towarzyskich, do zupełnego zrzeczenia się wszelkiej indywidualności, — a każda ofiara, to ruina podwalin, na których unoszą się marzenia, to podmuch, który gasi cel idealny i zamyka na zawsze szczęśliwość tego świata.

Chrystus przynosząc nam słodką i miłościwą wiarę, potępiając gwałty i zniewagi, oswobodził ziemię od zbrodni a niebo od przekleństwa. Ale konieczne prawo ofiary pozostało zawsze toż samo, tylko role zmienione. Rola czynna nie należy już do tego kto korzysta, ale do ofiar, które są poświęcone dobrowolnie; gdzie był gwałt ciemieży, tam dziś zasługa męczennika. Co było niegdyś niesprawiedliwością i nieszczęściem, jest dziś powołaniem, powinnością. A jakież to poświęcenie, o mój Boże, owych tysiąca istot, co umierają aby drugie żyły, co wyrzekają się wszystkiego, skazują się na śmierć moralną, stokroć sroższą od tej, która zabija ciało, gdyż ból ich odradza się bezustanku i dręczy ich wyrzut, że mogą żyć jeszcze!

Taką śmiercią umarła Maryla, i nie tylko Maryla ale

wszystkie Maryle na świecie. Każda kobieta, co przenikliwym okiem oblicza swoje wdzięki, swoje marzenia, swe porywy, swą siłę wiary, która wobec szlachetnych swoich zasad, widzi świat przed sobą, świat z ponętnem niebezpieczeństwem, z upajającą walką, widzi piękne pasmo dni, pełne żywotnych idei i czynów, a dalej, dalej spostrzega błyszczącą aureolę tryumfującego piękna, lub rozgłosny upadek piękna pokonanego, ta kobieta z palącą pieczęcią dwudziestu lat na czole, o cóż uderzy niezłomną wolą swoją? Czyliż o jakie święte słowa, zapisane w księdze ludzkich cierpień? I odwraca głowę, by nie widzieć czarodziejskich urojeń, radaby zatrzeć się w swej myśli, aby nie podzielać grzesznych utyskiwań woli własnej. W świecie inne ją zastępują, a wśród tego tłumu co ukrywa skazy pod błyszczącą fantasmagorią, nie zostawi próżnego miejsca i nieobecność jej nie zadziwi nikogo. Jak Mojżesz, widzi obiecaną ziemię snów swoich i zatrzymuje się na progu, bo prowadzi ją ręka Boża. Pragnienie, szalone porywy tłumi głęboko w sobie, i szczątki tej lawy ognistej pokrywa szatą zimną, twardą, jednostajną biernej abdykacji. Radość ziem-ska promieniejąca w koło jej duszy, to pokusa, to próba. Ona musi rozpatrzyć się w niej zbliżona, zważyć dobrze, co by jej przyniosła, jej młodej, pięknej, a przecież umarłej! Dla niej rzut oka, chęć, samo nawet cierpienie, zbrodnią jest, bo jej Bóg jest Bogiem zazdrośnym. On pragnie tylko serc oddających się z radością, a nie liczących ofiar. Wówczas to, po wielu latach cudów i osamotnienia duszy, kiedy zniknie wszelki ślad pychy i samolubstwa, kiedy biedna przebaczy zarzuty nieczułości i chłodu, jakimi świat znieważy jej abnegacyą, kiedy cały dział szczęścia swego utopi w szczęściu drugich i stanie się jakoby cieniem z innej sfery pomiędzy żyjącymi, natenczas powie: O Panie! nieszczęśliwy kto urodzon z niewiasty, dni jego błahe i znikome, ramion od krzyża odwiązać, od cierniów głowy uchylić nie zdoła.

Przyjdzie jeszcze ostatnia próba, ostatni rzut oka na życie, tak długie, tak puste i tak udręczone, na życie milczenia i nudy, na życie zamarłe. A jeśli znajdzie dość miłosierdzia w duszy, aby uśmiechnąć się do spokoju, do pomyślności, jakie przyniosło drugim powolne jej konanie, jeśli wydobędzie z siebie dość siły, aby błogosławić Boga za dział jaki jej przeznaczył, wtedy Bóg da jej dwa białe skrzydła i zapali gwiazdy na jej czole, pochyla się ku niej i udzieli jej wiekuistej radości, wiekuistej miłości swojej. Wchodzimy wszystkie na tę drogę, lecz która z nas wytrwa do końca? Życie tak długie, a człowiek taki słaby!

Proś Boga, mamciu, ty która wiele już wycierpiałaś, ty którą kocham i radabym wesprzeć, zasłonić od wszelkiego cierpienia. Czy ten list zastanie cię jeszcze? Wątpię, a przynajmniej to będzie ostatni.

Droga mamciu, napisz mi szczegółowo: zbliża się czas wyjazdu twego, a nie wiem nawet czy masz paszport, czy dzieci wyjadą na pewne z tobą. Nie wiem gdzie odtąd adresować moje listy. Będziesz niespokojna, nie odbierając ich przez sześć lub osiem tygodni, a to niewątpliwie nastąpi, skoro nie wiem gdzie mają czekać na ciebie.

Daryusz całuje ręce twoje. Gdybyś wiedziała jaki on dla mnie dobry! Mamciu, jam często zła, dziwaczna, wesoła lub smutna na przemiany, zatopiona w oceanie marzeń, zrozumiałych chyba dla kobiety. Powtarzam mu je czasem, a on słucha i nie gorszy się zbyt moimi szaleństwami, jakby je świat nazywał. Smuci się smutkiem moim, cieszy moją radością, według tego, jak drobne światełko połyska, lub mgła przyćmiewa mój widnokrąg. Nigdy mi nie za złe nie bierze i podwaja z każdym dniem starań, aby mi, jak mówi, o tyle osłodzić życie, o ile to jest w jego mocy. Niech go Bóg błogosławi i nagradza, — nie chciałabym sprawić mu żadnej przykrości.

Żegnaj cię mamciu droga, ukochana. Czym cię nie zamruciała dwoma ostatnimi listami? Prawdaż to, że ja ranię zawsze ukochanych? Powiedz mi, że tak nie jest mamciu! Ściskam cię duszą całą, ciebie i papę. Jeśli nie zajdzie jakaś nieprzewidziana przygoda, pospieszymy do niego z początkiem września. Niech Bóg da wam pomyślną podróż, udziela przyjemności, jeśli nie zupełnego szczęścia.

Dyzia.

*Do Bohdana Zaleskiego*¹⁾.

1836.

Potrzeba odwagi, nie prawdaż? aby dodać kilka słów do tyłu pochlebstw dobrego i kochanego wujaszka, aby przyznać

¹⁾ List ów był nakreślony w dopisku do listu majora Józefa Zaleskiego, następującej treści:

„Tak to tam było, kochany Bohdanie! i dobrze, to prawda, bo odmłodziło serce i igra w domowych kątach między rodziną. Na chwilę wszystkie smutki jakby pomarły. Chciałbym, żeby tak było długo, długo, ale żebyś i ty był z nami, boś mnie tak przyzwyczaił czytać w twoim sercu, tak mnie rozpieściłeś twoją przyjaźnią, że mi bez ciebie smutno. Mówisz, żeś pierzchliwy, że kochasz ludzi, ale na pustyni. Wiem ja, że ty uwielbiasz swoją czarownicę Hanę *) i lubisz z nią być samotny, ależ, mój Bohdanie, i młoda kozaczka, która cię pragnie poznać, nie z ciekawości, jak wnosisz, ma swoje ukraińskie, stepowe figielki, nastawi ona na ciebie tak zręcznie sidła, że mimo twojej dzikości sam w nie wpadniesz. Ot, powiem ci, Bohdanie, że kiedy na nią patrzę, zawsze mi się twoja Hanka przypomina, widzę w jednej rzeczy podobieństwo między niemi. U mojej kozaczki tak kropkami smoła z oczu pada jak u twojej Hanka. Notatka twoja pójdzie do Niemiec i co się znajdzie książek mieć będziesz. Z domowych szczegółów wiele rzeczy zostawiam do osobistego opowiadania. Teraz ci tylko donoszę, że twój brat Elias i siostra Antonina zdrowe. Daryusza poznałem, poczytywać z ko-

*) Aluzya do „Złotej Dumy“, którą wówczas pisał Bohdan Zaleski

się nawet, że ja ją czytała. Ale mniejsza o to. Sprawileś mi pan przykrość, pomijam więc owe drobnostki. Ty poeta, a nie umiesz przeczuwać. Sądziłam, że w twoim życiu tulaczem i samotnem, jedno słowo współczucia, jedno wspomnienie kraju rodzinnego, przyniesie ci promyk radości. A przecież odrzucasz tę myśl braterską i niewinną, zraniłeś duszę moją w jej dumie.

„Ciekawość!“ Jesteśmy ciekawi tego tylko, czego nie pojmujemy: a dusza moja pojmuję duszę twoją, jakkolwiek, nie dorówna jej polotem myśli, jest wszakże jej siostrą, bo czuje tak jak ona, lepiej niż ona — bo ja cię znam, a ty mnie nie rozumiałeś, — i lepiej niż ty umiem kochać, bo sprawileś mi przykrość, a ja ci to przebaczam, bo gdybym mogła czemkolwiek przynieść ulgę twoim cierpieniom, zapomniałabym gorzkiego słowa, i aby coś dobrego uczynić, nie ukrywałabym się w głębi pustyni, z obawy zetknięcia się z twoim bolem. Powtarzam raz jeszcze: przebaczam ci, nie mam najmniejszego żalu, możesz spać spokojnie. Kobieta, którą zraniłeś, ma dla ciebie tylko słowa błogosławieństwa!

Do Bohdana Zaleskiego w Molsheim.

Kehl, 15 lipca 1836.

Kochany mój Bohdanie! Przybywaj wprost do Rhafusa i pospiesz, posłałem sztafetę, bom się tu dowiedział, że i do mnie list przyszedł wczoraj sztafetą, stąd wnoszę, że muszą być na samem wyjeździe, zapewne nikt, prócz męża, więcej z nią nie przyjedzie, bo Jaczewska chora po takiej słocie podróżować nie zechce. Zaręczam ci, że nie pożalujesz tych kilka chwil, które z nami spędzisz. Ona cię będzie tak kochać jak mnie kocha, bo to dobre dziecko, a on chociaż go nie znam, zdaje mi się być dobry

ściami, będę ci wiele opowiadał za powrotem; za kilka dni złączę się z tobą itd.“ Twój

Józef.

człowiek. Wszakże to dzieci Ukrainy, którą ty tak pieścisz w swoim sercu, może to widzenie się odżywi w tobie jakie miłe wspomnienia. Przyjeżdżaj, mój drogi Bohdanie, a potem razem wrócimy do Molsheim na smutne dumania.

Przyciskam cię do serca, które cię całą miłością kocha. Twój
Józef.

Do Bohdana Zaleskiego w Molsheim.

Kehl, 16 września 1836.

W ten moment ściskam moją dobrą Dyzię, której pierwsze słowo było: „a Bohdan!“ Powiedziałem jej: przyjedzie. Ucieszyła się, nie zrobiła mnie bałamutem. Przyjeżdż, przyjeżdż, mój drogi Bohdanie. Ona i ciebie tak popieści jak mnie. „Nie prawda“. Bałamutka nie wierz, wszak wiesz, że kobieta. Nie masz tylko ich dwoje, oboje poczciwi i serdecznie cię poznać pragną, to jest serdecznie, nie przez ciekawość, „bo ona wie, że to pierwszy gradus do piekła, a w piekle bardzo piecze“¹⁾. Daryusz mówi, że nie trzeba i piekła, tak mu dopieka. Otóż przyjeżdż, proszę cię, mój drogi Bohdanie, wrócimy razem za parę dni, bo oni parę dni obiecali zabawić, a to córka Ukrainy, którą ty tak kochasz, tak cudownie o niej śpiewasz. Czekamy cię wszyscy z upragnieniem i niecierpliwością i mnie już tęskno, żem ciebie dzień cały nie widział. Przybывай, mój drogi Bohdanie. Twój

Józef.

Do pani Felicyi Iwanowskiej w Neapolu²⁾.

Tahańcza, 11 grudnia 1836.

Gdzie jesteś teraz, droga mamciu? Czy cię doszły moje dwa lub trzy ostatnie listy? Czy cholera nie przeszkodziła ci jechać po nie do Neapolu? To też w niepewności o los jaki je czeka, nie będę pisywać tak często jak dawniej, zwłaszcza,

¹⁾ Ręką pani Dyonizyi Poniatowskiej.

²⁾ Tłumaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchinią.

że mi nie tak łatwo jak było w Mannheim, znaleźć co trzy dni godzinę spokojną do pisania.

Dziwnym cudem Tahańcza zmieniła się w tak wielki świat od mojego powrotu, że wystrojona muszę bezustanku przyjmować gości. Są tu Teodorowie, Cezaryna, różni znajomi Augusta Radziwiłła, ożenionego z księżniczką Urussów, potem czterej bracia Daryusza, następnie wizyty w sąsiedztwo, imieniny u pani Dziekońskiej.

Próżnuję okropniej niż kiedykolwiek. Mam nieszczęśliwą książkę *Demokracja w Ameryce*, męcę ją, męcę! nie ma rady, zostaję zawsze na dziesiątej stronnicy. Dawniej martwiłam się w podobnym wypadku, teraz nie ma na to lekarstwa. Mówię do siebie: i cóż mi to szkodzi? jeśli nie czytam, marzę. Oh! nie obmyślam książek, według zwykłego trybu rozdzielonych na przedmowę i paragrafy, ale głowa moja nie jestże jak każda książka zbiorem idei, dobrych lub złych, a co lepiej nie mamże pod ręką innych głów tysiąc razy bogatszych od mojej? Czy kto zastanowił się kiedy jak przestrasza myśl skamieniała, gdy to co żyło bezcielesnie stanie się martwym trupem. Mówią, że druk czyni myśl nieśmiertelną, bajka! Tyleby znaczyła piękność w stanie mumii, unieśmiertelniona balsamem. Nieśmiertelną jest tylko prawda, a prawdą zupełną jest tylko sława Boga-człowieka! Nie ma tak głębokich zakątów duszy, gdzieby ona nie zaniósła światła w odpowiedzi na wszelkie uczucia nasze, na gwałtowne porywy nasze. Niebiosa i ziemia przeminą nim głoska jedna tego słowa przeminie. Ale mówimy o książkach ludzkich, o tym pięknie rozbitem na tysiące okruszyn, o tej niewytłumaczonej sile tworzenia tego, co nie istnieje inaczej, jak w świecie tak rzeczywistym wyobraźni naszej, o tym uraganie duchowym, co ulata przez próżnię ku wszelkim celom, różnemi drogami; czyż i to nie jest myślą? tym czemciś co się błąka, błyszczy i cierpi, istnieje tylko liczbą, walką i ruchem, bo gdy je zatrzymasz, skupisz w jedność, wnet zamieni się w marę.

Iskierkę tego życia przerabiają w coś nieokreślonego co przedstawia życie, jak posąg wyobraża człowieka i mówią mi: patrz oto życie. Pytam, a posąg milczy, szarpie go z całą siłą przekonania, ale on martwy, zawsze ten sam, z banalnym uśmiechem i łzą przyrosłą do powieki, niby głowa otwarta, skamieniała przez druk, jaką była w danej chwili, jakby ta chwila streściła w sobie życie całe. Bóg sam mógłby napisać takie dzieło, z któregoby wiecznie wypływała prawda i służyła nam za coraz nowy szczebel ku udoskonaleniu. Inaczej tu się dzieje. Człowiek odkrywa to co czuje gwałtownie, zazwyczaj boleść. Otóż boleść, to zwykle gruby welon, rzucony na harmonie przeszłości i obietnice przyszłych dni. Na łożu śmierci kiedy oko jasno przenika prawdę, iluż to żałowało dzieł własnych! Mało kto miał tę radość, by mógł wyznać przed światem swoje, zbyt późno zdobyte przekonanie. Obraz namiętności i cierpień ludzkich prawdziwym bywa zawsze, lecz daremnym, bo przykuwa do chwili obecnej, i nie przynosi pożytku, czyż tego nie widzimy sami w sobie? Lubimy go, gdyż budzi w nas litość nad sobą; ale nie pomnim na to, jak nas ubezwładnia pamięć własnych, przetrwanych cierpień. Mało jest ludzi, którzy zbadawszy boleść do gruntu, wszechstronnie, nie upadli na duchu. Czytajmy, ale tak jak zaglądamy do wnętrza grobów. Te usposabiają nas do marzeń, bo same już nie marzą; zowią je świętymi, bo kryją śmiertelne szczątki istoty nieśmiertelnej, bo mówią o przyszłości, bo są historią cierpień, a nie mają bytu w chwili obecnej. Książka to wyraz wyciśnięty na obliczu umarłego, pobudza drugich do dreszczu, lecz sama nic nie czuje. Tymczasem w żywym słowie człowieka, dusza pracuje, kipi, marzy, wybucha, potraça o ideę przeciwną, walczy. Myśl szarpana zamienia się w przekonanie i jak rzeka, chwyta! zasilające ją zdrojowiska, wtedy człowiek staje się wielkim, bo na tej ziemi nie dano mu czekać, lecz pędzić naprzód, a człowiek z szerokim poglądem widzi zawsze przed sobą niezmierzoną przestrzeń,

wzbija się wyżej aż do ostatniej chwili. Ale jeśli w nędznej mądrości swojej mniema, że doszedł celu, wtedy ludzkość instynktowa odwraca się od niego, a on uznaje błąd swój, oblicza sumiennie długie wysilenie ofiary i boleści i przychodzi do wiary, że w tajnikach przyszłości, oczekuje go inna radość, inny spoczynek. Niech Bóg udzieli go nam wszystkim, mamciu. Amen.

Zaczem nastąpi tam z łaski Bożej błogi sen, słodkie przebudzenie, dobranoc, dwunasta bije, czas spać.

Daryusz wyjechał, w domu spokojnie, ale na dworze wichler okropny. Znasz to mamciu: zamieć ze śniegiem, noc ciemna, wiatr świszczący po stepie. Biedni ci co w drodze. Koło mnie na kominku ogień się dopala. Dobrze, że mamci tu nie ma, może tam weselej.

Moja dusza zrosła się z tem: Bóg stworzył ją na twarde uciechy północy, na tajemniczy wpływ geniuszów długiej nocy zimowej. Lubię stepy, lubię północ, lubię śnieg, i bryły lodu, i szron, i pogwizd wiatru, i nasze brzozy tak pełne wdzięku, obleczone białą korą, co giną we Włoszech, a miłują tylko ziemię ojczystą i nasze noce błyszczące gwiazdami i szronem. Gdzieindziej zapewne życie weselej ubiega, lecz tu marzymy lepiej. Jeśli człowiek szczęśliwszy we Włoszech, tu za to czuje się większym, patrząc w samotną i niezmierzoną przestrzeń. Serce jego potraça tu jedynie o poważny i szlachetny ideał.

I czemuż tyle pięknych dusz zapoznaje dobrowolnie tę prawdę? Wstyd im przyznać się do własnego zdania, idą za zdaniem drugich. Ogół bezmyślny zachwyca się Włochami; niejeden, przez obawę śmieszności, aby go nie posądzono o przesadę, wspomina Włochy, gdy mówią o stepie, o Ukrainie. Jak gdyby piękność nie objawiała się w najrozmaitszych rodzajach. Boże błogosław was! do jutra!

Nazajutrz rano.

Dzień dobry, mamciu, zleniwiałam jakoś, ten zły nałóg napada mnie często w tych czasach. Ciocia Józefa przybędzie

wieczorem, zapewne zostanie jutro z nami. Papa jest tu od dwóch dni, zaraz po świętach zabierze mnie z sobą; rozpoczniemy r. 1837 w Kuryłówce. Daryusz zajęty, przybędzie do nas dopiero po kontraktach. On prowadzi interesa ojca, do Tahańczy nie wróci prędzej jak na św. Józef.

Mam wielkie projekta na trzy przyszłe miesiące. Ktokolwiek żyje i oddycha, kto ma oczy ku patrzeniu i ręce do roboty, zapędzam go do igły. Ponieważ budowa domu ma się zacząć na wiosnę, trzeba skrętnie wziąć się do pracy, bo chcę przygotować mnóstwo robót na kanwie do mego pokoiku. Jak znajdziesz czas, wymyśl dla mnie, mamciu, jaką ładną robótkę.

Dla oka ludzkiego potrzeba mi nowego domu, w tym mieszkam oddawna, znam dobrze wszystkie zakąty, wszystkie meble, czasami zaczyna mnie to nudzić, jak tu patrzeć zawsze na jedno. Nie troszczę się tem jednak, wiem, że najczęściej staje nam w drodze jakaś przekora, i układa rzeczy inaczej niż my je obmyślimy. Czego pragnę szczególnie w moim kąci, to wielkiej harmonii co do kolorów i rozmiarów, odrzucałabym najpiękniejszą rzecz gdyby nie harmonizowała z całością. Dlatego to obmyślam wszystko naprzód.

Napisz do mnie zaraz, droga mamciu. Jakżem ja rada, że jesteś tam, możesz sobie tęsknić za nami, wolę jednak, że myśl twoja odradza się, że wzrok nowe ogarnia miejsca, a umysł odpoczywa w pięknej podróży. Dla piersi twoich, ciepłe morskie powietrze prawdziwą jest opatrnością. Mówią, że Malta lepsza od Neapolu na ten rodzaj cierpienia. Jeśli cholera panuje we Włoszech, czemubys na Malcie nie przepędziła zimy? Moja rada przyjedzie pewno nie w porę. Na miejscu sama najlepiej zdecydujesz, co ci wypada czynić. Żegnaj cię, mamciu, całuję ręce twoje i nogi.

Kochaj swoją Dyzię.

*Do Bohdana Zaleskiego*¹⁾.

27 września 1837.

Mówiła mi mama, że cierpisz. Serce moje ściska się na myśl o waszem odosobnieniu, biedni moi wygnañcy, moje dwie dalekie gwiazdki, same jedne, smutne na niebie tak czarnem. Chciałabym powiedzieć wam: piękne gwiazdki, spłyniecie pomiędzy nas, nie będziecie już same, a my was ukochamy. Gdyby gwiazdki zstąpiły na głos nasz, zostałyby na tym padole? O nie! jasne isierki uleciałyby znów ku niebiosom, i uniosłyby nas w promieniach swoich i byłibyśmy gwiazdami tak jak one. Powołuję cię zdaleka abyś mnie uniósł w twoje sfery, tak wysoko — wysoko, bym jak ty stać się mogła przewodnią gwiazdą lub aniołem pociechy. O! jam istnie tą chmurką co ulata zawsze ku niebu, a Bóg ją zamienioną w lzy, odsyła znów na ziemię. Ale ty, piękna gwiazdo, którą Bóg szczytną drogą wiary, niewinności i zaparcia się samej siebie, powołuje do tak wzniosłych przeznaczeń, ty, za którego głosem, pójdą może kiedyś narody, którego czeka tam aureola, dlaczego odwracasz się i płaczesz? Mało na tym świecie lez innemi później nieokupionych łzami. Czy myślisz, że te lzy nie wpływają na ciebie? Czytałam w jednym z twych listów do matki mojej: „ja płaczę, ale jutro wezmę się znów do pisanja i nikt stanu mej duszy nie odgadnie“.

Nie słowa przemawiają do drugich, ale raczej stan duszy. Kiedy zgrzeszyłam, choćby nikt okiem nie wiedział, choćby słowa moje czyste były i święte jak zawsze, chociażby wpływały z najgłębszego przekonania, one prześlizną po wierzchu, bo łaska Boża nie będzie ze mną. Kto wybrany od Boga, wolnoż mu ściągać żalosnym wzrokiem, złudne uciechy tego świata? Ażaliż ma prawo wyciągać rękę do braci, chwiejących się, niepewnych drogi swojej, ten, kto płacze za cieniem

¹⁾ Tłomaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchinińską.

znikomym? Niekiedy popęd ku jakiejś uludzie wstrząsa mną, gwałtowny jak burza, i tak samo jak w burzy wyteżam siły, by nie dać się pociągnąć. Boże mój! nie chcę mieć żadnej chęci zabraniać sobie myśleć i czekam w milczeniu aż uragan przeminie. Jeśli mnie biednej, słabej kobiecie, skorej do upadku, która pokutuje za własne winy, zaczem przyjdzie mi cierpieć w okup za winy drugich, Bóg pozwala niekiedy odtrącić boleść i stanąć spokojnie przed obliczem swoim i wy-rzec: Panie! czuję, że już nie cierpię. On bezwątpienia, nie odmówi tego i tobie, którego odział potęgą, abys jako po-wolny sługa, pracował pożytecznie nad Jego dziełem. Podnieś więc duszę ku niebiosom siłą głębokiej pokory, nie zaślepiaj się samolubnie, nie przystrajaj złego w sofizmata kłamliwej piękności, bo szatan przybiera często promienistą postać anioła, w szczerości serca twego wyznaj twe obłędy, módl się, aby Bóg przebaczył ci winy, i wolą oswobodzony z wpły-wów ziemskich, silny uznaniem słabości twojej, jak mówi apostoł, zapatrzony w niebo, z pochodnią Ewangelii w ręku, idź w górę, nie zwracając się ku zewnętrznym ponętom, depcz spokojnie ostre cierniska, aby ci co idą za tobą nie cofnęły się z drogi. Wielka missya twoja, wielką masz do spełnienia powinność. Bohdanie, Bohdanie! ja nie jestem twardą, jak głaz wobec cierpień twoich, rozumiem je, odczuwam; boleję nad niemi. Ale zdradziłabym i ciebie, i sumienie własne, gdy-bym się rozczuła nad duszą twoją, zamiast ukrzepiać ją tą siłą, jaką czerpiemy z góry, gdy oderwiemy się od wszelkich czarodziejstw i ponęt, choćby te na wskrós nas przeniknęły. Ty należysz do braci twoich, i do tych co mogą stać się nimi, skoro ich powołasz. Tak Bohdanie, wszak sam masz to przecucie, ty powinieneś być, ty będziesz męczennikiem, jak ci wszyscy, którzy dźwigają krzyż Chrystusowy. Ale tyleż jest rodzajów męczeństwa, ile odmiennych missyi, a wyteżenie sił własnych w walce przeciwko sobie należy także do nich i czę-stokroć boleśniejsem jest od krwawego męczeństwa. Chciała-

bym widzieć cię świętym Bohdanem, a im hojniej Bóg cię uposażył, z tem większą trwogą, tem żarliwiej Go błagam, aby cię ustrzegł od fałszywego kroku, aby nie dał zbłąkać się gwiazdździe, której zadaniem ukazywać ci drogę pańską.

Dzięki ci, Bohdanie, za przysyłkę konającego gladyatora, wiecznego symbolu ludzkości. Ja także walczyć będę do ostat-niego tchnienia, jeśli łaska nie oddali się odemnie, za złe ja-kie w życiu popełniłam. Dziękuję ci za szpilkę, noszę ją codzień, gdy mnie kto zapyta skąd pochodzi, odpowia-dam z dumą: to Bohdan mi ją przysłał.

Ten list ciąży mi, że taki suchy, że brak w nim miło-sierdzia. Czy myślisz doprawdy, iż ciebie nie rozumiem, iż nie mam współczucia dla twych cierpień? Spójrz w głąb duszy mojej, znajdziesz tam modlitwę i błogosławieństwo dla ciebie.

Siostra twoja w Bogu

Dyonizya.

Do Józefa Zaleskiego ¹⁾.

Tahańcza 27 października 1837.

Jakże dawno nie pisałam do ciebie, mój Józefie drogi, nie pytaj czemu? są rzeczy między duszą a Bogiem, których nie wolno wyjawiać nikomu. Jakkolwiek gorzka chwilowa mo-gła ci nasunąć złe myśli, przekonany byleś głęboko, że w sercu Dyzi nie brakło miłości dla ciebie. Nie mniej więc do mnie żalu. Wszystko zresztą, wyrażenia i świadectwa, są to tylko dodatki zależące od różnych okoliczności życia. Te ci jedynie chybiły, o! nie mniej urazy do mnie. Ty może nie znasz, ty, którego ciernista droga, tak wyraźnie wytknięta, tych ciężkich dni wśród ciemności i udręczeń, kiedy widzimy przed sobą dwie drogi i długo zapytując, która z nich prawdziwa, długo

¹⁾ Tłomaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchinińską.

wpatrujemy się w nie przerażeni, i rzucamy się na jedną, a oto spostrzegamy, żeśmy obrazili Boga zaniedbaniem drugiej, i szukamy natchnienia Bożego, jako przewodniej gwiazdy i modlimy się, a łaska zda się oddalać od nas. Józefie, Józefie! strzeż cię Boże od chwil podobnych. Daremne skargi, wiem, że Bóg mnie karze, a gdybym nie lękała się obrazić Go, rzekłabym, iż wiem za jaką winę. Niechże mi to stanie za pokutę i niech Bóg zmiłuje się nademną!

Teraz mój wybór stanowczo dokonany; smutna ale spokojna, pragnę pomówić z tobą, mój dobry wujaszku. Czy ty wiesz, że mała różnica między twojem życiem tam, a mojem tutaj? czy wiesz, że z daleka od mojej dobrej mamci, od cici Józki, mam tu z moich tylko Daryusza, jak ty masz tylko Bohdana. Czy wiesz, że choć w miniaturze, i ja też pracuję tak jak wy. Porównaj kroplę wody do morza. Wy nauczacie świat, ja uczę moje dziewczynki. Byłe nie jeść darmo chleba, należy spieszyć się z pracą, bo wieczór nasz wkrótce może zapadnie: Bogu to jedynie wiadomo.

Mój dobry wujciu, aby cię wprowadzić znów w nasz świat, aby cię rozerwać trochę, radabym tylko, żebyś mógł spojrzeć na nas, jak ja niekiedy ciebie widzę. Dziwna rzecz, jak to można żyć z istotą, która nie mieszka z nami. Wy tak często bierzecie udział w życiu naszym, w chwili kiedy nie myślicie zapewne o nas. Dzięki, mój wujciu, za opis Endoume¹⁾, wprowadził nas do pokoiów waszych, posadził nas u stołu waszego, — nie są to próżne słowa, — zastawcie krzesła w koło stołu, bo goście napowietrzni zbiegają tam często, goście, którzy was kochają i płaczą niekiedy, że nie możecie ich zobaczyć. Czy chcesz wiedzieć nawzajem co porabia wasz gość napowietrzny?

Naprzód wiedz o tem, drogi wujciu, że on ma dwoistą

¹⁾ Małe miasteczko koło Marsylii, nad morzem Śródziemnem, gdzie mieszkali Bohdan i Józef Zalescy.

naturę. Napowietrzny u was, bo kochanemu wujaszкови radby się przedstawić z najpiękniejszej strony, w Tahańczy to wielki leń, sypia co noc po dziewięć lub dziesięć godzin jak susel, budzi się tylko czasami, kiedy się boi duchów. O siódmej wstaje opieszale i w części ubrany, kładzie się znowu i śpi, dopóki ktoś nie zawoła: „Dalejże, czas wstawać, już dzień wiać“.

Bywa i to, że ktoś ulituje się nademną i pozwala mi spać do woli. Nie myśl, wujaszku, że to codzień się zdarza, mógłbyś przypuścić, że ja pracuję tylko przez sen. Niestety, wcale tak nie jest. Gdybyś wiedział, drogi wujaszku, jak ja nie lubię pracy! wyznaję ci to w ufności pod sekretem. Gotowabym życie przepędzić na czytaniu, muzyce, przejażdżkach konno, a nie masz pojęcia jak ja lubię romanse, czytam co mi padnie pod rękę, gdy gram, marzę o romansach salonowych, o rycerskich gdy mnie koń unosi, widzę mego bieguna obok innych koni i wyobrażam sobie, że w szeregu jadę. Na nieszczęście, odkąd powiedziałam sobie, że trzeba pracować, nie mam czasu układać takich powieści w głowie. Byłabym mogła, ledwie nie całe życie tak gdzieś między niebem a ziemią przeżyć. Ale dziś widzę, że byłam w błędzie, gdyż Bóg stworzył nas dla ziemi i dla nieba, wcale nie dla tych mrzonek powietrznych co zapełniają przestrzeń między niemi.

Powróćmy do chwili mego wstania, bo wszystkie ceremonie jeszcze się nie skończyły. Gdy otworzę oczy, klaszczę w ręce. Skoro masz wszystko wiedzieć, powiem ci, że nie cierpię wszelkiego metalu bez ostrza, nie bierz mnie przecie za krwi chciwą; morduję tylko jabłka, dzwonka też nie mam, bo to metal gładki, a drzewo dotąd nie chce dzwonić. Jest wreszcie w tym zimnym wynalazku francuskim coś wstrętnego dla nas ludzi wschodu. Klaszczę zatem w ręce i wołam: Józinnefa! I wnet, mała dziewczynka przybywa, a ja kładę pantofle, zarzucam płaszczyk i dalej do kominka jak biedny

Kopciuszek. Ubieram się prędko, Tylówna, znana ci dobrze mój wujciu, przychodzi czesać mi włosy.

— „Prędzej, prędzej moja Tylówno!“ — „Czego się pani tak kręci?“ — „Moja Tylówno prędzej, ach jak ty ciągniesz!“ — „A już z tą panią rady dać nie mogę, zawsze dziesięć robót, kiedy ja czeszę, a jak pani wyjdzie roztargana, nikt nie powie, że się pani kręci, tylko Tylówna niezgrabna. A potem mru, mru, mru pod nosem“.

Narzuca Dyźcia szarafan biały w kolorowe kwiateczki, Tylówna wraca do swojej komórki. Dyźcia sama jedna w pokoju, klęka sobie i pacierz mówi krótki, bo wszelkie pacierze nie z powinności ale z serca, odmawiają się wieczorem. NB. proszę nie myśleć, że ja się zrana nieszczerze modłę, to tylko znaczy, że zrana z rozkazu, w wieczór z własnej ochoty, ale doprawdy z serca jedno i drugie, gdy Bóg zsyła tę łaskę. Potem wstaję, idę grzać się koło kominka, to moment wolnego dumania. Nikt nie przerwie, nikt się nie zaśmieje i dumam, dumam o mamci mojej biednej, o kłopotach, które ją jeszcze w życiu czekają, o mojem, razem błędnem i tak samotnem życiu, o was często, o mojej niewdzięczności ku Bogu, że w każdym dobrodziejstwie Jego złą stronę upatruję, albo wymyślę sobie jeśli jej niema, o próżności mojej w wielu rzeczach, o wielu, wielu grzechach, czasem niechcący, zaczę sobie Bóg wie jaką historję w głowie kleić, różnie się zdarza. Wtem ktoś zaczyna we drzwi stukać.

„Dyźciu, moja Dyźciu! co też ty myślisz sobie, czekam na ciebie od godziny ze śniadaniem, a ty marudzisz“. — „Chodź, chodź, Muniu, dawno już Dyżia gotowa“. — I Muń wchodzi namurmuszony i zaraz gdyrać zaczyna. „Taka czerwona jesteś, wiecznie w tym kominku siedzisz, jeszcze się spalisz kiedy“. Dyźcia już nie mówi, bo wie, że Muń rano wstał, głodny, musiał gospodarować, póki się z Dyżią nie zobaczy. Więc mu tylko ślicznie kawę nalewa, a kiedy się udało, ani kropelka na miseczkę nie spłynęła, kożuszek nie umo-

czony w kawę po wierzchu żegluję, Muń się zaśmieje z mojej pracy i zapomni o złym humorze. Gdyby on się na mnie choć trochę doprawdy rozgniewał? Wstydzę się mojej niecierpliwości, kiedy pomyślę o nim, tak przecie żywym! Znadto miłosierny aby mógł się gniewać. Gdy mi zalecił abym w kominku nie siadała i nie płakała, idzie w pole albo do fabryki, a ja zostaję sama do obiadu. To godziny mej pracy. Uczę katechizmu moje dziewczątka; to jest tłumaczę go, dopóki nie zrozumieją. Postarałam się o książki do pomocy w tem zadaniu, my wcale takich nie mamy. Nasze katechizmy tłumaczą jasno dogmata, ale językiem nie dla wszystkich dostępnym, stylem wzniosłym, jakiego żadna mała dziewczynka nie zrozumie. W każdym napotykamy słowa: iżali, uczestnictwo, społeczeństwo i mnóstwo tym podobnych. To tak, jakby je uczono po hebrajsku. Postanowiłam więc na osobnym kajecie sparafrazować cały prawie tom, nie licząc historii świętej i Ewangelii, co nastąpi później. Czasami bardzo się lękam, czy sama źle nie rozumiem i źle nie wykładam, ale przecież robię co mogę i nikt temu lepiej nie poradzi. Na tem ubiega poranek. Popołudniu biorę się do igły, w kilka osób otaczamy starego ojca Daryusza, który z fajką siedzi w swem krześle. Jedno z nas czyta: ja czyniłabym to najchętniej, ale mam teraz piersi tak słabe, że przez cały tydzień pokutuję za jedną godzinę czytania. Siedzę więc spokojnie, mówię mało, bo mało kto czuje tak jak ja, a mniej jeszcze osób rozumie, że nie będąc zupełnie dzieckiem nieświadomem życia, można przecie różnić się z nimi w zdaniach. Jeśli przypadkiem urwę sobie jakąś chwilę, biegnę do siebie, trochę czytam. Wieczorem odprowadzamy ojca do jego pokoju, i dzień skończony dla całego prawie domu. Daryusz utrudzony bieganiem, zasypia głęboko, ja w przyległym pokoju, modłę się za ciebie, za was obu, za biedną mamcią moją, za mego poczciwego Daryusza, za wiele osób. Te osoby ani zgadują, że ktoś każdego wieczora wymawia imię ich przy modlitwie, ten ktoś, kogo wi-

dują w salonach, rozmawiającego, śmiejącego się, który zdaniem ich, mało zważa, zapomina tak jak drudzy. Bardzo źle, że to napisałam, kto mnie zapewni, że drudzy zapominają? Kto mnie zapewni, że modłę się za wszystkich, za których powinnam się modlić. Zgrzeszyłam pychą! Niech mi ją Bóg przebaczy! Po modlitwie, jeśli Daryusz śpi tak głęboko, że nie słyszy jak się kręcę choć pora spóźniona, czytam trochę, ale jeśli Daryusz woła z po za drzwi: „Idź spać Dyziu, będziesz jutro blada“, wtedy zła myśl przychodzi mi czasem do głowy: pozwalam sobie kłamstwa, choć wiem, że nazajutrz, jak się przyznam, otrzymam za to burę. Mówię: „zaraz, zaraz“ i wołam „Józinnefa, chodź mnie rozebrać“, potem ruszam się trochę, jak gdybym się kładła i dalejże znowu do książki, choćby na krótką chwilę. Nieprawdaż, wujciu, że ładaco z twojej siostrzeniczki? Może się też poprawię, wstyd mnie, że tak nie raz czyniła. Dobrze jednak, że ty wiesz o tem, wujaszku; niech to będzie dla mnie pokutą. Niekiedy zastawiam przy Daryuszu stoliczek z jabłkami lub śliwkami, jemy drugą wieczerzę i rozmawiamy chwilę, poczem on mnie pobłogosławi; idę i śpię do rana.

Tak to ubiega życie moje, drogi wujaszku, życie to spokojne, wewnętrzne. Nic nie przerywa jednostajnego trybu, chyba czasem zrana przejażdżka konno, albo przybycie gości. To się nie często zdarza, ludzie nie garną się do ośmdziesięcioletniego starca, i moje tu stosunki nieliczne: wielkie to dla mnie dobrodziejstwo, oszczędza mi to niejedną nudną chwilę. Tak w tem, jak we wszystkim, lubię dwie ostateczności: albo świat w całym znaczeniu słowa, lub też zupełną ciszę. Dla wielu a wielu przyczyn, nie pragnę pierwszego, mimo, że mogłabym lubić go na czas jakiś.

Nie chcę dotykać tego przedmiotu, posunąłby nas zbyt daleko, a raczej zbyt głęboko.

Moja dusza wcale nie lepsza niż u drugich, słaba i słabsza jeszcze niż u wielu. Ale każdej duszy ludzkiej Bóg udzie-

lił cokolwiek siły, tak nam kobietom jak i wam, nie trzeba tego niszczyć, powątpiewając o tej sile i zamykając jej pole do działania. Ci nas pozbawiają godności ludzkiej, co nam odbierają udział w pracy, w cierpieniu i w szacunku ogólnym, bo jak tu mieć szacunek dla istoty, na którą nie liczy się więcej, niż na dziecię? Takie, poniżające nas oszczędzanie, czyliż nas uwalnia od cierpień? Bynajmniej!... Wy nie chcecie tych cierpień dzielić z nami, ale ponieważ musimy odczuwać je koniecznie, wkładacie nam na barki większy ciężar, nie pozwalając nam dźwigać go z wami pospołu, umiejętnie i chętnie. A cierpienie tem cięższe dla nas, gdy z niem nie łączy się myśl ofiary, która je uszlachetnia i czyni lekkim. I cóż stąd wynika? Oto, że wy macie przed światem zasługę ofiary, a my spełniamy ją rzeczywiście. Historia to Jeftego i jego córki: dla niego wotum i zwycięstwo, dla niej śmierć! Stąd przed okiem Bożem, zdobywamy lepiej niż wy, palmę poświęcenia. O nie zazdrościmy wam wcale!...

Zresztą nie mam prawie żadnych stosunków: miałam ich trochę w Kuryłówce, gdyż od powrotu mamci, pełno gości bywało w domu. O mój drogi Józefie, czy ty pojmujesz, że będąc ledwie o trzy dni drogi od niej, nie mogę jej widywać, a wiem, że ona dręczy się; wiem, że płacze!

Chcieliśmy ochrzcić imieniem Bohdana rzeczkę płynącą przez ogród, ale okoliczności nie dały spełnić zamiaru, trzeba to odłożyć do przyszłego lata. Wybierzemy jakiś dzień piękny, błękitny i ciepły, jakiś słoneczny poranek, z drobnymi na niebie obłoczkami, białymi jak aniołki, by przyćmiły blask zbyt jaskrawy.

Józefie, mój dobry Józefie, chciałabym mieć u siebie, koło domu cośkolwiek, coby nosiło imię twoje. Mój dom, jeśli to prawda, że mam mieć dom na ziemi, stanie na wzgórzu panującym nad okolicą. U stóp wzgórza płynie rzeczulka. Z jednej strony pozostały ślady starego obozu. Tam postawię krzyż wiosną. Mały zdrój wytryska nieco niżej; kilka drzew

rośnie wkoło; umieszczę tam ławeczkę. Czy pozwolisz miejsce to nazwać imieniem twojem? Powiedz mi, dobry mój Józefie. Nikt tu jeszcze nie mieszkał, nikt nie nadał imienia tej ustroni. Ty będziesz pierwszym. Tyle wypadków zagrzebanych w przeszłości... Kto wie? O! ty przybędziesz może, i wdrapiasz się na wzgórek, i poszukasz tam twojej Dyzi! Czy ja cię tu jeszcze zobaczę? O! nie wątpię o tem... A jednak nie wiem czy z wyżyn można widzieć swoich na ziemi? Niech będzie jak Bóg rozporządzi. Może wkrótce zobaczymy się z ciałem i kośćmi, jak wtedy, gdyśmy zrywali śliwki w Kehl, czy pamiętasz? Może zobaczysz mnie postarzałą, okrytą zmarszczkami. — To najmniej prawdopodobnem, ale powtarzam kto wie? Kto wie? Bóg dobry, co On uczyni, to zawsze będzie dobre!

Dawniej życie wydało mnie się długie jak droga przez stepy, prosta, łatwa i pewna, z miękką zieloną murawą pod stopami, z jasnym błękitem ponad głową, ale zimna, milcząca, nieskończona. I myślałam o wszystkim, co miało zamrzeć we mnie i spoczywać do końca pod kurzawą owego stepu. Po raz pierwszy w tym roku poznałam, że życie coś waży. Może być, że moje dwadzieścia jeden lat dodały mi trochę mądrości; za trzy lata będę już pełnoletnią. Powinieneś uszanować mnie, drogi wujciu. Na zachętę do tego, posyłam ci mój pierwszy włos biały. Nim nowe przyjdą, zgadnij co też robię? Oto rysuję, rysuję, i oczy mi zbieleją jeżeli to podobna. Zanadto cię kocham, abym ci nie dała poznać jednego z arcydzieł, które mam właśnie pod ręką. Posyłam ci więc obrazek galerii otwartej w Kuryłówce.

Dobry, kochany wujaszku, żegnam cię, opuszczam cię, bo widzę, że późno już, bardzo późno. Daj ci Boże noc dobrą. Koguty pieją, a wiesz ty dlaczego? Nasi wieśniacy mówią, że kogut wśród piór swoich, ma piórka ze skrzydła stróża anioła i odpowiada pianiem swoim, na śpiew aniołów z północy. Zapytaj Bohdana, on ci to powie.

Raz jeszcze dobranoc drogi wujciu, śpij dobrze!

*Do Bohdana Zaleskiego*¹⁾.

7 listopada 1837.

Dobry panie, wspomnienie ostatniego mego listu, ciąży mi jak wyrzut, a przecież nie byłam z lodu na cierpienia twoje. Czemuś mi nie odpisał? Czyżby cię zadrasnęło jakie słówko? Nie pamiętam już moich wyrażen, ale gotowam je odwołać, jeśli mogły sprawić ci przykrość; odpowiadam tylko za myśl moją. Kiedy boleść złamała skrzydła człowieka, splakany upada na ziemię. Wtedy bracia uścielają mu wezglowie ze mchu i kwiatów, aby wypłakał się do woli i łatwiej pojednał się z ziemią. Zowią to pocieszeniem, lecz to błąd wielki. Nikt nie oplakuje złamanych piórek swoich, ale płacze, bo zranione skrzydełko nie lata już po niebieskich przestrzeniach.

Nie chciałam cię zatem pocieszać, ani oswajać cię z myślą wygnania. Ta ziemia, jakkolwiek błyszcząca, byłaby ci zawsze twardą i zimną. Otrzyj łzy i dalej, dalej! Boleść wysiłku w mig przeboli. A kiedy na łonie światłości, niczego żałować, niczego zazdrościć tu nie będziesz, powołaj nas w twe ślady, nas biednych i słabych, zgiętych pod brzemieniem tyłu cierpień. Nie mów mi, że łzy twoje nie są dla świata, że cię błędnie posądzam. Ty nie płaczesz za niebem, bo możesz go zawsze osiągnąć, nie płaczesz za winy twoje, żal jest bowiem radością. Powiesz mi: płaczesz za marzeniami twemi! marzenie, to odbłysek nieba, lecz to nie samo niebo! Promienie odbite na wodzie, olśniewają z daleka, lecz woda zimna, gdy przyłożymy rękę do niej, to piękny kwiat bez owocu, błyszczący we wszelkie ideały, z wyjątkiem tego ideału, co pragnie zniszczyć wszystkie inne w pokornem oczekiwaniu łaski. Jak-żem ja lubiła marzenie jeszcze rok temu, jak bajki o wróżkach w dzieciństwie, czarodziejstwa duszy, po czarodziejstwach

¹⁾ Tłomaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchnińską.

ocznu. Ileż to razy płakałam, budząc się do rzeczywistości tego świata, ja, która w tych czasach zapominałam o prawdziwej, nadziemskiej rzeczywistości. Doprawdy przychodzi mi niekiedy szalona myśl, że to życie jest tylko snem, a my dlatego słabi, że śpiemy i gotowiśmy powiedzieć sobie przechodząc od snu do rzeczywistości: „Tu zaszła zmiana w scenach mojego marzenia!“ Bohdanie, niech prawda oświeci cię i pocieszy; napisz do mnie czempredzej, powiedz mi, żem ci nie sprawiła przykrości. Byłabym grzeszną, gdybym nie ostrzegła mego brata w Bogu, sądząc, że się zabłąkał. Jeśli w troskliwości mojej, przesadziłam twą winę, lub jeżeli źle pojęłam duszę twoją, Bogu niech będzie za to chwała, ale dopóki nie wywiedziesz mnie z błędu, pozwól niech jeszcze dodam: Bohdanie, Bohdanie! ty nie dość zapominasz o nicestwie tej ziemi. Ty piszesz z najgłębszego przekonania, pisząc idziesz za powołaniem twojem, czułbyś wyrzut, gdybyś go zaniedbał, gdyż dano ci może pociągnąć wielu na drogę pańską, a oto dla niejakich względów światowych, słowa twoje zamiast rozlegać się w pośród ludów, wnikają tylko w niektóre dusze uprzywilejowane.

Co ci uczynił Józef, że go zasmucasz? jego, co cię tak kocha, i odmawiasz mu przyjęcia małego współludziału, w jakikolwiek bądź sposób, w sprawie wam powierzonej. Tyś wyższy nad ciasną i samolubną pychę, która lęka się zobowiązania, jak gdyby nie było równie słodko i szlachetnie czuć wdzięczność, jak odbierać jej dowody? Zresztą jeśli jest tu jakaś obligacya, to raczej dług ze strony świata, niżeli z twojej. Nie wątpię bowiem, że Józef ma tysiąc razy więcej na sercu pożytek świata w dopełnieniu missyi, niżeli twoją chwałę. Opór twój, który wpływa na tyle istot, nie jest czem innem jak zbytnią delikatnością; ty musisz ją odrzucić. Nie ociągaj się z dopełnieniem missyi dla względów małej wagi pomiędzy chrześcijanami.

Nie miejże dla mnie gorzkiej myśli, niech żalu do

mnie w sercach nie będzie. Módl się za mnie i za nas wszystkich, jak gdybyśmy już nie byli na świecie, ale w miejscu oczyszczenia, gdzie będziemy po śmierci.

Napisz do matki mojej, Bohdanie, ona wiele cierpiała w tych czasach, a twoje listy sprawiają na niej, tak miłe, tak zbawienne wrażenie. Ona tobie tak ufa. Niech Bóg wspiera was obu i błogosławi.

Do Bohdana Zaleskiego.

1837.

Jeśli panu tej wiosny zawitała kiedy błoga chwila, pewnie uczucie szczerego dziękczynienia z głębi Ukrainy przez góry i morza znalazła drogę do pana. Święty uczynek chrześcijański, utwierdzenie w męstwie i pocieszenie cierpiącej, ukończenie, ukołysanie duszy mojej własnej mamci świętym życzeniem wywdzięczę. Niech Pan Bóg błogosławi. Żądanie pana spełniłam wiernie. Pozdrowiłam od wygnańca, zadumanego gdzieś na cudzym brzegu o krwawej sławie naszej, stepy, wiatry czarnomorskie, nasze niebo wschodnie, wysokie, iskrzące. Grudkę ukraińskiej ziemi dla pana posyłam, dla Józefa trochę trawki na mogile rwanej. Może stęsknione za ojczyzną, obu was nad Dniepr przeniosą. Zastalibyście uczennicę zmienioną, poprawioną przykładem świętych. Któremu z dwóch panów winną jestem przysłanie ślicznej książki, gdzie wskazana droga powrotu do Boga? Tej bardzo potrzebnej książki dla nas wszystkich, co zachmurzamy narodową przyszłość naszą grzechem nienawiści i dumy. Notatki do historii ukraińskiej, obiecanę kiedyś, z niecierpliwością czekam, bo ulepianie kamiennego gniazdko nie przeszkadza bujaniu po stepach. Do zobaczenia, dobry panie, w dalekich, lepszych czasach, pełniejszych życia, bliższych im nieba.

Dyzia.

*Do Józefa i Bohdana Zaleskich*¹⁾.

27 listopada 1839.

Tak już dawno odwykłam od miłej pogawędki z wami, mój drogi Józefie, mój drogi Bohdanie, iż wierzę zaledwie, że łaska Boża, udziela mi dziś tej pociechy. Nasza korespondencja urwała się nagle, skutkiem nieszczęść²⁾ i podróży, jaką odbyłam i sama nie wiem, gdzie ją napowrót związać. Aby zapłacić ogromną przestrzeń między ostatnim a tym listem, potrzeba ci spojrzeć w rozdartą pierś moją, słowa nic nie powiedzą. Czułam, że dusze wasze przebywają między nami, bo inaczej jakby wytłumaczyć waszą ciągłą obecność w myśli mojej? Józefie, raz jeszcze powtarzam: słowo to rzecz martwa; przecuj jeśli widzieć nie możesz. Wracać mi tu do przeszłości niepodobna, znasz ją w ogólnych zarysach, szczegóły pozostaną na dzień, kiedy miłosierdzie Boże pozwoli mi zobaczyć was znowu. Ale możebyś rad rzucić okiem na moje gniazdko, zagubione gdzieś w stepie? pobłogosław je z daleka spojrzeniem i modlitwą.

Czy widzisz w myśli twojej step wybiegający w przestrzeń niezmierzoną i czy widzisz rzeczkę jak się rozwija długą błękitną wstęgą, i niknie gdzieś przed okiem? Tylko w oddali, tu i owdzie grupa drzew i chata. Otóż Józefie, jedna z tych chat, nie różniąc się od innych, tem chyba, że trochę większa, to moja chata. Potrzeba mi było koniecznie własnego zakątka, nawet niezależnie od tęsknoty do życia samotnego. Nie mogąc mieć domu, kazałam urządzić jako tako chatę wiejską i w pośród zimy zaimprovizować schronienie dla siebie i trojga dzieci moich³⁾. Poślam ci plan: w pokojkach

¹⁾ Tłomaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchinińską.

²⁾ Aluzya do wysłania w głąb Rosyi pani Iwanowskiej i pani Józefowej Zaleskiej za korespondowanie z emigrantami.

³⁾ Dzieci te były wychowywane przez panią Poniatowską, która potomstwa nie miała.

dotykam ręką belek sufitu, ale przynajmniej choć tak ubogo, starałam się, aby ciepłą była i wygodną dla szczupłego gronka naszego, i sharmonizowałam ją o ile można z wewnętrzną myślą moją. Nic tu nie krzyczy, ani kolory, ani drzwi, ani podłoga. Papier na ścianach błękitny lub szary, podłoga wysłana, aby nie rozlegał się odgłos kroków. Kiedy dochodzimy do tego, że każda myśl rani jak ostrze miecza, zaczynamy cenić ten pozór zewnętrznego spokoju. Biedna dusza ludzka, w cierpieniu starzeje się aż do zdziennienia!

W tej chacie milczącej, życie upływa też cicho. Wstaję o szóstej: ukończywszy mnóstwo drobnych zajęć kobiecych, idę o ósmej na herbatę. Wszyscy razem zbieramy się w koło stołu: troje dzieci, ich bona, ich nauczyciel i ja. Mój mąż bardzo zajęty po za domem, nigdy prawie niema go między nami. Dzieci gwarzą, śmieją się, jak gdyby na ziemi nie było nic oprócz radości. O dziewiątej zasiadamy w moim ciemnym pokoiku, ja na sofie przy małym stole, troje dzieci naprzeciwko; zaczyna się lekcya historyi kraju naszego, wykładam ją sama, zarówno jak katechizm.

Czy wyobrazicie sobie Nisię perorującą po profesorsku, jak z powagą na czole opowiada dzieciom pilnie zasłuchanym zdarzenia danej epoki z drobiazgową ścisłością? Wolno im zapisywać notatki, wolno zadawać pytania; te rozmaite objaśnienia prowadzą nas niekiedy aż do antypodów. Jeden tylko warunek konieczny: nazajutrz muszą mi opowiedzieć całą lekcję. Potem czytamy kolejno coś w związku z dzisiejszym wykładem; wreszcie przychodzą moje dziewczęta, przyszele pokojówki, po jednej na katechizm. Wszystko to trwa do południa. Juncia¹⁾ i Irenka²⁾ biorą od bony swojej lekcję niemieckiego języka, Franio³⁾ pracuje z guwernerem. Odtąd

¹⁾ Józefa Iwanowska, najmłodsza siostra pani Dyonizyi.

²⁾ Żurakowska.

⁴⁾ Franciszek Zaleski, syn Józefa.

do wieczery, zbieramy się tylko na obiad i herbatę, wszystko to prędko się odbywa. Po ściśle określonym czasie, każdy powraca do swych zajęć. Te godziny należą zatem do mnie; jedną lub dwie poświęcam na pisanie listów.

Bóg rozprószył daleko wszystkich moich¹⁾. Co leży w duszy najmniej bolesnego, tłumaczy się w listach, ulata jak ptactwo na różne strony globu. Co zaś zbyt dzikie, aby przyjąć mogło formę ogładzoną i przyzwoicie wystąpić przed światem, pozostaje w duszy i wylewa się tylko przed tym, którego nie dziwi. Oprócz niego i kilku dusz wybranych, obdarzonych duchem proroctwa dla cudzych cierpień, nikt nie słyszy wykrzyku boleści, nawet najbliżsi, nawet najukochańsi. Dlatego to osamotnienie moje, tak głębokie w tej chwili. Od dzieciennych lat, gorzko je odczuwałam. Człowiek rozumie wszystko, prócz cierpień brata swego. Bóg położył tę granicę, aby ten kto cierpi nie rozpraszał się na zewnątrz, skupił w sobie całą siłę boleści i pozostał wobec niego tajemniczą przepaścią.

Pacierz wieczorny łączy nas w ciągu dnia po raz ostatni działość, sługi i słowem wszystkich, jednym połączonych wyznaniem. Jedno z nas czyta modlitwy, tak piękne z książki, którą mi dałeś Józefie, czy pamiętasz? Inni je w myśli powtarzają. Nigdy prawie nie złożę rąk do modlitwy, abym dwóch imion waszych, nie wyszeptała przed Bogiem. Każdego wieczora, kiedy oczy moje zamykają się do snu, znakiem krzyża obu was błogosławię. Wielką jest potęga duszy, nie zna czasu ani przestrzeni. Tak już dawno was nie widziałam, przecież jesteście ze mną, wszędzie i zawsze odpowiadając każdej myśli mojej, dzieląc mą każdą boleść. Zdaje mnie się niekiedy, żeście byli w chacie mojej, siedzieli tu przy kominku, przeglądali książki moje. Byłoby to prostem złudzeniem?

¹⁾ Matka i ciotka były zesłane w głąb Rosyi, ojciec jej i brat Rościśław udali się też za niemi.

Alboż i ja nie byłam nigdy u was, alboż nie widziałam stąd waszych twarzy bladych, pochylonych nad księgą, i waszych łez, gdy klęcząc modlicie się samotni? Nigdyż wam przed oczyma duszy, nie ukazał się ten głęboki grób, którym ja jestem? Czyżście nigdy nie prosili Boga, aby jak każdy grób, i ten stał się kolebką życia wiekuistego? Wszelki popiół używa spokoju. Od lat tylu moje serce rozbite w gruzy i dla czegoż tak cierpi? Czyż będzie konać aż do dnia ostatniego? Błogosławiony Pan, Jego sprawiedliwość jest miłosierdziem, bom ja wiele grzeszyła. Potrzebuję wyznać przed jakąś duszą litościwą, żem ja biedna grzesznica, potrzebuję, aby ktoś uwierzył w to i pomodlił się za mnie! Józefie, nie kładź tego na karb mojej pokory! Dusza moja przeżyła dni bez liku, tak gorzkich, że ostatni rok dorzucił do nich ledwie cień jeden więcej! Nieszczęście, wielka próba!

10 grudnia.

Kilka dni ubiegło, a nie zapieczętowałam mego listu. Bóg ulitował się nademną, przygarnął swoje biedne stworzenie, pozwolił duszy ukoić się na myśl o miłosierdziu i burza uciekła. Kiedy nam boleść zesłana, jak gorzki korzeń, który okryty ziemią wydaje kwiat wiekuistej piękności, to zaledwie nazwać można cierpieniem: mamy już tutaj niebo! Ale cierpieć z myślą, że to co nam szarpie serce, dzieli nas jak przepaść od Pana, nie śmieć oczu podnieść ku niemu, czuć się odrzuconym sierotą! a przecież jedno jego spojrzenie starczy na uświęcenie takiej nawet boleści! Oczyszczona ze zmały, ona pozostaje w sercu, jako wieczna pokuta, jako wieczna modlitwa za tych, których skrzydła starzane w prochu, nie rozwinęły się jeszcze; ona pozostaje jako jałmużna, którą wypłacamy Bogu za biednych braci, jako słodkie błogosławieństwo, czuje bowiem, że okupuje winy, nieprzebrany to skarb dla serca!

Niech wszelkie błogosławieństwo Boże spływa na was

obu, których liczę do wybranych moich. Jakkolwiek biedna grzesznica, nie godną jestem wyblagać nic u pana, mam ufność w jego miłosierdzie. On was nie pozostawi o siłach waszych i ześle wam anioła, aby szedł przed wami, i wskazywał wam drogę!

Bohdanie! gdybyś ty wiedział jak mnie przeraża myśl twoja, wstąpienia do zakonu! Zamiar święty, ale jakiejże to łaski potrzeba, aby godnie wydał owoce! Uczucia twoje gwałtowne, wyobrażenia bujna. Wierzę zupełnie, że czyny twoje będą zawsze godne świętego stanu, ależ to niezmierzona przestrzeń myśli! jakże to trudno utrzymać ją nawet pod lekkim jarzmem prostej powinności chrześcijańskiej, a cóż dopiero w życiu zakonnem, gdzie najmniejszy odcień liczy się za grzech lub zasługę? gdzie umiemy zaledwie pochwycić wielką różnicę między przestępstwem mimowolnem a popełnionem ze świadomością. Jakże je trudno rozróżnić? a tu myśli jak fale płyną a płyną, że nie możemy ani obliczyć ich, ani zapamiętać, ani rozpatrywać dość jasno, aby wydać sąd o nich! Myśli, skutki prostej słabości, te wrogi nasze, stają się zbrodnią w zakonniku powołanym do wyższej doskonałości! Bóg sam wie do czego cię przeznacza, Bohdanie, módl się, módl, aby cię oświecił, ale przez litość, niech chwilowa egzaltacja, wywołana może zmartwieniem, samotnością, nie pociągnie cię do ślubów nieodwołalnych! Biada temu, kto kadzielnicę swoją podsyca ziemskim ogniem!

Bohdanie, czyżbym się sprzeciwiała woli pańskiej, żądając w imię świętych braterskich uczuć, jakie mam dla ciebie, abyś odwłókl jeszcze, odwłókl na długo ostatnie postanowienie? Powtarzam ci, twoje serce za młode, za gwałtownie jeszcze uderza. Nie masz tej siły, co daje niezmacony spokój. Nie dość aby wszystko co ziemskie spłonęło w żarliwej i bezinteresownej miłości Bożej, potrzeba, aby popioły nawet wystygły. Potrzeba, opuszczając wszystko co było drogiem, co pociągało na tym padole, czuć się zadowolonym, tem właśnie,

że serce dawno odrzuciło te ponęty, i żadna z nich nie przyniesie radości. Wszelka radość ma odtąd pochodzić wprost od Pana. Bohdanie! z ręką na sercu, możesz-li to powiedzieć? Ty nie masz pokoju, tego znaku zwycięstwa, a przynajmniej on spływa na ciebie, tylko w chwilach szczególnej łaski, jak spływa na nas grzeszników, niby rosa na ziemię spaloną, którą skwar letni wysusza aż do ostatniej kropli. Nie mogę nic sama przez się, wiem o tem, Bohdanie, proszę tylko Pana, aby cię ustrzegł od przepaści, która przeraża mnie dla ciebie, aby cię natchnął wolą swoją. Błagam Go, niech na was obu ześle wszelkie błogosławieństwa. Żegnam was ukochani w Bogu, posyłam wam pozdrowienie w Chrystusie. Niech pokój będzie z wami!

Do panny Maryi Sharp w Rzymie ¹⁾.

16 czerwca 1841.

Cóż ja ci powiem, aby wytłumaczyć długie milczenie, Maryo, ukochana moja, długie to prawda, ale nie tak uporczywe jak myślisz? Nie otrzymałaś widocznie kilku listów, które od czasu do czasu wysyłałam i nie dziwię się temu, bo ja także, nie odbierając słówka od ciebie, nie wiedziałam gdzie jesteś i jak adresować. Ten list posyłam na chybił trafił, niech Bóg pokieruje go do ciebie, droga moja, niech cię dojdą słowa przyjaźni, jakich dawno odemnie nie słyszałaś.

Maryo, ileż to goryczy doznało serce twoje, kiedy w zamian za długie listy, które pisałaś w najważniejszych i najboleśniejszych chwilach życia, odbierałaś tylko milczenie, znak obojętności i zapomnienia.

Maryo, żaden z tych listów nie doszedł rąk moich. Nie wiedziałam o niczem, ani o projektach małżeństwa, ani o cho-

¹⁾ Tłumaczone z francuskiego przez panią Sewerynę Duchińską.

robie. W ostatnich dopiero czasach otrzymałam po raz pierwszy stary list z Rzymu, w którym opisujesz mi w ogólnych zarysach, całą historję twoją od lat dwóch.

Biedna Maryo! Bóg cię bardzo ukochał, skoro ci dał taką matkę jak twoja, która miała odwagę stanąć między tobą a mądrością ludzką i oprzeć się poświęceniu, jakie gotowa byłaś spełnić, z całego spokoju duszy twojej, dla zapewnienia materyalnego dobrobytu rodzinie. Gdyby można było osiągnąć ten cel, nie miałabym może serca odwozić cię od ofiary, od tej okropniejszej od wszelkich innych, bo wystawia duszę na tortury, aż do ostatniej chwili życia, podnosi ją ku Bogu i w samychże udręczeniach daje radość męczeństwa! Ależ, mój aniele, potrzeba być dzieckiem, aby wyobrazić sobie, że każdy małżonek będzie wsparciem rodziny, mimo, że obiecuje to przed ślubem. Jakże to trzeba znać i szanować człowieka, aby zaufać tego rodzaju przyrzeczeniom, aby być pewną, że nigdy niedelikatne słowo, nigdy przykry rzut oka, nie zaprawi goryczą biednej matce twojej dobrobytu jaki jej zapewni, że nie zniszczy tem samem owoców z ofiary całego życia twego. Matka twoja bardzo cię kocha, Maryo! myśl o niej, przytul się do jej serca, powiedz jej, że się chylę u jej stóp; przypomnij tę, którą nazywała drugą córką swoją. Jak ty musiałaś płakać, Maryo! jakież to lata smutku i opuszczenia dla was wszystkich, tam drodzy moi, a ja tak oddalona, nie mogłam powiedzieć wam nic, ożywić was jednym słówkiem pociechy, i tylko myślą goniłam za wami co chwila, i wyciągałam skuwane ręce i nie mogłam was dosięgnąć! Mój Boże! czy wy czujecie jak ja was kocham? Gdzie jesteście obecnie? Gdybyś ty wiedziała jak mi przykro nie wiedzieć w którą stronę obrócić oczy, aby spotkać się z wami!

Piszę do ciebie, Maryo, od ojca mego, gdzie wszyscy prawie zebrani jesteśmy w tej chwili.

Dziwny to był widok, dla anioła Bożego, który przeniknął obecnie tajniki serc naszych, ten powrót nas wszystkich

do gniazda rodzinnego po kilkoletniem oddaleniu. Cudnie piękne to gniazdo, z bogatą roślinnością, z mnóstwem drzew i kwiatów i białymi wodami. Wszyscy ze łzami je witali; bo każdy nosił żalobę w sercu: biedni rodzice po stracie jedynego syna, najdroższego z dzieci, siostra moja po stracie swych marzeń i nadziei, wszyscy po oddalonych braciach. Ja, Maryo, sama jedna nie płakałam; patrzałam na to gniazdo temiz samemi oczyma, jakimi żegnałam je przed odjazdem. Oddawna to grób dla mnie, zimno mi tu jak w grobie, i lzy mi nie przychodzą. Znalazłam tylko w kaplicy obraz Chrystusa, przed którym modliłam się za dobrych i złych dni, któremu przynosiłam tyle kwiatów w dzieciennych latach, przed Nim zapłakałam, bo patrzył na mnie miłościwem okiem jak niegdyś... On jeden się nie zmienił!

Odpisz mi zaraz, Maryo, abym wiedziała gdzie mam posyłać listy.

Bóg z tobą i z twoimi, niech ci daje siłę i radość!

Do Bohdana Zaleskiego.

Rzym, 28 stycznia 1842.

Niechże Bogu będzie chwała za wyzdrowienie naszego kochanego, biednego Józefa. Obaczmy się, obaczmy pewnie, przytulim was, popieścim, poszczebioczem jak tam u nas szczeniocią, może Bóg da na chwilkę zapomnieć o sieroctwie, biedni. Byleby tylko Józefa nie narażać za wcześniej na podróż, zwłaszcza w zimie. Po takiej chorobie jak zapalenie piersi niema co siłami bardzo wojować z niepogodą i niewygodą. A stąd już widzę jak się on wyrwać będzie. Ale, mój Bohdanie, nadzieja w staraniach twoich i władzy twojej nad nim, że mu się nic złego nie stanie. Choćby się przyjazd wasz spóźnił trochę, my na was czekać będziemy, dawajcie tylko znać o sobie. O nas bądźcie spokojni, nie wierzcie złym wie-

ściom. Twarz blada i nieświeża, ludzie myślą, że chora, a to tylko młodość zwiedła, nic więcej. Kiedyś ja znowu młodą będę, z pod białych włosów błysną jasne, ale czy prędko Bóg jeden wie, do tej młodości dopierom w drodze, w dzieciństwie.

Wiesz ty, Bohdanie mój, czemu w jesieni żółkną liście i opada? Bo niema już dlań soku, ni miejsca, świeże pączki na gałązkach. I prócz jesiennego, mroźnego wichru, prócz jesiennego zimnego słońca, nie biedne pączki niemają, sieroty na nagich konarach, aż śnieg zapruszy i usną na długą zimę do wiosny. Czy z twojem natchnieniem nie to samo się stało co z moją młodością, Bohdanie? Czy ci w zamian tego co znika, wiekuiste nie świta? Nie smućmy się wcześniej, jeszcześmy może nie wyrozumieli myśli Bożej, co się na nas spełnia. Guślarza, gęślarza siły nam trzeba wiele, wiele. Głosu nam trzeba, któryby nam słowa Boże powtarzał. Serca nam trzeba, któreby inne z martwych zbudziło. Nam wierzącym nie czas w płacz uderzyć.

Ah! na kiedyś pogadanka. Józefie, Bohdanie, pokój wam i radość Boża, to jest jasnowidzenie miłosierdzia Bożego wam smutnym i opuszczonym. Błogosławieństwo i łaska na was i wszystkich naszych i nie naszych, wszystkich, wszystkich.

Do zobaczenia prędko, już prędko.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Florencya, 23 października 1842.

Przecie dobiłam się do was, kochani. Wczoraj odebrał St. P. przez jakiegoś pana w Marsylii, o którym nie wiem nawet jak się nazywa, wiadomość, żeście zdrowi obadwa, że już wiecie, że ktoś całem sercem czeka na was we Włoszech, że się już mój wujaszek drogi o paszport stara. Rozjaśniło mi

się, w duszy lżej i weselej i dzień mi błękitniejszy i Włochy nie tak puste, od kiedy wiem pewnie, że mi was Bóg na jakiś czas daruje, bo mi się już czasem zdawało, że daremne starania i że przyjdzie czas powrotu do domu, nim wynaleść was potrafię. Dwa miesiące jak na wszystkie strony listy do was rozpisuję. Ale przecie, przecie, Bóg taki dobry. Niech was nie zatrzymuje trwoga o przyszłość naszą. Nie zaniechamy żadnych ostrożności, jakie tylko w ludzkiej mocy będą, i to przez wzgląd szczególnie na kochanych, którzy w złem razie więcej by pewnie od nas cierpieli, reszta w Bożym ręku.

Przybывajcie do Marsylii, tam zastaniecie list z uwiadomieniem, dokąd wprost jechać macie, bo na cóż się wam daremnie za nami po Włoszech kręcić.

Wujaszku mój, drogi Bohdanie, pokochać was, pożalować biednych, biednych gdyby już prędko. W domu wszyscy zdrowi i spokojni. Spokój więc i wam kochani. Spokój, pociecha i radość Boża i wszelkie łaski, wszelkie błogosławieństwo z wami, kochani.

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

25 października 1842.

Czemu to ty jeden, wujaszku, o paszport się starasz, doprawdy miałam przecucie, że mi się Bohdan po dawnemu popisie, tylko wstyd mi było mówić komukolwiek, a tembardziej pisać o tem do was. Na wszelki przypadek, gdyby się nasz dziadek poprawił, nie chciałam mu złej myśli podawać. Otóż daremna ostrożność. Gotów jak przed siedmiu laty, gdzieś o dwie poczty od nas osiąść i stamtąd jak z za morza pisywać. Mój Bohdanie, mój braciszku, pomiarkuj no tylko sam. Jakże ja wrócę do mamci, do Kici, do wszystkich naszych i powiem Bohdan na wilczka zdziczał, tak, że z nim rady niema. Nie-

tylko świata, ale i nas się boi i żadnym sposobem z norki swojej wyleźć do nas nie chciał. Coby mamcia na to powiedziała? Rozplakałaby się na synka pewnie, a wtenczas źle by było, oj źle.

Doprawdy, Bohdanie, my nie ludzie, przyjeźdź, obacz, a przekonasz się. Spróbuj jak to z nami, jeśli ci się nie podoba, to sobie wrócisz do Francji zaraz, przyjeźdź, przyjeźdź z Józefem. Gdybyście wiedzieli z jakim upragnieniem czekamy na was, nie wahałbyś się ani chwili. Albo, mój wujaszek kochany, czyż to nie dopust Boży? Szukaliśmy go dwa miesiące, ledwie, ledwie wynaleźli. Już o paszport się stara i jeszcze rozmyśla.

Bohdanie, Bohdanie, zmiłuj się, nie dziwacz. Przepraszam z serca za te srogie słowa, ale już naprawdę nie wiem co wymyśleć, żeby was przyciągnąć. My głos z domu, od żywych i umarłych, od stepów i Dniepru, od Horodyszcz i Mogił. Głos wszystkiego co tam było, a kto wie, może i tego co będzie, bo moc Boża wielka w słabym człowieku, ducha proroczego daje miłości jego, kto kocha, widzi, przybywajcie, przybywajcie. Boże, przyjeżdżajcie prędko, prędko.

Nisia.

Jednak, Bohdanie, jeśli ci to ma przykrość jaką sprawić dla przyczyny, której może nie wiem, kłopotu albo niepokoju nabawić, to nie przyjeżdżaj. Wszak ja dobra tylko dla was pragnę, pociechy i łaski Bożej. Niech Bóg broni, ażeby prętem co złego się wam stało.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Florencya, 27 listopada 1842.

Kochani, kochani, od sześciu tygodni już trzeci raz piśkę do was, a od was odtąd ani słówka. Myślałam, żeście w Paryżu, teraz jeszcze próbuję czy w Marsylii was nie znajduję.

Placz mnie bierze na myśl, że czas ucieka, a was niema a niema. Są tu dla was posylki z domu, ale nie wiemy dokąd je wyprawić trzeba, ażeby wam dojsć mogły. Jeśli Bóg pobłogosławi tej kartce i ona zastanie was w Marsylii, nie czekajcie na nic, nie oglądajcie się na nic, tylko przybywajcie. Gdyby nie ta ciężka glina, jużbyśmy dawno byli z wami. Jużemy się tu ułożyli, rozgospodarowali. Nibyśmy u siebie, mamy już gdzie was przyjąć.

Ach! przyjeżdżajcie, przyjeżdżajcie, kochani, tak za wami już tęskno, tak łzawo w sercu. Zmiłujcie się, przyjeżdżajcie prędko. Pieszczotka wam i błogosławieństwo obydwom: od wszystkich waszych; choć z daleka tuli was i hołubi.

Nisia.

Kochani, kochani, łzami was proszę, nie opóźniajcie się, jeśli teraz morze burzliwe, nie narażajcie się, broń Boże, lepiej lądem. Jeśli wam spokojność Nisi choć troszkę droga, nie wybierajcie co taniej, ale co bezpieczniej. Moi, wy moi, pierwsza to do was prośba, nie odmawiajcie.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Rzym, 22 lutego 1843.

Kochani Józefie i Bohdanie, szczo bude to bude, a to bude szczo Boh daś'. Po tej ukraińskiej przedmowie, dorozumiewacie się rzeczy zapewnie. Oto czekamy was z upragnieniem. Szukać wam będziemy pomieszkania jak najbliżej od nas, bo z Daryusza nie osobiwszy piechur, a tu idzie o to, żeby ciągle być z wami. Dotąd Daryusz dyktował i X. Terlecki coś tam chciał dodać, że się wy i im trochę należycie. Ale nic z tego. Kto was mieć chce, u mnie wyprosić was musi. Obaczą czy drożyć się umiem. Ach, kochani, kochani, przybywajcie. Czemu naprzeciw was wyjechać nie mogę. Ach prędey, prędey przybywajcie. Z domu zawsze dobre wieści,

chwała Bogu. Mnie się zdaje, że jutro wieczór powinniście być z nami. Jaki Bóg dobry, że mnie was w Rzymie daje. A nie śmiałam się tego spodziewać.

Do zobaczenia. Żal mi, że was Bogiem nie pożegnała, a więc Bóg z wami i aniołowie Jego.

Dyzia.

Najmilsi w Chrystusie, widzieć jakim sercem was wszyscy wyglądają, a wierzyć zapewne, że i ci co się w jedności Chrystusa z wami połączyli, niemniej serdecznie was oczekują. Spodziewam się, że przyjdziecie pojutrze zrana lub jutro w nocy, skoro staniecie na doganie, w mieście przyszlizie po mnie Vicolo del Mortaro Nr. 58, o którym bądź czasie przyjdziecie, przyszlizie po mnie.

Wasz na zawsze w Chrystusie brat
Terlecki.

Ponieważ ten list nie mógł odejść przez dyliżans, więc i ja mogę się do niego przypisać i dołączyć z mej strony najserdeczniejsze zapewnienie radości z powodu przybycia waszego, najmilsi bracia. Oczekujemy was wszyscy z upragnieniem, polecając was Matce Boskiej by was szczęśliwie z Civita Vecchia tutaj przeprowadziła. Do zobaczenia zatem. Bóg z wami.

Wasz w Chrystusie Panu brat
Hube.

Do pani Felicyi Iwanowskiej.

Rzym, 16 marca 1843.

Mamciu jedyna, moja droga, kartkę papieru kładę oto przed sobą, bo przecież poszło w obyczaj z bliska czy z daleka, długo i szeroko z mamcią gawędzić. Ale co dziś napisać? Nie wiem doprawdy. nie wiem, bujno w sercu, ludno w myśli, gorąco w każdej krwi kropelce, jasno i lotnie nad ziemią, jakby Chrystusa wejrzenie ogarnęło z góry, a czynno i pilno, jakby widomie umykał już czas i nachylała się ku nam wieczność. Cóż pisać, mamciu? W słowie jak można najmartwiejsze kształty wcielać, ducha by przelatującego nie uczuła

nikczemność i nie zadrżała? Darmo, rozpękną się kształty, w proch opadną i duch bez zasłony zostanie. A potem. Wcielać jest to choć chwilowo więzić czasem i przestrzenią, w moc oddawać prawu materjalności, prawu skończoności. Kiedy człowiek iskrę swoją od ogniska, od Boga, oddzieli wolą, którą ma wolną i jedynie w rozum swój zawierzy, działać inaczej jak wcielaniem nie może i wyrobnikiem jest tylko, to na to wcielanie pracuje wyrachowaniem i dzieła rąk jego nie żyją. Ale kiedy wiarą związek swój przyrodzony z Bogiem zachował, kiedy się z nieba nie wynarodowił, kiedy ciągle żyć z niego czerpie wiarą, pokorną modlitwą, żądzą i popędem ducha ku tej ojczyźnie, ku tej jedynie wiecznej i bez złudzeń rzeczywistości, wtedy tworzyć może, to jest życiem swoim życie w martwych zapalać nie pracą, ale tchem, wolą, czuciem prawdy, tem coś, które pod kredką wyrachowania pochwycić nie można, czem jednak ludzkość żyje, za czem goniąc postępuje. Praca w tworzeniu na tyle jest konieczną, na ile koniecznym był do wskrzeszenia uścisk, którym umarłego do piersi swoich przycisnął Elizeusz. Jest to wszechmocy Bożej danina od nicości naszej, niestworzonemu duchowi od stworzenia wcielonego w glinę, bo umęczenie w pracy, to uczucie niedostatku naszego, potrzeby ciągłej pomocy, a zatem uczucie zależności wzbudza pokorę, która sprawiedliwością jest naszą względem Boga, oddaniem mu należności.

Praca jest warunkiem, okupieniem prawa tworzenia, ale nie samą siłą tworzenia, całą jest czucie bezpośredniej mocy ducha, wiarą na wszechmocy Bożej opartego. Na dowód patrz, mamciu miła moja. Oto nie mam dziś żadnego sposobu wyrazić znakiem myśli, co mi się w duszy żarzy. Oto w zmysłowym świecie przestrzeń między nami i bez liku zawał, czy się one okolicznościami, przypadkami, porządkiem czy ludźmi nazywają, o które tysiąc razy rozbiłby się głos, nim doszedł tam do was, i niepodobieństwo to słowo piekielnej pokusy, to słowo śmierci, jużby zdrętwiło niewierzących. Ale

dla nas, którzy wierzym, świat zmysłowy dzieciństwem, martwość ludzka nicością na twórcze tchnienie miłości naszej oczekującą. Oto ten zimny, przeciwniegi nam świat dziś chwilowo posiada moc w granice nas swoje nie wpuszczać, wcielać nawet w słowa nie pozwala, a jednak mimo niego, życie nasze niewidome a twórcze leci, ogarnia i ogrzewa, w niego samego wnika i na ducha przetwarza. W tej chwili ku mamci, ku naszym tam wszystkim buchnęło, wołą miłości mojej. I wiem, mamciu, tak wiem, pewnie jak wiem, że kocham, że zastanie was zimnych zniechęceniem i smutkiem, zostawi z płomieniem w sercu, bo wam o cudach wszechmocności Bożej i nieograniczonym miłosierdziu poszeptnie, o sprawiedliwości strasznej jego i nieubieżonej. Co nazywamy życiem, jest to słowo Bóg przed wcieleniem jego w zgłoski, przed ześrodkowaniem jego na myśl w stanie uczucia. Jakżeby wszechmocnym być nie miało? Ogarniam was nim, jak żebyście nie ożyli wy, u których cierpienia doczesności aż do duszy doszły, poraniły i w niemoc wprawiły. Oto Bogiem was otulam i Bogiem was miłuję i Bogiem od złego osłaniam, Bogiem, to jest pokojem i nadzieją i siłą i jasnowidzeniem. Wierzcie, wierzcie, a stanie się wam. Wierzcie, a odpuszczone są wam grzechy, wierzcie, a pogojone są rany wasze. Wierzcie, a dla łaknących rozmnożą się chleby. Ale wierzcie pomimo zmysłów, pomimo rozumu, i nie napierajcie się koniecznie oczami widzieć to, w co wierzyć macie, bo by to już nie wiara, ale przekonanie, oczywistość była i gdzieżby zaśluga nasza była. Wiecie, czemu Chrystus do nieba wstąpić musiał, nim by Ducha świętego zesłał, oto dlatego, iż nikt Ducha świętego przyjąć nie może, jeno ten co wierzy, a dopóki uczniowie na Chrystusa patrzali, nie wiara w nich była, tylko prostym rozsądkiem zaświadczonego rzeczywistość.

Ktoś powiedział: wiara jest bohaterstwem rozumu, prawda święta, rozum zaprzeczyć się siebie musi, w przepaść się rzucić, ażeby u w i e r z y ł. Nie można to dość powtarzać. Mam-

ciu moja, przepraszam za ten list. Z góry przeczuwałam i napisałam, że niewiem doprawdy, niewiem jaki będzie.

Dla mamci niby Apokalipsys, którego oto całe tłómaczenie. Kocham i pragnę. Duch mój rwie się z piersi. Wzłata w górę, w górę do Boga i ramiona ku ziemi, ku wam wyciąga. Oh! bądźcie mi wszyscy zbawieni, na ziemi i w niebie, ale lepiej w niebie niż na ziemi.

Bądźcie mi sercem zdrowi. Gronko nasze ze łzami przez góry i rzeki patrzy na was ciągle, jak w tęczę i błogosławi wam rodzonemu, wam krwi z krwi naszej i pokochaj, mamciu, całą Ukrainę za nas, nie słowem, ale rzewnem uczuciem i modlitwą do Najświętszej Panny i Białego Archaniola.

Wszyscy kochani, znajomi i nieznajomi, ale wszyscy nie cudzy ale swoi, pokój wam, łaska Boża i zbawienie, mamcię moją jeszcze tulę i pieszczę ptaszkę moją biedną, słodką, ojca kochanego, dzieci, Juńcię, ciocię, Kicię i wszystkich domowych.

Dyżcia.

Do Bohdana Zaleskiego.

1843.

Bohusiu, zrób dla mnie tę ofiarę i przyjdź zaraz, nie do gości, wcale tego nie wymagam, tylko do mego kominka. Obiecuję uroczyć się, że ci nikogo nie przyprowadzę. Będziesz sobie sam jeden.

Może w śpiewie jakaś nuta się znajdzie co do serca ci się docisnie i pogłaszcze. To nic, że śpiew włoski. Wszak muzyka mową całej ludzkości. I ty ją zrozumiesz, choć Ukrainiec. Jednak jeśli ci to przykro ma być, zostań, doprawdy, doprawdy w niczem nie chciałabym cię zadrasnąć, pokój tobie, biedny, biedny i błogosławieństwo.

Dyżcia.

Do Józefa Zaleskiego.

Rzym, 14 maja 1843.

Niech też Bóg stokroć płaci temu najmilszemu Józefowi za dobrą myśl zapomnienia tu jakichś papierów. Gdzież by to było rozsądnie zaraz nazajutrz po waszym wyjeździe¹⁾ już bazgrać i wysyłać na przepadle do Malty czy Beyrutu listy bez najmniejszego interesu. A tak pocziwy generał²⁾ się krząca, szukając rąk pewnych, a drudzy spieszą się, żeby się nie spóźnić, ledwie że nie dodają: tylko nie zapomnij i nikt ani posądzi o egzaltację.

Kochani moi, najmilsi, otóż wam będzie surpriza. Prawda, żeście się nie spodziewali w Malcie, u księdza Ryłły, głosik Nisi zasłyszeć. Niechże to wam za naukę służy, Nisia nieraz i tam jest, nawet gdzie się jej najmniej spodziewacie, bo Nisia duszek tak jak i wy. Wiele rzeczy słyszy i widzi i w uszka szepce i po serduszkach głaszcze, to gromi, to grozi, to pieści, to lezkami rany zmywa, to na złe nóżką tupie aż jemu strach. A wszystko niewidomie, dziś z wami jeszcze w brzydkiej małej mieścinie, gdzie ciasno i ciemno, za kilka godzin rozbują z wami na jasnych, błękitnych falach z białymi czubkami i złotymi oczkami, tyle oczek co promieni na niebie, a wszystkiemi patrzą na wskrós aż do głębi przez żrenice, aż tam gdzie myśl i życie biją się biedne w samotności jak w więzieniu. Nie wiem jak wy, ale ja zawsze lubię kiedy do mnie tak bez pozwolenia zazierają promykowe oczki ze słońca, czy z wody, tylko na dobry dzień, dobrze, niby na pocałunek pokoju między ziemią, dręczycielką tą śliczną, a mną, bo widzicie trzeba się co rana godzić, kiedy się co wieczora klócim, ale zresztą, co jej do tego jak się u mnie dzieje:

¹⁾ Bohdan i Józef Zalescy puscili się z Rzymu w podróż do Ziemi Świętej.

²⁾ Józef Szymanowski.

Czego się ona na mnie patrzy? Jednym gwiazdkom wolno, bo miłosierne i kochające, dlatego często takie łzawe, aż mi ich żal. Gwiazdki siostrzyczki zupełnie tak jak my, drobniutkie, drżące, gdzieś tam cicho wędrujące nocą z jakimś rozkazem Pana, wielkim a pilnym, ledwie dojrżane w tłumie, a takie samotne, jednym promieniem wschód i zachód miłują, ale pieśczoły tego promienia nikt nie czuje i trudno zgadnąć na co się on wiecznie pod stopy wszystkim milcząc ściele, kiedy pociechy i użytku z niego nikomu niema; zwykle nawet nikt o nim nie wie, a kto go przypadkiem spostrzeże, skarży się tylko, że zimny. Na co gwiazdki ziemi? Na co te dusze niezrozumiałe, niepożyteczne jak lzy, co to ich teraz tak dużo na świecie?

Kochani, kochani, cała cnota nasza w wierze ślepej, że i my na coś zesłani jesteśmy i my do jakiejś całości konieczni potrzebni, bo przecież bez myśli i celu Bóg nie stwarza. Nie skarżmy się, bośmy trochę przejrżeli, gdzie jest ów cel ziemski, pierwsza przystań nim do niebieskiego się dobijem i nie chciejmy koniecznie dojrzeć, jaki w ogóle budowy prosek nasz zajmuje kącik, na czym się opiera i co dźwiga. Módlmy się nie o pociechę, ale o wytrwanie.

Byłam dziś w naszym kościółku. Zastałam śliczną naszą Matkę Boską z wyciągniętymi rączkami jak zwykle, zdaje się, że zaprasza do stołu syna swego. Nie dojrzałam jej twarzy, ale czułam, że pogodna i w słodkie, młode jej dłönki co na Chrystusie piastować się nauczyły, złożyłam jak dzieciątka wszystkich was kochanych, bliskich i dalekich, żywych i umarłych, znanych i nieznanych, dobrych i grzesznych, płaczących i szalejących. Niech hoduje, pieści, poprawia, cieszy, wszak ona Matka, bo darował nas Jej wszystkich Chrystus. Co też ona nas ma, obsiadła dziatwa i na rękę i na pierśsiach, i u kolan, i u stóp, i pod stopami, i daleko gdzieś przed nią czołem w prochu wedle zasług, a ona tylko uśmiecha się i tuli. Choć wejrzeniem z daleka pogłaszcze, a lże

ma w oku, bo nowe jej dziatki, nędzne i chore i biedne, bardzo biedne.

Niedawno do domu wróciłam, pusto u mnie teraz. Mogę czytać czy pisać bezpiecznie, nikt nie przeszkodzi, nikt drzwi nie uchyli i nie zapyta, może przeszkadzamy? I niema komu powiedzieć: chodźcie, chodźcie, no tylko już ja później popracuję. Otóż przyszło już to później. Wy mnie, duszki, nie ubyli, jak nikt z kochanych nie ubywa nigdy. Zawsze przytomni, zawsze razem, że was nawet w pacierzu rozdzielić nigdy nie mogę, tylko teraz nadszedł czas pracy, zebrać siły trzeba w duchu i kopnąć się naprzód, nietylko przez góry i wody, ale co trudniej przez osty i pokrzywy i drobne ostre kamyczki. Przed wszystkim pożałować trzeba czasu co marnie minął i wrócić do ciągłej modlitwy. Strasznie wasza Nisia zła i do niczego, niewdzięczna i niedbała, tak mało się przez te trzy miesiące modliła, roztargnęła się jej myśl na wsze strony, nie przędła ślicznie, gładko w pokoju i miłości od Chrystusa na świat, ale się rwała co chwila, a Nisi to nie darowano, bo Nisia wie lepiej niż kto, jak to można pracować i gawędzić, kochać i płakać, pisać i biegać, a nigdy modlitwy nie przerwać i zawsze Chrystusa czuć wejrzenie na czole. Czyż ja Chrystusa wtenczas tylko kochać będę, kiedy w samotności On jeden mi zostanie? Wprawdzie kochałam ja Go zawsze, ale się Nim nie cieszyła, ale Mu bez przestanku nie mówiła: coś we mnie, że nietylko z rodzimej niemocy stworzenia, ale z miłości, żyjącem życiem mojem jest tylko On. I wam krzywda była, kochani. Miliony kochanych, tyle było godzin, w których dręczyłam się tylko wami, a na okup boleści nie przynosiłam nic, biedni wy, cóż wam z miłości, co się bez przestanku nie modli za was? Gorzki mam żal do siebie za Chrystusa, a potem za was. Radabym wynagrodzić wam te dni co przeszły, pokutować za was i prosić bez końca. Ale cóż? dziwna rzecz, dziwna. Żadnym sposobem nie mogę. Co się ukorzę za siebie i za was, co zacznę Psalmy,

jakaś radość napelni serce i mimowolnie słowa dziękczynienia na usta przychodzą. Czemuś wszystko we mnie chwali Pana jak po zwycięstwie. Czemuś dziękuję Mu za was, jak byście wytrwali już do końca i wszystko już po końcu było. Daro ły i rany na świecie widzę, darmo krwawo bolicie mnie wszyscy cierniem w sercu i mamcia i Kicia i wy sieroty i lud nasz kochany, darmo ły mi cieką, że utulić się nie mogę, darmo klękam, ażeby się Panu poskarżyć i spocząć w nim trochę, tylko kochać i dziękować Mu mogę, nawet mimo głębokiego uczucia niegodności i grzechów moich.

Już się nie opieram, niech i tak będzie, chwała Jemu na wieki.

A z wami co się dzieje, kochani? Jaki tam dzień zabłysnął wam w sercu, nieprawdaż dzień siły? Pokrzepiecież się w nim na inne, w których inna wam łaska dana będzie w podziale, łaska bojaźni i uczucia własnej niemocy. Kochani, och nie smućcie się. Mieszkania wiele tam u Ojca, znajdźcie się tam wszyscy i niezadługo. Na co nam na czużyni namioty rozbijać? Zachciewa się nam używać i wierzyć nie chcem, że niema co. Gdyby na tej pustyni rósł jaki owoc niezatruty, czyżby nam go nie dał Ojciec? Gdyby choć jeden tylko, jużby się ziemia wygnaniem nie nazywała, jużby i do nieba wielu tęskno by nie było.

Czy to wam nic nie szkodzi, że wszystko bazgrzę bez związku, ni sensu, co mi do głowy przyjdzie..... W czwartek zdaje mi się, wyjedziem z Rzymu. Tymczasem roboty mam dosyć, trzeba owe francuskie kartki pokończyć, trzeba komisa porobić, wizyty z pożegnaniem pooddawać, potem na Szwajcaryę do Heidelbergu.

Bądźcie, duszki drogie, zdrowi i spokojni. Piszcie długo i obszernie na ręce księży, ale doniescie, czy moja bazgranina czytelna dla was, bo jeśli nie, to ja może potrafię wyraźniej pisać.

Całuję was w czołko obydwóch, Bóg z wami i anieli
Jego. Pieszczotka wam z serca od

Nisi.

Do Bohdana Zaleskiego.

Bolonia, 18 czerwca 1843.

A do ciebie co napisać. Bohusiu! Jak to się rozgawędzić, kiedy ledwie chwilka czasu i kiedy właśnie o tem co wichrzy w myśli, a potem pruszy niby śniegiem biało, cicho i zimno, o tem nie można ani mru, mru. Jedziem a jedziem nie bardzo spiesźnie, a jednak rzadko kiedy wolną mam godzinę. Smutny mi był pobyt u Marai, smutno patrzeć na opuszczenie i nie móżd przytulić. Obejrzałam się tam trochę w około, towarzystwa niema. Ale zdaje mi się, że są ludzie i że przecie wpatrzywszy się dobrze, jakieś ziarno przyszłości, coś na kształt myśli. Ucieszyłam się, bo już myślałam, że wyjadę ze ślepą tylko wiarą, że to coś istnieje, choć go nie widać. Nie znam ludu, na którymby tak i śladu duszy nie znać było. Śpią głęboko i nawet nie śnią, bo śpią na pierzu. Zdradny to dar, piękny i rozkoszny kraj.

W poniedziałek przejechawszy całą noc, stanęliśmy w Lorecie, właśnie na Mszę św. Komunikowaliśmy w izdebce najświętszej Panny. Ciasna, ciemna, niewybielona, wewnątrz wszystkie kamienie znać, z rodzajem kominka gdzie sobie jeść gotowała. Modliłam się strasznie za wszystkich gorąco, usilnie. Wiesz, Bohdanie, jak gdyby się mówiło, nie wstanę dopóki nie wysłuchasz, bo też zdaje mi się o nic ziemskiego nie prosiłam, chyba jako dodatek niekonieczny. Na kolanach obeszłam domek, tak mi było błogo i spokojnie. Ale pokój u mnie niedługo zwykle gości, bom go nie warta. Nazajutrz, wróciliśmy znowu do świętego domku, klękałam jak w wilią, ale mi nie szła modlitwa. Nie wiedzieć gdzie myśl latała, ani

jej zebrać, ani jej uciszyć. Oderwana od świętego miejsca, zła i grzeszna, raz wraz coś mi szeptało po cichu. Udawałam z początku, że jej nie słyszę i modliłam się dalej i jakiś czas miernie tak szło. Aż jedną razą Bohusia spostrzegam wśród modlitwy, że się ja na tę złą myśl patrzę, ścisnęło mi się serce. Drudzy chwałą Pana, a ze mnie obraza mu tylko, nawet do świętego domku Maryi grzech zaniosłam. Przeprosiłam ją trochę, pokłoniłam się jej i poszłam sobie przed Przenajświętszy Sakrament popłakać. Płakałam, płakałam i nie ulżyło mi i wyjechałam z Lorety z tem jakimś uczuciem słabości, niemocy, trwogi i smutku, z którym to się znam od tak dawna. Bohus powie: niebyło czego gryść się tak bardzo, roztargnienie każdemu się zdarzyć może. Prawda, Bohusiu, to też upadek na duchu jedną jest z chronicznych niedoskonałości moich, próbuję się czasem poprawić, ale utrzymać się na stopniu pokoju, jeśli nie radości, jest dla mnie takim wysiłkiem, takiego natężenia, wzniesienia ducha potrzebuje, że naturalnie po jakimś czasie upadam na siłach.

Tego samego dnia stanęliśmy w Ankonie; brzeg morza, a więc musi być piękny. I wieczór i rano był cudny, letnio w powietrzu i gwiazdy i światelek mało w oknach i cichusienko, bo Ankona pusta jak wszystkie miasteczka włoskie. Mieliliśmy balkon nad samą wodą. Daryusz cygaro palił, jam do mamy pisała, resztę czasu nic nie myślała, tylko na piękność świata Bożego patrzała.

Mój Bohusiu, czasem piękność to samo wrażenie robi co matce śliczna jakaś śpiewka do snu, zasłyszana po śmierci dziecka, któremu ją kiedyś nuciła. Mnie tak kiedyś było, długo, bardzo długo było, teraz zdaje mi się już nie, teraz rozumiem dobrze, że pomarły wszystkie tak strasznie, tak namiętnie wykochane marzenia, dzieci moje ziemskie. Oblicza ich nigdy wyraźnie nie widziałam. One były dla mnie w boleści, równie jak w szczęściu, w znanem czy nieznanem, po znaku piękności macierzyńska moja miłość poznałaby je wszę-

dzie, dobrze, że mi pomarły. Nie dla grzesznej one i słabej kobiety jak ja. Wolnam teraz i jasnowidząca. Rzeczywistości nie masz tylko u Pana i ucieczki nie masz tylko do Pana. Nicość nawet nie do nas należy, przepaść cierpień w około jak wiankiem otacza schronienie u stóp Pana. I choćby nam powiedział: „Niesprawiedliwe jest rzucać psom chleb dzieci“, kraju sukni jego nie puszczajmy.

Mój Bohusiu, bo dokądże byśmy się udali? Próżn i próżn bez końca złamie się, na czym się oprzesz, wyślisznie się, ku czemu w miłości ramiona wyciągniesz. Ach Pan, cóż to za szczęście bez miary i niezasłużone, że On złudzeniem nie jest, że istnieje choć głosem na głos nasz nie odpowiada czasem, ale módlmy się, módlmy, niech nie odrzuci nas nigdy.

W Ankonie, Bohusiu, wstałam rano przed piątą, rzuciłam okiem przed sobą. Woda nieruchoma stała bielusińska jak śniegiem przypruszona, czy lodem tylko ścięta. Jedna tylko wieżyczka na samym brzegu promieniami słońca oświecona. Cudownie przypominały mi się nasze mroźne ranki zimowe. Nieprawdaż, Bohusiu, jeszcze się czasem tak zdarza, że piękność jest dla nas jakby cudzem dobrem, patrzmy na nią, chwalim, ale zawsze z tem uczuciem, że to do nas nie należy, że to z jakiejś sfery nie naszej, radość, którą ona roztacza, nie wchodzi jako żywioł do zwykłego życia naszego i spoufalić się z nią nie możemy. Jednak zawsze powtarzam: mnie się teraz tak nie dzieje, nie wiem jak mi jest. Co piękne radabym oddać mamci, wam, wielu innym, u was by owoc przyniosło a jam niegodna.

Śliczna droga z Ankony do Forli; część jej brzegiem morza się ciągnie. Jak dzieci, zbieraliśmy kamyczki i uciekaliśmy przed falą, a morze szumiało, szumiało wieczną swoją modlitwą, i nas uczyło coby się nie działo w około czy w nas. Módlmy się, módlmy dopóki tchu. Bardzo my Pana obrażamy smutkiem, smutek to pożądanie czegoś, choćby z nieziemskich

rzeczy, a nam święta jego wola za wszystko stanąć powinna, smutek to nie ufność w miłosierdzie jego.

Bohusiu, wynajdź gdzie Soeur de la Nativité, vie et révelations, i przeczytaj przepowiednie o prześladowaniach kościoła i o stanie świętości jego na końcu. Idealnej piękności rzeczpospolita, która się nietyle prawami, ile doskonałością osobistą każdego utrzymuje. Całą drogę to czytam tę bardzo ciekawą i dziwną książkę, to na okolice patrzę, szczególnie wieczór, na roje świecących muszek w zbożu i trawie, to się modłę, to dumam o różnych a różnych rzeczach. Boję się o ciebie, Bohusiu. Co to za bieda, że wszystkiego pisać nie można.

Rozważywszy o zakonie Trapistów, zdaje mi się, że pozwolenia u Ojca nie uzyskasz nigdy; boję się ażeby z odmówieniem tego pozwolenia nie przyszło zniechęcenie do wszystkiego co dobre. Aleśmy, Bohusiu, tak robić powinni jak pszczołki, pracują, pracują długo, zaledwie skończą, odbierają im miód, a jednak się nie zniechęcają i na nowo pracę rozpoczynają. Jak się jedno nie uda, róbmy drugie. Może się też w przewidzeniach mylę. Gdyby się jednak tak stało nie opuszczaj rąk, dopóki serce bije, nie jesteś w prawie powiedzieć: skończyłem dzień mój, jeśli nie widzisz co dalej robić. Czekaj cierpliwie aż cię Pan powoła, ale się nie usuwaj.

Bracie mój kochany, synku mamci mojej, głaszczę ciębie po wysokiem twojem czole, błogosławieństwa na ciebie wzywam; daru mocy i wytrwania, daru wyrzeczenia, ażebyś nie żądał owocu pracy twojej widzieć, ani płakał za tą, którą ci Bóg w dłoniach skruszy, tylko w pokoju ducha ażebyś powiedział wola twoja, Panie, niech się stanie, a nie moja i dalej w pokoju czy to samo na nowo, czy co innego ku chwale Pana o zbawieniu bliźnich zaczął. Biada niepracującemu robotnikowi. Wzywam jeszcze dla ciebie daru radości pokornej, bo skarga smutku i szemrania częściej niż się nam zdaje buntem jest przed Panem.

Bądź zdrow, Bohusiu, zdrow ciałem i duszą. Ukołysanie i pokój tobie i łaska Boża teraz i na wieki, tobie i Józefowi memu drogiemu.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Bâle, Boże ciało, czerwiec 1843.

Ciężko mi dziś na duszy, darmo chodzę i rozmawiam z ludźmi, lży cisną się do oczu. Gdyby na czyich kolanach głowę oprzeć i popłakać, gdyby skąd słowo miłosierdzia? Trzeba mi litości, jak wody w skwar, ale nie współczucia. Nie chcę, ażeby kto bolał ze mną, nie chcę ażeby komu, choćby przez odbicie tylko mojej duszy, mdło było i samotnie i szaro jak mnie. Nie śmiem też nic Daryuszowi mówić, chociaż on jak święty Pański, słodki i dobry, już i tak smutki moje, ta niesiła umysłu, od tylu lat biczem mu się stały i mamci nie śmiem, boby jej list nie wesoly na długie dni spokój zakłócił, i do Cezi pisać nie mogę bo ona kobieta, różni ludzie do jej listów prawo mają, i do ciebie, Bohusiu, nie wiem czy pójdzie ta kartka, może cię ona zgorszy, może zlej, grzesznej godziny nabawi, może to zły przykład dla ciebie, że Nisia jak trzcina gnie się i pochyla gdzie myśl powieje. Nisia cierpliwości i odwagi niema, nie trzeba ją w tem naśladować. Nisia smutkiem grzeszy, bo smutek, to brak ufności w miłosierdzie Boże, brak nadziei w opatrzność, smutek to rokosz człowieczeństwa naszego, panowanie zmysłów. Jak tylko natchnieniem Bóg nie mówi do nas, zdaje się nam, że nas opuścił. On tylko zasłonił oblicze swoje na chwilę, ażebyśmy mieli zasługę wiary i dlatego też, Bohusiu, żeśmy niegodni czuć ciągle bez przerwy, jak nas miłość jego piastuje. Zniknął mi on bom grzeszna bardzo, bo niedość go kocham, bo najmniejszej ofiary nie umiem ponieść ochoczo dla niego. Nie-

cierpliwie się, zloszczę, zazdroszczę drugim świętości, błąkam się myślą po świecie, szukając choć na chwilę, choć w obrazku, jakiegoś szczęścia ziemskiego, o którym wiem tak dobrze i całą duszą czuję, że go nie masz dla tych, co raz Niebieskiego zażądali. Potem wracam do Chrystusa, przepraszam go i płaczę. Jedną po drugiej, nędzy mu moje pokazuję i tylko co mu obiecuję słodką być, pokorną i cierpliwą, znowu mi się coś w piersiach zamąci, wybuchnie myślą czy słowem i tak zimno uczuciem niemocy zniechęcenia opadnie. Wtenczas na poprawę smutkiem wszystkich w koło siebie dręcę.

Bohusiu, Bohusiu, mnie nie ludzkiej, ale Bożej litości trzeba. Gdybym miała ludzką, zaraz by się obudziła zgryzota, że mnie żalują, choć jam nie warta, że cierpienie moje za większe mają niż jest w istocie, że to ze skarg moich pochodzi, a zatem, rodzajem jest kłamstwa z mojej strony. Może ja, Bohusiu, nie cierpię, czy ja wiem? Może to nerwy tylko rozdrażnione, może kaprys? Nie wiedzieć czego mi się zachciewa. pewności zbawienia, to znów snu po śmierci, to znów pokoju na ziemi w nieczynności, w zwierzęcej jakiejś nieczułości. To mnie znów trwoga bierze na myśl krzyżów co za powrotem do kraju czekają, to jak przed powodzią do ziemi przypadam na wspomnienie grzechów całego życia, to w drżeniu przed tymi, które zdaje mi się, że widzę w przyszłości czarne, straszne, palące, na które zdaleka zawczasu omdlewa siła moja. Biegą mi lży po twarzy, ale w miarę jak piszę, czuję niedorzeczność niektórych tych wrażeń, szczególnie ostatniego; wiem, że nie na własną, broń Boże, ale na Chrystusową siłę w pokusach liczyć należy.

Każą jechać, a powóz na żelaznej drodze nie czeka, dobrze, że mi przerwali. I jeszcze chwilka, dziś Boże ciało. U nas procesye, słońce jasno świeci, lud śpiewa. Nasi kochani za Chrystusem krok w krok idą, przyklękają i błogosławią go. Kwiatków po drodze mnóstwo. Niektóre świeże jeszcze, niektóre już powiędłe, pomarłe dla Chrystusa w wielkim szczę-

ściu. One go nigdy nie obrażyły. Kwitły gdzie i jak kazał czy w ogrodach, czy w polu na wietrze i niepodgodzie.

Mój Bohusiu, na Boże Ciało, na ukochane moje święto, bo to święto Chrystusa, co na ziemi zawsze z nami przebywa, nawet nie popieściłam cię słówkiem. Błogosławieństwo ci, bracie, ty mój, niech ci łaska co w dniu tym na wiernych spływa, przyniesie, to właśnie czego ja mam tak mało, pokój i siłę i wytrwanie.

Strassburg, 17 czerwca.

Zmęczone, rozstrojone mam nerwy, jak tylko dobre słówko ci poszlę, Bohusiu, narzucę szarafanik i położę się na sofce. Cóż kiedy, kochani, nie przyjedziecie zasiać i gawędzić koło mnie. Wy, teraz właśnie w piaskach ponużeni, dochodzicie pewnie do miejsc świętych i modlicie się.

Heidelberg, 21 czerwca.

Nie mogłam pisać bo mi nie dobrze było. Cztery dni zabrały podróż i próżnowanie. Czemu od was dotąd ni karteczki? Mielicie z Malty obszernie pisać i nie tylko do mnie. Może Bóg da w Frankfurcie co zastać.

Kiedy wy już wróćcie? Tak mi was wieża Strassburska żywo przypomniła, nie terazniejszych, ale was przed siedmiu lat, młodszych, weselej na świat patrzących. Józef postąpił od tego czasu, pobożniejszym się stał, bardziej wszystko ważącym na chrześcijańską szalę, mniej wesołym, ale też moźnym i spokojniejszym. A z tobą, Bohusiu, co się stało? Zmętniało, zgorzkniało ci w sercu, nie dlatego ażebyś gorszym był teraz, ale pierwszy może raz w życiu uczuleś się jakim istotnie w sobie jesteś, bez natchnienia, i pocieszyć się nie możesz za promiennymi skrzydłami twojemi. Wielka to chwila, Bohusiu, i która koniecznie, prędzej czy później, nadejść musiała. Na tej ziemi skrzydła nikomu nie są dane na własność, pożyczają je tylko czasem anioł stróż i to dopókiśmy słabi,

ażeby niewiara nasza własnym okiem ujrzeć mogła częśćkę ze zmysłowych cudów i łatwiej, ochoczej do Pana dążyła. Teraz, Bohusiu, znać żeś z niemowlęcia na człowieka już wyrósł, nie unoszą już piórka, własnym, długim, mozolnym usilowaniem zapracować sobie trzeba chleb duchowy. Teraz dopiero zaświtał ci dzień zasługi i wielką miłością powinno ci serce rozkwitnąć ku ludziom, boś po raz pierwszy wielką ich nędzę zrozumiał. Nieprawdaż, Bohusiu, kto w niebie długo zamieszkał, nie bardzo ziemian pojmuje i przyjdzie mu nieraz pokusa pogardy, a jednak ci ziemianie, pracownicy to pańscy w ciemności, chłodzie i niedostatku i niebezpieczeństwach wielu, których cicha i pokorna praca policzoną kiedyś będzie. Tyś teraz zstąpił między nich, Bohusiu, zepsute dotąd i pieszczone dziecko, i nie skarż się, nie płacz, bo do Chrystusa to jedyna droga, niemasz innej, a więc miła i dobra, bo prowadzi do kochanego nad wszystkich i wszystko.

Zresztą, jeśli ci ona ciernistsza niż komu, może to trochę kary, Bohusiu, bo przypomnij sobie. Czyś ze skrzydełek korzystał jak trzeba? Skrzydelka na to aby w niebo wzlecieć. Czyś nigdy z natchnienia nie robił sobie niby hojdałki, co to buja, buja tak miło i rozkosznie, ale zawsze ziemi się gdzieś trzyma? Nie trzeba o tem wspominać, jeśli co złego było; oby i Bóg zapomniał. Tylko, Bohusiu, skargi ani mru mru, a jeśli popłakać to cichusieńko w kąciku i znow ochoczo do pracy.

Pamiętny mi będzie kościół Strassburski. Weszłam: ciemno mi było i trwożnie, a wychodząc, czułam jak w ramiona objął Chrystus, przycisnął do piersi, jak to go na obrazkach z owieczką malują, cieszył i w odwagę zbrowił. Jeśli przez Strassburg przejeżdżać będziecie, pytajcie o księdza Thiéry, u którego się spowiadałam, i pójďte do niego po naukę do jakiego stopnia dojść może i powinno u sługi Bożego miłosierdzia dla grzesznych i słabych. Odmienił się trochę Strassburg, więcej ruchu niż za naszych czasów. Ławeczki naprze-

ciw wieży już niema. Ale za to wieża sama, śliczna, smukła, przejrzysta jak dawniej, jak dawniej prościusienko w niebo strzela, jeszcze troszkę, troszkę miłości a uniesie się w obłoki.

Ren pobladł jakby coś przeczuwał. Żal mi było brzeg Francji porzucać gościnnej i dobrej, spuściliśmy się Renem aż do Mannheim. Cała pięciogodzinna podróż rodzajem była wizyty, bośmy cały czas musieli faire la belle conversation z rodziną duc (księcia) d'Aremberg, która wracała do Belgii, a z którą znała się Olga w Rzymie. Ona niemłoda, Lobkowitz z domu, dobra zdaje się kobieta. Stary książę dowodził mi obszernie jak niekorzystnem jest dla Belgii oderwanie się od Hollandyi, jak Belgia utrzymać się długo w niepodległości swojej nie będzie w stanie, jak miłości ojczyzny tam niema i każdy za zyskiem swoim goni, jak rozprawiają z zimną krwią między sobą, czyby nie lepiej wyszli na rozbiórze między ościenne państwa. Ciekawam na ile też prawdy w tem wszystkim. Duc arystokrata zabity, z jednej więc strony tylko rzeczy widzi, smutnoby było, gdyby choć w dziesiątej części zarzuty sprawiedliwymi się okazały. Belgowie wyrobnicy i handlarze, prawda, że się zyskom wyłącznie prawie oddali (może to tylko przemawia dawna ojców naszych odraza do handlu). Ale podług mnie, to już szerokie pole posądzeniom otwiera.

Wieczorem, wysiedliśmy w Mannheim i piechotą przez całe prawie miasteczko poszliśmy do dawnego naszego mieszkania. Wszystko jak przed siedmią laty: drzewa i domy i zamarła cichość i pustka, niby mor powiał i dawny nasz salon, duży, ciemny, wyklejony na szafirowym tle tuszem malowanym papierem w Kupidyny i Venery, w pokoiku obok, sofka, na której czasem siedziałam wieczór i płakałam, schody, po których tyle razy na dzień biegałam do Marai, wówczas takiej cudownie pięknej, młodzusińskiej i żywej, łóżko cioci, na którym bywało czeka nie śpiąc, aż wrócim z balu i opowiemy jej na zabawkę starości, co się w salonowym świetle dzieje. Teraz, ze wszystkich znajomych niema żywego ducha. Wszyscy

rozlecieli się po świecie, zacząwszy od gospodyni starej, wielkiej księżny. Między niemi a mną nic wspólnego nie było, przeszli koło mnie kręcąc się i szumiąc, i nic po sobie nie zostawili, ni żalu, ni — doprawdy, ni wspomnienia, jak w mgłę ich widzę, dwoje, z któremi się duch mój choć w niektórych wrażeniach spotkał: Brevera i Maraia. Nie stali mi się nigdy obcami, gdzieś tam cierpią daleko, każde w samotnym swoim kątku. Kilka pustot dziecinnych, to jedyne wesole chwile, które mi się z owego czasu w pamięci zostały. Z pobliskiej wioski, wbrew wszelkiej etykiecie, i ku wielkiemu podziwieniu elegantek, samej przynieść cioci dobrej śmietanki do kawy, Marai figła splatać, na ciasteczka pójść do pani Leibnitz, to i wszystko co przypomnieć mnie samej mogło, że mam nie siedmdziesiąt ale dziewiętnaście lat. Oprócz tych wyskoków nie młodości, tej dawno już nie było, ale dzieciństwa, na wszystko na świecie rozpostarła się była jednostajna barwa mdłej nudy. Wieczory i bale, czytanie czy nawet dumanie, wszystko mi było jakieś niepotrzebne, obce, blade. Żadnym sposobem wynaleść nie mogłam co mam do czynienia na świecie.

Od czternastu lat wiedziałam, że powołaniem mojem pokutować za siebie i drugih. Ale pokutowanie, to bierna tylko strona życia; zostawały siły, które zamierały w nudzie. Jak widzisz, Bohusiu, nie bardzo to dla mnie miła była epoka. Tak mi się przykro z odrazą przypominała na miejscu. A jednak och! jakbym do niej wróciła rada. Teraz wiele rzeczy wiem lepiej, rozumiem, że pokutowanie jest czynnością, bo jest zwrócenie sił przeciw sobie, że zawsze jest coś do roboty w życiu. Choćby też cierpieć ochoczo z dołożeniem woli naszej od woli Bożej jest już pracą. Zdaje się nam często, że na pracy zbywa, bo gardzimy drobnymi rzeczami, które zawsze pod ręką mamy i za karę zaślepia nas Bóg na wielkie skutki, które te drobnostki za sobą zawsze prawie ciągną. Wiem, ale też wiem razem ile tysięcy razy wykroczyłam przeciw tej

wiedzy mojej. Gdyby tylko przeciw tej jednej. Do ziemi gniotą nimi przebyte lata niedołęstwa i grzechów. Niemasz pod słońcem słabszej istoty odemnie. Może też właśnie dlatego zlituje się nademną Pan.

Od trzech dni bawimy w Heidelbergu, bo się Olga radzi Puchotta, ja tylko dla ceremonii, bo Daryusz tak chciał; ale się w mojem przeznaczeniu nic nie odmieniło, jak zawsze do żelaznych wód i morskich kąpiel mnie odsyłają. Lubię Heidelberg. Ładne okolice, zielono, bystra woda i uniwersytet. Siła dzieci i młodziutkich. Rzewno mi na widok młodego pokolenia, które w samem usposobieniu swoim już postęp jakiś ludzkości przynosi, żywe proroctwo lat co tuż blisko przed nami. Kocham je i błogosławię sercem. Chociaż wynikiłość usposobień i myśli naszych obca mu jest jeszcze, my je rozumiemy ale nie ono nas. Wielka młodość jak starość nie pojmuje życia. Jedna tylko marzy, druga już nie marzy, jedna i druga wychodzi za obręb prawdziwego człowieczeństwa, które jest starciem marzeń żywych ze skamieniałemi marzeniami, czy wcieloną nieudolnością przeszłych pokoleń, z tem co niewiem czemu wyłącznie nazywają rzeczywistością, jakby rzeczywistością i to wpływającą i działającą nie były także myśli niewcieloné. Naprawdę niemasz myśli niewcieloných, jeśli nie w słowie, okaże się w czynie człowieczym, który zmodyfikuje, jeśli go zupełnie nie stworzy. W duchowym jak w fizycznym świecie niemasz próżni, myśl nowo powstała nie znajduje wolnej przestrzeni w życiu ludzkim, gdzieby spokojnie zamieszkać i owoc wydać mogła. Prawdą czy błędem zajęte są wszystkie jego rozgałęzienia, bo stan wątpliwości jest czasem koniecznem, ale zawsze tylko chwilowem przejściem, inaczejby tylko chorobę duchową dowodził.

Myśl nowa samem istnieniem swoim musi więc na jakieś przekonanie nastawać, roztwarzać je, niszczyć lub nowy mu stopień siły i oczywistości dodawać, w każdym razie zmieniać i to konieczne działanie na istniejące już przekonanie

jest pierwszym urzeczywistnieniem myśli, która za pomocą tego przetworzonego przekonania aż do sumienia sięgając, musi w każdym czynie się wcielić. Młodości zdaje się że ona walczy, ona tylko marzy i zwycięża, bo ogromną potęgą przekonania swego wywiera się cała na budowy jednowiekowe pokolenia, schodzącego z pola, a które i tak zbutwiałyby i deska po desce opadły za najściem nowych wyobrażeń, jak opadną kiedyś budowy dzisiejszej młodzi, skoro im włos posiwieje, bo to są wszystko tymczasowe namioty w pustyni. Biada temu kto by namiot taki ukochał i porzucić go nie chciał i dalej ku ziemi obiecané wędrować! Zwycięża młodość, bo przeciwnicy jej na pół umarli, dlatego olbrzymio w siłę swoją wierzy i świat cały zewnętrzny ledwie, że nie w dłoni swej czuje.

Skąd tak rychło potem słabnie, skądże wszechwładna na zniszczenie tak nikle po sobie zostawia dzieła? Oto i na żdźbło trwalszemi się już okazują od tych, które obaliła, bo szermowała w powietrzu albo dobijała niemoc, a nie zwróciła się przeciw godnemu siebie wrogowi, który w samejże chwili tryumfu wygryzał w niej do ostatka siłę twórczą. Nie zwróciła się przeciw samej sobie, nie spróbowała tej pracy, która jedynie na ziemi warta imienia walki, pracy na sobie, dla młodości to jedna walka równa. A więc szlachetna i ważna, wszelkie inne igraszką. Nie wyrobiony, nie zahartowany duch własnem usiłowaniem, nie nałamany do pokornej wiary, posłuszeństwa i poświęcenia cichego, wytrwałego, niepotrzebującego innych świadków, jak sumienia własnego i Boga, jakże w budowie swojej uniknie złego, szczeliny, dla której rychło upadnie. Gdyby to kiedy zrozumiało całe pokolenie, nie potrzebowałoby niszczyć ani wystawiać, bo ono samo królestwem byłoby Bożem i koniec świata i ziemia obiecana tuż.

Dość tej bazgraniny, za którą, Bohusiu, nie przepraszam, bo ci uroczyste tu na piśmie daję pozwolenie raz na zawsze nie czytania, jeśli ci trudno czy nudno będzie.

W hotelu gdzie stoimy, mieszka stary Krasinśki. Zygmunt

pojutrze przyjedzie, ale nas zapewne już nie zastanie. Wesele 18 lipca w Dreźnie. Zimować państwo młodzi mają w Warszawie, albo na wsi w Królestwie. Od kiedy z dzieciństwa wyszedł, pierwszy raz podobno tak długo w kraju bawić będzie. Czy mu to na dobre wyjdzie? Nie wiem, wątpię. Wiele jego snów rozbija się na twardej powłoce, bo on nie posiada czarnoksięskiego rzutu oka, co widzi, co pod powłoką żyje. Obym nie przepowiedziała, ale w przyszłości gorzkie go dni czekają. Boże mój, jakże mi go żal.

Pokój Boży z tobą, Bohusiu. Na Frankfurt jedziem do Schwalbach, do wód żelaznych, stamtąd znowu poszlę wam karteczkę, przylączęm listy z domu.

Bądź zdrów, Bohusiu, niech ci radość Boża do serca zawita i gości u ciebie, dopóki tchu w tobie. Aniołowi twemu poleca cię

Nisia.

Do Józefa Zaleskiego.

Schwalbach, 1 lipca 1843.

Co ty porabiasz, Józefciu mój drogi? Ileś już nowen odprawil i różańców odmówil i tygodni odpościł? Szczęście, że po morzu chodzić nie można, bo jużbyś pewnie z Malty piechotą powędrował. Błogosławieństwo Panu, który cię wybrał z pomiędzy nas, Józefciu, ażebyś go chwalił swobodą i pokojem ducha. Pokochaj Pana za nas wszystkich u grobu Jego. Gdyby choć raz spojrzeć raczył, odżyłyby serca nasze suche i jałowe. Za kilka dni będziecie zapewne na miejscu. Złączym się tam w modlitwie.

Schwalbach cichy i samotny, z przybyłych nikogo nie znamy. Kościół o kilka kroków. Świat nie stanie przeszkodą między waszą a naszą myślą ani na chwilę. Dziękuję ci, drogi mój wujaszku, za list ze Smirny. Żle już było bez wiadomo-

ści o was, a zbiegło się ich aż dwie razem, jedna przez generała, druga prosto od was. Szkoda, szkoda, żeśmy nie razem (po ludzku mówiąc, szkoda po Bożemu, pewnie lepiej tak jak się wedle rozrządzenia Jego stało) szkoda, żeśmy nie z wami. Oprócz szczęścia ujrzenia grobu Chrystusowego, choć Bohuś utrzymuje, żeście już syci Wschodu, zawsze on dla nas nowszym jest i ciekawszym od Szwajcaryi i brzegów Renu, na które, cichutko ci się przyznam, patrzeć już nie mogę. Tam się wykluwa, tu w protestantyzmie i filozofiach zamiera chrześcijaństwo i nie dano jest oczom ludzkim dojrzeć, kiedy i jak zmartwychwstanie. Tam na wszystko obojętność, bo zawsze przytomną jest myśl, że ziemia koczowiskiem tylko, tu zapamiętała, obrzydliwa miłość dostatku i wygody. Jednak nie powinna byłam kłaść Szwajcaryę na równi z Niemcami, szczególnie wracając z Zurichu, z tego ślicznego wiejskiego miasteczka, gdzie zdaje się po widomu wieje duch Boży, w wolnym jakimś porządku, w ukształceniu ubogich, w cudownych zakładach miłosierdzia.

Ostatnią razą z Bolonii pisałam do was, jak to dawno, ale to nic nie szkodzi, posyłać do was czasu już niema. Za powrotem dopiero w Malcie czy Neapolu poodbieracie foliały moje. Od Bolonii więc winną ci jestem zdać sprawę z całej naszej podróży. W Medyolanie zastaliśmy najmłodszą córkę Buturlinowej, wdowę; u niej, a raczej z nią, zbiegło nam dni kilka. Medyolan nie zostawił nam wrażenia prawie żadnego. Miasto jak wszystkie na świecie. Gdyby można było z krajowcami zaznajomić się trochę, ciekawszem by się w istocie okazało, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. I cztery dni pobytu wystarczają na dorozumienie się tego. Katedra tak cudna, że oczu odwrócić od niej trudno, niby olbrzymie źródło marmuru, jak mleko, białego kipiąc i pieniąc wybuchnęło ku błękitom niebieskim. Cóż kiedy uwzięło się ją kończyć dzisiejsze pokolenie, przekleństwo na dzieła rąk niewiary objawia się zawsze nikczemnością, darmo rozmiary bierze, nie-

słychane bogactwa łoży, niezliczone, zawsze to tylko ogromne-
mi głoskami drobna lub podła myśl wypisana, nawet cudzej
wielkiej wyrazić nie potrafi. Patrzymy na katedry, kończy je
podług pierwotnego planu, zdaje się, że jak dziecię posłuszne
kamienie tylko na poznaczone im miejsca kładzie, a jednak,
dziwny wpływ myśli, jakkolwiek materyalnie piękna i wykoń-
czona, jakże niepodobna jej praca do pracy tych co w gorą-
cości serca kamienne te modlitwy Panu stawiali. Na oko nie-
trwałość jej widać i jakiś fałsz jak w dekoracjach teatral-
nych, bo też istotnie nie z miłości tylko z próżności, albo
z dobrowolnego jakiegoś złudzenia imaginacyi pochodzi. Nie
ma rady z prawdą, ni jej zabić ni jej zasłonić nawet, biedny
człowiek zamyka przed nią, ile może, powieki. Wyrzekłszy się
raz wiary w objawienia Boże, to jest wyгнаwszy się sam
dobrowolnie ze świata ducha, odjąwszy sobie powietrze, któ-
rem jedynie żyć może, cierpi, czuje za tem, że mu coś nie-
odzownego brakuje i stwarza sobie na mieszkanie, jak go na-
zywa świat sztuki, to jest wspomnienia pozostałe po niebie
zwołuje i każe im ziemię osiedlać, jak dziecię grubą i nikcze-
mną ziemię w cudne imiona przystraja i próbuje zachwyce-
nia. Co umie słów rzewnych czy trudnych, ciemnych, czy ro-
zumnych, wszystkie skleja, niżej jedne po drugich na dowody
sam sobie, że co wymarzył żyje własnem swoim życiem,
istnieje rzeczywiście niezależnie od niego. Nie masz sztuki bez
wiary, jak nie masz mowy bez treści.

Z Mediolanu przepłynąwszy nadto zachwalone jezioro
Como całe dziewięć godzin ślicznie prowadzoną i utrzymaną
drogą, drapaliśmy się na Splügen. U dołu drzewa, chatki,
urwiska skały, żywa bieżąca woda, raik ziemski, wyżej same
coraz bardziej szare i opadłe świerki, dalej tylko niska zie-
lona trawka i gdzieniegdzie z pod płat śniegu *primula veris*,
wiośniany liliowy kwiatek; tu już dla ogromu góry najmniej-
szego widoku na żadną stronę niema, chyba w dół i to nie
arecypiękny. Ostatnią godzinę jechaliśmy prawie ciągle między

dwoma ścianami na trzy łokcie wysokimi, czasem więcej
rozrąbanego jak lód twardego śniegu, albo wykutej skały po-
krytej śniegiem, czasem długim tunelem murowanym. Cały ten
wierzchołek zdawał się rodzajem płaszczyzny otoczonym gó-
rami miernej wysokości. Wszystko grubym śniegiem pokryte,
wieher, cicho jak w grobie, ani krzaczka, ani źdźbła trawki,
ani ptaszka, tylko czasem potok zaszumi w przepaściach pod
śniegiem; tak się niektórym ludziom dzieje, Józefie. Ku niebu
nie doszli, tylko nad poziom się wzniesli. Im wyżej, tem sa-
motniej im i zimniej. Zwierzchniej, zwykłej, ludziom milej
szaty, jak zieloności, już tam niema. Choć wieher wieje, nie
szumi, bo niema po czem, naga tylko skała i lód. Choć po-
toki wiecznie szaleją gdzieś w głębi, pod śniegiem nikt się
ich nie domyśli. Tacy ludzie na ziemi nie już prawie nie
mają i ku niebu spojrzeć nie śmieją. Nagroda Pańska tym
tylko co dla miłości jego cierpieli.

Widzieliśmy potem jedną z bardzo pięknych części
Szwajcaryi: Via Mala i jezioro Wallenstädt. Prawie ciągle je-
dzie się brzegiem Renu wąskiego i bystrego jak potok i na-
łożyliśmy kilka godzin drogi ażeby Schafhouzę obaczyć. Na
pierwsze wejście nie odpowiada oczekiwaniu, trzeba prze-
płynąć rzekę i zbliżyć się ile można do kaskady. Straszliwy
odmęt, dobrze go ktoś nazwał piekłem wodnem. Obraz ja-
kiegoś fatum ślepego a wszechmocnego bez czucia ni rozumu,
takby wiekuiście w przestrzeni było gdyby nie Bóg. Ale nasz
Bóg katolicki. Ach! biedneż by serce było człowiecze, bez wy-
rozumienia i sprawiedliwości i miłosierdzia, tej najwyższej
sprawiedliwości. Jak te wody lecą, tak my posłuszni być po-
winni, Józefciu, i pierwszego dnia stworzenia powiedział im
Pan, że gdzie pochyłość, tam ich droga i odtąd dnie i noce
bez namysłu, bez przestanku wiecznie płyną, czy po zielonych
murawach, czy w skaliste przepaście, gdzie na ledwie doj-
rzany pyłek rozbijają się kropelki. Czy się wały na brzegu,
nim skaczą, choć pół chwili zatrzymują i dumają? Czy się

troszczą co się na dnie z niemi stanie? Pędzą tylko, bo gdzie wola Boża, tam mądrość.

Z Schafhouzy, gdzie kaskada większe by wrażenie sprawiała gdyby nie zabudowana była tak blisko, a szczególnie gdyby hotelu naprzeciw nie miała, na Bâle, Strassburg, Heidelberg, Frankfurt dostaliśmy się do Schwalbach, jakeś się już pewnie domyślił po winietce na początku. Kiedyś opowiem wam o nim. Ale nie dziś, bo wysłać już te foliały trzeba, przestrzegam, że odtąd po kolei pisać do was będę, raz do Bohusia, drugi raz do mego wujaszka, nie do obydwóch razem jak teraz.

Do zobaczenia, kochany mój drogi wujaszku. Zmiłuj się, nie choruj w upały i wracaj mi prędko. Całuję ręce twoje, prosząc o modlitwę za słabe strasznie stworzenie i za inne stworzenia, które ono kocha, także niesłychanie słabe.

Do zobaczenia, Józefciu, Bóg z wami i pokój i łaska Jego.

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Schwalbach, 4 lipca 1843.

Od kilku dni, mój Bohusiu kochany, osiedliśmy w Schwalbach na cztery, może pięć tygodni. Jest to długa, ale płytka dolina, w której, z jednej strony, pobudowano rząd domów, z drugiej zasadzono podługowatę kołem młode drzewka nad wypiasowaną drogą. W kącie parę ulic starych, cienistych. Wszędzie prawie widok zamknięty niby górą, raczej wałem zielonym, na którym zrzadka rośnie kilkanaście młodych drzewek, rysujących się na tle nieba jakby na stepie, przez liść rzadki przeziara błękit powietrza. Dziwna rzecz, Bohusiu, jak się ludzie na smutku i wyrażeniach jego nie znają, może dla

tego, że względny jest, że się on mierzy u każdego wedle doświadczonych już radości czy boleści.

Większa część ludzi bierze powagę i surowość za smutek, a smutek za nudę. Niech w krajobrazie obaczą czarne świerki, cyprysy i skały, zaraz o smutku rozprawiać będą, toż samo i w życiu. Gdzie wiele zdarzeń a ciągłych, uderzających imaginacją, tam ich litość. Kiedy przeciwnie z doświadczenia każdy wiedzieć by powinien, że jakkolwiek gwałtowne cierpienie w chwili walki i pracy, nikt go w całej mocy nie czuje, jak nie czuje, mówią, rany żołnierz w czasie bitwy, bo się wznosi nad sferę osobistości. Wszyscy ludzie cierpią, ale od smutku broni ich lekkość, zmienność wyobrażenia skrzydlata, dziecinna zdolność roztargnienia i zabawki, inaczej mówiąc, ubóstwo źródła miłości. Smutek jest to opustoszenie duchowe, pewność wiecznej samotności, widzenie pustki bez końca, cichy jest i nieruchomy, bo niema się do kogo odwołać i wiecznie jednaki bo w koło niego otchlań się nie zmienia. Wyrażeniem jego na ziemi jest tylko step, pustynia boleśną myślą zaludniona. Każdy człowiek wzrodzoną ma umiejętność niebieskiej mowy. Ale tylko cząsteczki jej wedle zdolności miłowania. Im goręcej kocha, tem cudniejsze, zupełnie ziemi nieznane, pojmuje w sobie wyobrażenia. W zachwyceniu śpiewa je ludziom, śpiewa tym, których tak ukochał, że aż ziemię zgruchotał w sobie i pierwotny, zakuty raj odkrył w piersi, darmo. Nikt go nie zrozumie, bo usposobienie inne w każdym, insze słowa w niebieskiej mowie pojmuje. Wzajemna miłość kochanych nie pocieszy go ani zaspokoi. Choć z niemi, on jeszcze sam, bo złączyć się z niemi w raju swoim nie może. Z niemi we wszystkim jedność oprze w rozumieniu uczucia. Człowiek na ziemi na domysł tylko kocha, i o jego miłości domyslać się tylko można; ta cząstka ducha, w której ona tkwi, widoma tylko Bogu, i może dlatego miłość tak wzniosłą jest i piękną, że na wierze tylko oparta. Im bardziej więc kocha, tem bardziej biedny ten więzień

Boży czuje się sam, bije się długo o słowa, aż zrozumie, że darmo i zalegnie mu serce smutek tak niezmierny jak miłość jego, bo dopiero objawi mu się w prawdzie swojej wygnanie. Darma kocha, nie własnością jego nie jest, bo z nikim złąć się nie może. On tu przybysz pod namiotem, języka jego nikt nie rozumie. Szeroko mu i pusto na świecie i niczego mu się nie chce, bo nigdzie mu szczęścia, a miłość, tylko treść boleści. Wtenczas kto ma siłę w górę wnieść oczy, zbawion. Pan ukochał człowieka i chciał ażeby nawet w gronie miłowanych on sam jeden był z nim zawsze. Pan, zazdrośny ufności człowieka, nauczył go mowy, której prócz niego, nikt nie rozumie. Pan w miłości swojej trwożył się o biedne serce człowieka i nie chciał ażeby wzrok śmiertelny zajrzeć mógł aż do jego głębi. Wzrok czasem zabić może.

Ach, mój Bohusiu, jak mogą być ludzie co stepu nie rozumieją, samotności człowieka z Bogiem, sieroctwa opuszczenia nieskończoności i nieskończonego ubóstwa i w pustkowiu wiecznie wiejących namiętności i Opatrzności co w pieluchy całą tę nędzę z miłością owija. Bohusiu, pamiętasz jak u nas błękit ze wszech stron do stepu się chyli i brzegów jego dotyka jakby pieścił. Skarzysz się czasem, Bohusiu, że cię Ukraina niedość kocha. Niemasz tu wspólnej, zupełnie równej miłości nigdy. Świat myśli, że szczęście jest ze strony bardziej kochanej. Nieprawda. Ono jest ze strony co bardziej kocha. Ukraina nieszczęśliwsza od ciebie, Bohusiu, poszanowanie straszemu jej cierpieniu, lud jej ani wie jak i ile ty ją kochasz. Nie rozradował się tobą jeszcze ni razu, nie oparł się jeszcze na piersiach twoich, nie zapłakał śpiewkami twojemi. Ale poczekaj, dowie się on o tobie, a wtedy obaczysz na ziemi, czy z nieba kto lepiej kochać umiał, czy on czy ty. Nie wyzywaj go na miłość. On miliony ma serc za jedno twoje. Gotów cię aż do stóp Bożych wynieść.

Od drzewek na błękitnem tle nieba daleko zaszłam myśłą. Wątpię, ażeby która ze ślicznych różowych, zielonych,

liliowych pań przechadzających się tam rano i wieczór zwróciła kiedy uwagę na nie. Chyba pomyślała która, że brzydkie, jednak w cichej żałobie zdaleka tam stoją aż boli patrzeć. Dobrze by modlić się przed niemi, one jak żywe świadki tego co się Panu co dzień prawie mówi. Zmiłuj się już, Panie, bo cierpim bardzo. Bohusiu, czemu one płaczą aż Ukrainę naszą mi przypomnialy? Może właśnie dlatego, że świat ziemię tę posiadł. Dobry był i filozofizm, haniebny komfort ducha, rozpięli namiot i zamieszkali w niem, bo znaleźli, że na ziemi wygodnie i chlubią się, że nieznuzeni jak pielgrzymi. Ile to jeszcze jest bałwochwalstwa w Europie i u nas. Ale nasze inszego rodzaju, nie przeto lepsze. Zawsze namiętność ubóstwiona.

5 lipca.

Dziś odebraliśmy list wasz z Bajruth, drugi od wyjazdu waszego. Chwała Panu, że was dotąd prowadzi. Choć właśnie teraz idziecie zapewne w zapasy z pustynią i Beduinami, niepokój o was nie powinien się zwiększać. Jednakowo w ręku Pańskim jesteśmy w cichej, bezpiecznej ustroni jak wśród bitwy, jak w czasie burzy na statku. Tak sobie myśli i wierzy sam wierzchołek, jak mówi św. Franciszek Salezy. Ach, mój Bohusiu, sam tylko czubek mego ducha, człowieczeństwo może troszczy się o was i o Kicię.

Bohusiu, Bohusiu, powiedz prawdę, czy ci teraz nie wstyd kaprysić, murmuć się, złe myśli nie odtrącać, skoro tylko Pan po widomu prawie nie pieści? Na grobie tego co tak cierpiał, aż zawołał: „Ojcze, ojczy, czemuś mnie opuścił“, przeproś, Bohusiu, za wszystko przeszłe i obiecaj pokornym zostać, miłym i wiernym, chociażby łaska widoma i słodka na zawsze odebrana ci była. Zawsze zapominasz, że krzyże to większe łaski niż rozkosze,—nawet najcięższy krzyż ze wszystkich oschłość serca. Proście Pana i za mnie biedną. Wymódlcie mi słodycz i cierpliwość. Niech się już wola moja skruszy

i zniknie. Zdaje mi się, że robię jeśli nie wszystko, przynajmniej wiele z tego co mi każą w ważnych rzeczach szczególnie, cóż kiedy mi to posłuszeństwo na grzech wychodzi, bo gorycz zostaje w sercu i dręczę ludzi co w koło mnie smutkiem złym, ostrem usposobieniem. Biedny mój Daryusz. Co też on już przezemnie wycierpiał mimo nieba, któreby mi przychylił, gdyby mógł. Pewnie mu dopomogę do zbawienia bo nieraz cierpliwości i słodyczy daje dowody aż mi rzewno i wstyd. Niech ci się nie zdaje, że to urojone winy. Nikt nie wie ile u mnie krnąbrności i samowoli, chyba anioł mój stróż, który to już nieraz opłakać musiał. Jak się samowola połączyć może z głęboką obojętnością na mnóstwo rzeczy na tym świecie, to jest dla mnie samej zupełnie niezrozumiałe. Oprócz zbawienia i pokoju i, jeśli można, swobodnej myśli kochanych, a są niektórzy dla których nawet i tyle koniecznie nie żądam, ci których znam jak siebie, jak dla siebie też o zbawienie tylko i oszczędzenie im strasznych, strasznych pokus i boleści śmiem prosić. Oprócz więc dobra kochanych, mało zdaje mi się rzeczy pragnę na świecie. Ale niemam mocy nad chwilowem usposobieniem. Kiedy mi się dumać albo czytać chce, kto do czego innego wiaść się każe, zaraz się niecierpliwię i chmurzę. Albo kiedy cichusienka jak w śnie robotę robię, a ktoś na spacer iść każe. Jest coś w głowie, co cichość przerywa w przekonaniu, że niepotrzebnie mnie niepokoją, coś dla mnie niewypowiedziane przykrego. Moje posłuszeństwo, gdyby ochocze było, powinnyby bardzo mieć wiele zasługi. Każde posłuszeństwo ułatwia się myślą, że się nim posługę jakąś komu oddaje. Mnie przeciwnie posłuszeństwo klasztorne, li tylko dla posłuszeństwa i na domiar odrazy, zawsze niby dla własnego mego dobra, dla zdrowia i to nie tylko Daryuszowi, który z taką słodyczą i miłością wymaga, ale tam u nas w kraju nie uwierzysz ile to jest ludzi co sobie powiedzieli, że to prawo mają nademną i doprawdy nie arcysłodka go używają. Otóż, Bohusiu, przychodzi mi cza-

sem do jakiegoś szalu, że radabym uciec na koniec świata. Dajcie mi pokój. Czy można ażeby takie dzieciństwo, takie nieprzykre było mnie, co przecie wiem różnicę między drobnoską a nieszczęściem? Czyż mi nie wszystko jedno czytać czy chodzić? Wcześniej czy później się położyć? Zrobić co każą dlatego, że Pan z nieba tak chce, łagodnie, spokojnie i koniec. Otóż, Bohusiu, na upokorzenie moje dręczę mnie to wiecznie, darmo się staram, nigdy zetrzeć tej samowoli nie mogę. Wszystko łatwiejsze niż panowanie nad sobą co godzina w drobnostkach, bo do nich całej siły ducha żadnym sposobem ciągle przykładac nie można, a jednak trzeba koniecznie, kochani. Uproście niech się już poprawię. Nie dla tego, że brzydka wada ale dlatego, że jej Pan nie lubi.

6 lipca.

Dwóch rzeczy nikt nie wyrozumie w człowieku, tylko Bóg: miłości i boleści. Ale czy je Bóg w człowieku tak czuje jak on? Ponieważ Bóg niedoskonałości człowieczej podzielać nie może inaczej, pytanie obrócić trzeba. Czy na Bożą szalę człowiek miłość i boleść swoją waży? Jeśli nie zawsze lub nie zupełnie, są więc chwile, w których i od ludzi i od Boga zupełnie sobie porzucony, bo ludzie nie wiedzą, a Bóg mu tylko świadkiem. Na czucie jego patrzy, ale inaczej o nim sądzi. Och nie i wtenczas on go nie opuszcza, litość jego nie ustaje nigdy, ponieważ nie wszystkie są dobre. Można więc zmienić w sobie i miłość i boleść. Można i trzeba, dawno spowszedniała prawda a zawsze dziwna, niepojęta się zdaje, bo zapominamy, że nim się kto przetworzy, naprzód w proch zetrzeć się musi, w rodzinny proch, w nicość.

Czy Ukrainę nie tak kocham jak powinam? Czym za nią dość pokorna? Czy dość za nią wszystko wszystkim odpuściłam? Czy dość dla niej mam wyrzeczenia wszelkiego dobra ziemskiego, dość dla niej niebieskiego tylko chleba żądam, światła piękności niebieskiej? Mówią u nas, Bohusiu, że wzrok

matki dziecię upięknia. Wzrok matki to znaczy wzrok miłości. Od tylu lat patrzam w nią jak w tęczę. Gdzie plamka, tam lzy cieką; gdzie ostro i twardo, tam żal pali. A miłość owiewa ją bez końca, głaszcze, muska, tuli sercem do serca. Co ma ognia to jej daje, a podsyca to piosnką, gościńcem gdzieś z nieba, to wspomnieniem dawnych, słicznych czasów co śpią po mogiłach, jak w mleku kąpie w kaskach aż uśnie ziemi i w widzeniu wolę Pańską zrozumie i zbudzi się silna poświęceniem, na męczeństwo. Kto wie? Boże daj, Boże daj byśmy wszyscy poszli w raj i jak ją chóry serafinów i męczenników i wdów i wyznawców i jak Go chwali jedenaście tysięcy panien św. Urszuli i cztery tysiące legii św. Maurycego, tak niech Go kiedyś chwałą miliony Ukraińców. Niech z nich ni jednego nie brakuje. Och! patrzmy w nią wiernie, Bohusiu! Miłość upięknia, uświęca. Miłość zbawia, bo Pan pokornej prośby kochających słucha i nagradza ich łaską dla kochanych. Ale niech zwrotu na siebie w tej miłości nie będzie. Niech ona tylko dla chwały Pana istnieje.

Wielka jest myśl zawarta w tem słowie ludu naszego o wzroku matki. Miłość wolą ideał swój wciela, miłość jest to sztuka, której środek do wyrażenia się jest nie marmur, nie koloryt, ale życie. Miłość tworzy, widok piękności rozwija w człowieku wyobrażenie doskonałości, które każdy jako stworzony, a zatem w skończoności zawarty, jednostronny, musi mieć inne wedle kształtu ducha swego. Jeśli dla jakiegokolwiek przyczyny sponiewierane siły jego ducha, marzyć tylko będzie do sytości, do unudy i wmawiać w siebie, iż znalazł urzeczywistnienie ideału swego. Uluda oczywiście rozwiązać się kiedyś musi a z nią miłość. Ale jeśli twórczą potęgę swoją zachował, duch na prawdę wcielić ideał swój zapragnie. Przedmiot ten jest mu martwym materiałem, przedmiot mu życie nadał, określając rodzajem piękności swojej kształt tumanny dotąd ideału jego. Jest to więc obustronne podwójne tworzenie. Kochający wzniesie się naprzód sam aż do sfery ideału swego,

potem całą siłą piękności własnej ogarnie kochanego. Na każdą myśl jego wpłynie, miłując i wielbiąc, nie przez omamienie ślepe, ale w prorockim widzeniu przyszlą pewną doskonałość w dzisiejszej tylko piękności, a może nawet i w błędzie. I miłością kształcić długie lata będzie, niezmordowanie aż z siebie i kochanego aniołów Bogu wypiastruje. Każda miłość na świecie jest to ideał nowy, który ją wciela, dlatego, Bohusiu, nasza Ukraina będzie jak nie na ziemi jeszcze nie było. Jeśli ona zimna, biada nam znać, że niedość kochamy. Jeśli nie doskonała, znać, że dłużej jeszcze pracować, to jest kochać potrzeba, tak ją niedawno, Bohusiu, w Bogu kochając, dotąd zawsze bywała biedną po światowemu. Wszystko to, Bohusiu, ściągą się do różnych bezbożnych słówek, które kiedyś od ciebie o Ukrainie słyszałam. Jeśliś zapomniiał to i lepiej.

Nie wiem jaka miłość w niebie. Ale i tam zapewne będzie stopniowa, ciągle przez całą wieczność wznoszenie się, bez doskonalenia nie masz szczęścia.

9 lipca.

Zgadnij, Bohusiu, kto wczoraj do nas najniespodziewaniej wpadł, nahuczał na świat, narozprawiał i dalej dziś polecał? Ernest ¹⁾, przejeżdżając z Paryża, Londynu, Hagi, nie wiem skąd jeszcze, do Baden na czterotygodniową zabawkę, przypadkiem zaszedł do hotelu gdzie stoimy i spotkał się z Daryuszem. Co też nie wygaduje? Są ludzie co skorupę rzeczy tak wyśmienicie ze wszech stron widzą i zachowują w pamięci, że niesposób nie śmiać się na tę bezduszną maskę rzeczywistości. Bywał na prelekcyach Adama, znalazł, że się zestarzał bardzo, poznał się z księdzem K., którego czci i wielbi. Z wami koniecznie chciał się widzieć, pytał o was w Fontainebleau i powiedziano mu, żeście się do Jeruzalem

¹⁾ Rzewuski, mąż Konstancyi Iwanowskiej.

wyprawili. Niema wyobrażenia, żeśmy razem trzy miesiące w Rzymie przepędzili. Teraz znowu zostaliśmy sami. Gości do źródeł przybywa strojnych i światowych, ale ich nawet zdaleka rzadko widuję, bo piję u krynicy dalszej, w ciemnym, ciasnym kątku, zarosłym w ulicę sadzonymi starymi drzewami, ta ulica dwieście ma kroków. Co rano, co wieczór, godzinę prawie po niej chodzę, sama, pacierz mówiąc albo gawędząc z Daryuszem. Oprócz chłopak, rzadko tu kto zajrzy. Muzyka tu nie gra. Jestem tu jak za światem, bawialny nasz pokój duży czworograniasty z ogromnymi oknami przez które za rzędem domów zieloności trochę widzę, zboża, które wiatr jak u nas, w wały nagina. Nie uwierzysz jak mi tu cicho, to jest dobrze. Pokój zewnętrzny największe dobro jakie mi ziemia dać może, niemam już zmysłu na inne.

Rozmyślałam niedawno nad usposobieniem mojem, tu w Schwalbach przed siedmią laty, a terazniejszym. Po mdłej nudzie Mannheimskiej nastąpiła tu była gwałtowna, namiętna, wygryzła mi duszę nieczynność. Jakże młoda byłam wtenczas, mój Bohusiu. Bywały lata całe, w których w rozpaczynym niepokoju słuchałam jak czas leci i siły moje nieużyte zostawia, szczególniejsze musiało być ze mnie stworzenie, umarłe całe przez wyobraźnię. Jakimś rodzajem omamienia dzieciom tylko właściwym, wierzyłam w urojenia własne, jakkolwiek przeciwnie były czuciu, rzeczywistości mojej. Marzyłam na przykład, że może kiedyś w trudnych, niebezpiecznych okolicznościach, w zawierusze potrzebny będzie ktoś przez nieszczęście z osobistości zupełnie wyzuty, któremu na wszystko się narazić nawet ofiarą nie będzie i mimo najgłębszego przekonania, że jako kobietę nikty mnie do niczego użyć nie raczył, że wreszcie nie będąc wolną, nie mam prawa do siebie samej i że nikty dość miłosierdzia nie miał, ażeby mi czynną usługę komu oddać pozwolił. Nie mogłam się oprzeć ułudzie i mimowolnie stosowało się życie moje do tego snu na jawie, choć tak dobrze czułam, że to tylko sen. Łzawy śmiech bie-

rze mnie, Bohusiu, na wspomnienia energii ciała i ducha, które się we mnie dla miłości jego rozwijała. Do wszystkiego stała mi na przeszkodzie wątłość sił fizycznych. Powiedziałam sobie, że się od wszelkich kobiecych wymysłów oduczę, a miałam do nich z dzieciństwa obrzydzenie. Byłabym sobie za hańbę poczytała na czem innem usnąć jak na słomie. Konno tyle stepu nie zsiadając złatać mogłam, że niejednemu mężczyźnie i nie bardzo zwykłych trudno było dotrzymać mi placu. Od dwunastu lat najlepsze podobno moje chwile przemarzone były na koniu, tak trwało z pięć lat. Ze snu zostało mi teraz podziwienie, że był tak długi. Teraz wiara wierzę, iż ponieważ żyję, na coś przydać się muszę. Inaczej bluźniłabym mądrości Bożej, która mnie stworzyła. Mamci istnienie moje potrzebne jak każdego z jej dzieci. Nie chciałabym ażeby po mnie płakała. W przyszłości tak do niczego, że nawet do śmierci nie mogę tęsknić, bo grób nie dla nas, tylko dla glinianego odzienia naszego. Nie uśniem w nim ale się zbudzim. O pokój po zbudzeniu nie zaraz i nie dla każdego ponieważ codziennie prosim o niego dla tych, co już wieczność zamieszkali. Coby to było, piekło już na ziemi, gdyby nie wiara w miłosierdzie Boże, w tę pierwszą przyczynę i ostatnie rozwiązanie wszech rzeczy. Człowiek nieraz szaleństwa na zawołanie niema. Co mi teraz jest, co mi braknie? Nic, niczego nie pragnę, dawniej choć śniłam, choć szukałam czasem w zapomnieniu się rzadkich chwilkach, teraz i nie szukam. Wyrwanam z ziemi z korzeniem, ani ja niczego, ani mnie nic się nie trzyma. Patrzę jak się ludzie za interesami kobiety, za zabawą rozpadają, ledwie już rozumiem znaczenie tego słowa. Zabawa dla mnie przyjemność, to jest nie cierpienie. Ach! prawda jeszcze czasem książka jakaś miła zajmie. Na domiar, Bohusiu, jeszcze mam rozczerowanie, osamotnienie od przyrodzenia, nie żeby mniej cudne mi się wydawało, owszem, ale, zdaje mi się, czuję chłód i przymus w jego miłosnym uśmiechu do człowieka. W dzieciństwie nie

mogę ci wypowiedzieć w jakiej jedności, zgodzie i miłości z niem żyłam. Znałam się z każdym odbłaskiem światła, z każdym rodzajem chmur, z wichrami, z tumanem rannym, z rosą ranną i miesięczną. Myśl dziecinna zespoliła się była z całym tym zewnętrznym światem Bożym, smuciła się, odnawiała, bujała z nim razem. Czemuś go się nie bała i o nic nie posądzała? Swobodnie jej z nim było. Teraz mam uczucia jakby on nas nie kochał. Ogarnia nas, ogrzewa, ochładza, karmi, cieszy, ale tylko z rozkazu Pana. Na dniu ostatnim, mówi Soeur de la Nativité, powstanie ziemia, słońce i księżyc i wołać będą zemsty za grzechy, które oblicze ich znieważono. Patrząc czasem na księżyc jasny, cichy, co jakby koł, tulił, kołysał promieniami tak łagodnie, miłosiernie i myślę sobie nieprawda nie kocha, pieści do czasu, dopóki kazano. Dziś myśl moja zawierzy mu, rozplynie się w rzewnym, cichym niby spoczynku promieniami jego wywołanym, a jutro on przeciw mnie i braci mojej sprawiedliwości Bożej wzywać będzie. Nie masz miłości jak nie masz pokoju nigdzie tylko u Pana.

Do przyrodzenia nie mam żalu. Owszem. Ono wiernie Panu swemu w posłuszeństwie służy, ale między nim a człowiekiem nic niema. Człowiek czyta w nim z pokornem uwielbieniem słowo wszechmocnej mądrości Bożej i jako z ręki Bożej wyszłemu, jako bratu daje mu to, co ona bezduszna żyjąca głoska, nigdy mu nie odda, — miłość. Bohusiu, ja całe przyrodzenie kocham, może nawet nadto, znamy się od tak dawna. Ale mi z niem samotnie. Jeśli Ukrainę kocham, to, że w niej jest duch. Ach! biedna kochana, kochana, kochana moja. Co tam ja, czy mi smutno, czy wesoło, czy mi tłumnie czy samotnie, wstyd mi jak się nad tem zatrzymam. Panie! Panie! Zmiłuj się nad jej ludem! Panie, Panie! Światła jemu i piękności, promiennego mu wieńca i na pociechę, niech uczuje jak kochany. Niech ze znoju i zniewagi odetchnie, sierota. Ach! Bohusiu, ofiara cóż to za raj! Błogosławiony komu

dano będzie oddać się za niego. Za ten biedny, biedny lud, za który się jeszcze nigdy nikt nie poświęcił prócz Chrystusa.

12 lipca.

Na co piękność na ziemi, Bohusiu? Takie pytanie na pół bezsens, na pół bluźnierstwo. Niewiem jak reszta ludzi, ale ja przyznać tylko sobie dotąd nie chciałam, że nie rozumiem. Wczoraj stałam przed lustrem i patrzyłam jak mi różową ledwie dojrzaną chmurką krew wracać zaczyna do ust i twarzy. Pomyślałam, prawda, że mi ładnie, ale cóż mi potem? I po każdej może piękności na świecie, moralnej czy fizycznej cóż po niej? Gdybyśmy tu wiecznie gościć mieli i za każdą pięknoscią co nam serce rozszerza, gonić mogli i całą istnością wmiłować się w nią wolno było, i gdyby tak niezmierzona była, żeby duszę napełniła i starczyć jej na całą wieczność mogła, to co innego. Każda piękność z Boga tylko pochodzić może, istnieje więc rzeczywiście, niezależnie od usposobienia naszego. Czy też by dzieło, na którym najznaczniejsze piętno ręki Bożej, promień chwały Jego, na ziemi jedynie był przeznaczone na narzędzie pokusy, na kamień probierczy człowieka? Ażeby największej dostąpić zdołał zasługi, pogardzając dla czystej miłości Boga nawet tym niebieskim darem Jego. Kto wie, może i tak, inaczej nie byłoby pola ofiary. Ileż to jest ludzi, w naszym mało wierzącym wieku, bardziej kochających względną jakąś moralną piękność, niżli nieskończoną całość piękności Boga? Wszyscy wielcy ludzie, wedle świata, to jest źródłem wszelkiego bohaterstwa, przed którym świat olśniony na kolana pada, bo drobny ten promyk dobra w miarę jest właśnie drobnoty jego i rozumie go wyśmienie zachwycić się nim umie. Nie tak się dzieje z bohaterstwem miłości Bożej. Ażeby go pojąć, trzeba wiedzieć, że sąd piękności jest tylko w sumieniu, bo piękność jest zewnętrznym kształtem dobra, a to jest wiedza bardzo głęboka, której dostąpi tylko wychowanie wiary. Na świecie

każdy czci tylko ułamki piękności wedle miary czystości ducha, jaką mu namiętności zostawiły. Gdyby ją kto zupełną miał, pokochałby całość Boga, niewstrzymanie. Ale człowieka bez grzechu nie masz. A jasnowidzenie, miłość Boga, pomimo upadków, słabości, jest tylko darem wiary. Dlatego też ktośkolwiek się wzniesie od ułamków do całości, od promieni do ogniska, znajdzie się tem samem w przeciwieństwie ze światem. Jeśli go świat uwielbi czasem, będzie to pewnie dla najmniejszej jego zasługi. Chrzęścianie i filozofi wszyscy męczenników czczą i kochają. Zapytaj o przyczynę, pewnie nie dla niezmierzonej ich miłości ku Bogu, ale dlatego, że życie swoje i cierpienia mało wazyli. Cenią w nich co nad zwierzę a nie co nad człowieka ich wynosiło. Fakt podziwiają, nie uderza ich przyczyna, która im wartość nadaje. Bohusiu, na cóż więc piękność, próbka nieba? Ażeby jej nie kochać. Ażeby na przekonanie nam służyła jak prócz Boga i nieskończoności Jego nie zapelnąć nam serca nie może. Jak nikczemne to istnienie tutejsze, kiedy się w niem promień chwały Bożej tak drobno i ciemno odbija, tak myśleć muszą mnichy i pustelnicy.

Niesłychana obfitość piękności w zewnętrznym świecie i nie dziwnego, bezpośrednio z ręki Bożej wyszedł a człowiek ująć go i naginać do własnych celów nie bardzo może i to trochę nie w źródle jego życia. Mój Bohusiu drogi, jakie kwitną róże o kilka kroków od nas, napatrzeć i nacieszyć się niemi nie można, takie swobodne na łądach, tak im pod listkami chłodno i dobrze, tak się każdy pączek niby w pokoju, niby w pewności, że na swoim miejscu, że go mile przyjmą, że potrzebny rozwija do powietrza, do zieloności. Oto szczęście, Bohusiu, tak musiało być Adamowi przed upadkiem, ni jednej troski. Czy ty lubisz, Bohusiu, kwiatki? Ja strasznie. Ale nie po amatorsku, mnóstwo polnych wole od ogrodowych. Nie przyznam się Kici, która je hoduje i pielęgnuje jak dzieci. Ale dla mnie, kiedy kwiatek powiększy się w dobrej ziemi, na pełny się przerobi, to jego upadek. Z czy-

stej myśli staje się materyalną pięknnością, rozum traci a natomiast nabiera pychy, to próżności, to złości, to poprostu wszelkie znaczenie traci, i nie już nie duma, bo nie nie kocha. Dobrze mu i nie nie tęskni. Jeszczem nie widziała ogrodowego kwiatka smutnego. Czy sobie wyobrażasz, naprzykład? Jeśli niedomawiam myśli, to nie przez litość dla kwiatków, ale z innej przyczyny. Ach! biedne kwiatki! Nie chcę nic na nich mówić. Cóż one temu winne, że je ktoś przesadził, że się w więzieniu zmieniły. Czy jest we Francji mój ze wszystkich najukochańszy, rast biały? Trzeba bardzo być szczęśliwym i życia wiele mieć w sobie młodego, ażeby lubić otaczać się kwiatkami. Nikt umarłemu dziecku kolebki nie splata. Popatrzeć z daleka, pokochać potem (to sposób mojej inwencji, ale pewnie nie pomocny) w światło źrenicę obrócić, żeby łza nie pobiegła jeśli szczęśliwa chwila i łza nie wyschła, to i dość. Mam kwiatki w Pielawie, ale to nie dla mnie i nie ja się nimi trudnię. Moja Kicia¹⁾ kochana chodzi koło nich i tak się cieszy jak mi co ładnego wyhoduje. Co to za anielskie serce, Bohusiu, nie znasz jej jeszcze, późno się jej umysł rozwijał, jeszcze wielkie z niej dziecko było kiedyś ją znał. Wielki ma dar ukołysania i pieczyoty, istna mamcina córeczka. Niepokój mam o nią. Zachowaj nam ją Boże zdrową i swobodną.

15 lipca.

Pisałam dziś do ojca Daryusza i do Olgi. Nie mogę się już z tobą rozgawędzić. Dziś tylko w nawiedziny do ciebie przychodzę. Ślicznie się Nisia kłania, dobry wieczór, Bohusiu, jak tam wesoły czy smutny był ci dzień? Żeby nie ze wszystkim zbiegł zimny, Nisia głaszcze ciebie, ty nie sam, Bohusiu. Jest Bóg w niebie, jest anioł twój stróż i matka twoja bliżusienko koło ciebie. A na ziemi gronko, do którego ty

¹⁾ Konstancja z Iwanowskich Rzewuska.

należysz, z którym zawsze jesteś, które błogosławi tobie. W imieniu całego gronka, Nisia dziś przychodzi i zaziera co się w duszce u Bohusia dzieje. Czy spokojnie tam i jasno? Czy widziałeś, kiedy o południu słońce bez chmur, co się pod wodą dzieje? Fala kołysze się, kołysze bez końca, to wiatr dmucha, to źródła w głębinie biją. Ciągłe w ruchu i chwilki spoczynku niema. Ale to nie przeszkadza, że w niej jasno, promiennie, przejrzysto, cudnie jak w zaczarowanym kraju. Otóż tak u ciebie w duszy niech będzie.

20 lipca.

Und kann ich nur einmal
Recht einsam sein
Dann bin ich nicht allein.
Dann überschleicht bei Tag und Nacht,
Mich einsam die Pein
Mich einsam die Qual!
Ach werd' ich erst einmal
Einsam im Grabe sein
Da lässt sie mich allein.

Nieprawda, nieprawda. Grób ostatnie złudzenie. Nie człowieka na ziemi nie kocha, ani on nawet. Zdradzi go i wyda sprawiedliwości.

Über meinem schuldigen Haupte bricht
Das schöne Bild der ganzen Welt zusammen.

22 lipca.

Zgrzeszyłam, potem żal mi się zrobiło, poszłam więc, wypowiadałam Panu a Pan od razu odpuścił. I zawsze tak. Ile razy, choćby siedmdziesiąt razy siedm grzesznik z żalem przyszedł, Pan odpuści i łaską obdarzy jakby wierne dzieci, przytuli i rozraduje. Nie jest że to, Bohusiu, przedwczesne usprawiedliwienie, nawet przed ograniczonym rozumem człowieka kar wiecznych? Czyż się sam na wieki nie odtrąca, kto

pogardza albo nadużywa tego niewyczerpanego miłosierdzia, które nie tylko odpuszcza, ale darzy i błogosławi winowajcę i cieszy się powrotem jego do ojca bardziej niż cnotą sprawiedliwych.

Jak można rozprawiać o wierze, kiedy się jej nie zna? Teorya nigdy religii nie nauczy, ona do czucia przemawia, trzeba więc spróbować jej w szczerem zastosowaniu do życia. Trzeba w niej być, a nie z nią, ażeby ją zrozumieć. Jak widzisz, Bohusiu, przypomniała mi się długa rozprawa z Z.... Chce mu się koniecznie ogólnego cudu miłosierdzia dla całej ludzkości, inaczej mówiąc, bezpośredniego, zupełnego zawładnięcia jej wszechmocą, ażeby bez względu na dobrą czy złą wolę człowieka, zbawienie jego koniecznością było. A więc wielki dar wolności na pobudkę tylko dany niepotrzebnego szamotania się po świecie. A więc bez ofiar i miłości, obejść by się mogło nieco później w prawdzie ale i bez nich zbawienie zawsze by przyszło? Czyliżby nie prościej i lepiej było w takim razie człowieka pojętą rośliną stworzyć? Oszczędziłoby się zachodu, walk, pracy, a szczególnie obraży Bożej; jeśli usiłowania człowieka tak mało ważą, czemu czekać koniecznie aż się miara ich dopełni. Jużby się dawno świat ten skończyć był powinien. Dopieroby zagadka tego świata do szaleństwa wiodła, gdyby złe i dobre, szczęście i cierpienie, ucisk i ofiara istotnego znaczenia nie miały, ani rzeczywistego celu, bo konieczności cnoty i boleści nie było i wszystko bez nich zrównałoby kiedyś miłosierdzie Boże. Z.... marzy tylko, z pod stóp jego wydobył się gad ognisty, dotarł aż do świata marzeń i w sztuki potargał mu młodość. Ile wycierpiał, nikt na ziemi nie wie, ani rozumie oprócz może jednej kobiety, o której ani się domyśla, że siostra po katuszy. Każdą co się w istotność jego wgryzła i jedno się z nią stała, życie mu ją wysłała i dlatego zdaje mu się, że on to życie zna. On, oprócz żywca toczzonego ideału piękności swojej, na który w gorączce ciągle patrzy, oprócz marzeń, któremi spożarte

jego części mimowolnie ciągle przed sobą samym przysłania, a na świecie, oprócz salonów, nic nie zna. Dla niego rzeczywistość jest tylko w niesłychanym cierpieniu, jakie sprawia dotknięcie błota ziemskiego i we własnej myśli jego. Wierzy we wszystkie logiczne wypadki idei, która mu się prawdopodobną zdaje, a dla niego prawdopodobnych jest wiele, bo trzydzieści lat nie przedział, ale przemarzył, sercem z niewielu oberwał, a nigdy z masami, chyba urojonemi w przeszłości czy przyszłości, ludu i głębokiej jego mądrości uczucia sprawiedliwości i godności własnej, jakie u nas szczególnie posiada, wyobrażenia niema. Słowem nie zna życia, które właśnie jest zbiorem negacyi, przez które przesaczyć się musi idea nim dojdzie do imienia nietylko p r a w d y, ale prawdopodobnej. Nimby zaczął działać, powinienby przez wielką przejść naukę, przez naukę miłości sercem a nie wyobraźnią, wyjść z siebie ku ludziom. On dotąd ideę tylko Pana, nie Pana kocha, kiedy w życiu miłość doskonałości przedmiotu, bez miłości istoty przedmiotu, żadnym sposobem iść nie może. Każdy przedmiot kocha się zapewne tylko dla piękności, którą posiada lub zdolny jest posiadać. Ale on tę piękność widzi tylko z daleka, jakby w optycznym jakim złudzeniu. Niknie mu zbliżka, ująć jej nie może. I tak być musi. Jeśli ogólnie życia nie zna, tembardziej życia narodu naszego, tak strasznie różnorodnego duchem i zlewającego się w całość jednym tylko uczuciem, potrzebą piękności, która u niego przemaga nad potrzebę wygodnego bytu. Dlatego to duch Pański widzi jedynie w E. Czucie wyłoniło się tam w głośny czyn i w słowa i on je zrozumiał, a dwadzieścia milionów leżą mu jak martwa bryła przed oczami, zimna i niema; prześliznął się tylko po jej powierzchni, do serca nie zakolał i zdaje mi się, nie umiałby nawet zakolać. Nikt do ludu przemówić nie potrafi ani odpowiedzi jego pojąć, kto z nim jak z rodzonym bratem w miłości i równości serdecznej nie

wzrósł, kto prostoty jego niema, to jest dobra, jako czystego ziarna bez owej złoconej łupiny, owej przebiegłości wyobraźni, którą się rzecz każdą podług woli ubarwia, na złą lub dobrą stronę tłumaczy. Podstawą więc wszystkich marzeń Z. jest E. której na obrobienie, na stworzenie ideału dany jest marmur dwudziestu milionów, i naprzód według niego trzeba go z przepaści wydobyć ażeby ukuć coś z niego można. Niewidzi iż jeśli życia niema, nikt ciężaru jego nie wydzwignie, a jeśli je ma, nikt go w karby jakiegokolwiek systemu nie wcisnie, tylko sam siłę swoją na zewnątrz rozwinię i stanie się potęgą. Szczególna rzecz, iż z tak różnych powodów i on i mistycy nasi o jeden się błąd rozbili. Kiedy się też i demokracja nawet przekona, że lud nie zimny materiał, że ma rodzinne swoje życie, że przeszłości nawet wszechmoc Boża ścierać nie chce, że więc owoc swój przynieść musi, że w niewstrzymanym rozwijaniu swoim, zdruzgotuje tego kto jej na przeszkodzie stawiać będzie, że więc wszczepiać nic nowego, obcego nie trzeba, ani można, ani się godzi, tylko stary korzeń święcie hodować i strzedz aby ku niebu wzrósł. Wiare ojców naszych, na której cała narodowość nasza oparta, pilnie całem sercem chować i wedle niej ogół uzacniać, uświęcać, wznosić. Na rozwijaniu i doskonaleniu, aby dojść do ideału tej wiary, nie zabraknie i do skończenia świata. Krwawi mi serce jak o Z. ... myślę, buja i daremnie się o próżnię bije. Jednak była mu tej zimy trochę bardziej błoga chwila. Ogarnął całą duszą ideał i zapomniał się w nim. Tu następuje długi szereg myśli, których pisać nie można. Oto ostatnia. Nie znam nikogo coby tak zupełnie upiorem się stał jak ja.

23 lipca.

Niema i niema listów, tak mi jest jakby śmierć w domu u nas gościła.

29 lipca.

Chwała Bogu, chwała Bogu, jest list od mamci, który z innymi wam odeszł za dni kilka. Wszyscy zdrowi. Bodaj tę Kicię. Czy można tak długo niepisać. Ani wie ile się nadreżyło, napłakało o nią. Pewna byłam, że się jej coś stało złego. Doprawdy okropnie pojąję, zacznę od tego, że jest najnieznośniejsze stworzenie pod słońcem. A tu nawiasem muszę Bohusiową uwagę zwrócić na burze, które czekają tych, co gdzieś za światem bujają, marzą, cierpią, a do kochanych ani mru mru. Czy wiesz, że dotąd tylko dwa listy od was odebrała? Niech was moje grube pakiety zawstydzą, choćbyście ich wydecyfrować nie mogli czy cierpliwości nie mieli. Dziś pisać długo nie mam czasu. Porzucamy cichy nasz Schwalbach. Żal mi go szczerze. Niech Bogu będzie dziękczynienie i chwała za pokój, któregośmy tu używali. Niech w miłosierdziu odpuszczy grzechy, którymiśmy go tu obrazili. Żal mi ubogiego kościółka, w którym lud chórem co niedzieli śpiewa swemu Chrystusowi, który dla niego zawsze na ołtarz zstępuje i błogosławi. Wielka tu różnica od kiedyśmy przyjechali. Jak gdyby oddech czy wzrok nasz spalił pola, takie zielone, pozołkły i liść na drzewach nie tak już świeży.

Dziś wieczorem będziem we Frankfurcie. Złączym się tam z Cezarym i razem puścim się na kąpiele morskie do Ostendy? Czy was tam obaczę? Okropnie się bałam, abyśmy w Scheweningue nie zagręźli, bo wątpię, ażebyście do Holandyi wolny wstęp mieli, ale nie, już przeważyła szala na stronę Ostendy.

Bruksela, 3 sierpnia.

Kochany mój Bohusiu, ledwie wyjechaliśmy ze Schwalbach, otoczył nas świat. Spotkaliśmy Koczubejów, Sielackową, rzymskie znajomości, X. Henrykową i Jerzego. Blady, znędział, bo chorował we Szwajcaryi. Z... już ożeniony. Koczubej widział go już po ślubie. Gawędziliśmy. Za powrotem naszym zastaniecie kilka nowo wyszłych książek, ciekawych bardzo.

Zdaje się, że Bóg chce, ażeby wiele rzeczy złych odkrytych zostało tak, iżby nikt udawać nie mógł, iż już nie wierzy. Nam znane to jak gorzki chleb powszedni. dla wielu tylko to nowość. Chwyta też i pożera cztery grube tomy, jest także o sąsiadach z lasu¹⁾ wcale nie zła broszurka, w której jasno i wyraźnie ku pojęciu najniepojętniejszym wyłożone rozmaite prawdy. Coś wyszło Z... ale tego nieznam jeszcze.

W Malines widziałam się z kilku naszymi. Zapomniałam ci powiedzieć, że w Frankfurcie zjechaliśmy się ze starym Eustachem Iysym. Wracał z Brukseli i opowiadał mi, że Wielki Mistyk²⁾ wcale tu wziętym nie jest. Naszych w Belgii osiadłych uporczywy się wziął rozsądek i żadnym sposobem w natchnienia i widzenia wierzyć nie chcą. Nie słyszałam, ażeby i we Francyi przybywało wielu uczniów. Z dawnych jest tu Kamieński, jak mówił mi Jerzy. Sądząc po tem jak dotąd idą rzeczy, zdaje się, iż po prostu na sektarstwie się skończy. Stopniem niżej musi w całym ich gronku stać teraz mistycyzm. Domyślał się z różnych znaków, że się A... od niego po trochu uchyla, ale temu po ludzku sądząc, nie wierzę. Mówił jeszcze, że Stofflers upadł w drugim dziele, które po *résurrection* wydał. Nie wiem jednak czy to pierwsze w dawnem zostanie uwielbieniu. Gdyby też na chwilę wahanie ustało tam gdzie wiary niema. Wieczny ruch na miejscu, trud i szamotanie nadarmo. Och! szkoda uniesienia, szkoda sił i życia co się w pasowaniu z nieprawdą, z nicością zużywa.

Pomimo najlepszej chęci pisania dalej, trzeba mi foliały te poskładać i odesłać do Rzymu, ażebyście tam wiadomości o nas zastali, lepiej to z Belgii niż z Niemiec uczynić, bo jeśli latamy, to na niteczce tylko.

Ożywiło mi się w duszy, ruch, swoboda, czary w koło mnie. Błogosławiony zachód! Zazdrościć nie trzeba. Nikt nie

¹⁾ Austriacy, według umówionego klucza.

²⁾ Zapewnie Towiański.

zawinił ile my pokutujęm ostro i długo. Och! lud nasz, biedny lud. Jeśli, jak Kaim, znaku strasznego nie nosim na czole, to chyba, żeśmy go nie dobili jeszcze. Wszechmoc Boża między nim a nieprawością naszą stanęła i mimo nas samych potępienie nam oszczędziła, piekło zmieniła na czyściec.

Nie skarżmy się więc, ale raczej w niezmierzonej radości powtarzajmy sobie: lud żyje, prawdziwie żyje. W tem słowie zbawienie nasze, ziemskie i niebieskie, które w nadziei tylko zostanie, ale się nie ziści dopóki nietylko w sercu piewcy albo kobiety, ale w sercach wszystkich radość ta nie zagra¹⁾. Ona jedna okupić może w woli wykonane zabójstwo.

Mój Bohusiu, jak Zuzula jedną tylko śpiewkę umiem i jedną wiecznie powtarzam, tylko w mojej śpiewce jest kilka strof zaklętych, że się rozerwać nie mogą, którąkolwiek z nich zacznę, inne we mnie mimo mnie wtórzają. Słyszałeś jak jęczą struny, kiedy w nie nie ręka ludzka, ale tchnienie, powiew uderzy?

Trzeba kończyć. Biedna ja, Bohusiu. Nie umiem słówka coby ci uczuć dało, jak rzewnie w prawdzie serca błogosławię tobie.

4 sierpnia.

Bądź zdrow, bracie ty mój, kiedy i jak się obaczym? Gdzie ty i co robisz? Drzę ażebyś się w chwilowem uniesieniu wotum jakim nie związał? A przeszkodzić temu nie w mocy mojej. Niech cię światło i łaska otoczy. Nie sądź o siłach swoich wedle godziny uniesienia. Zapóźno te słowa moje przyjdą.

Bohusiu, niech cię anieli strzegą, niech duch święty wejrzy na ciebie i uświęci cię dla chwały Pana, dla zbawie-

¹⁾ Miłość do ludu w największym stopniu miała p. Poniatowska, okazywała ją czynem.

nia twego i wielu innych jeszcze. Bądź zdrow, do zobaczenia.

Krzyżem świętym błogosławię wam obydwom.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Verviers, 12 października 1843.

Kochani moi, kochani. Chciałabym pisać do was, ale nie wiem czy siły, czy myśl nie po temu. Zaczęłam list do mamci i to się nie klei. Na wszystko coby się powiedzieć chciało, długich tłumaczeń potrzeba. Mglą mi się oczy łzami. Ot lepiej powtórzę wam tylko jeszcze kochani moi, kochani. A wy przeczućcie ile w tem słowie pieśczęoty boleśnej i trwogi o was, sieroty moje, wszystkie, na wschodzie i zachodzie.

Frankfurt, 19 października.

Zaledwieśmy przyjechali, przywitała nas chmara listów z różnych stron, kilka z gwiazdki, te wam posyłam. Dwa od was, jeden wczoraj, drugi dziś przyszedł, to jest od mego drogiego, kochanego Józefa, bo ten Bohuś nic, nic, nic, tylko przypisek mały był od niego w pierwszym. Ale nie bardzo łaję, bo poczuwam się do tej samej winy, jeśli to wina. Wszak to nie tak dawno jakieśmy się rozjechali, a pierwszą karteczkę dopiero wysłać. Czasu było aż nadto, zamknięta w małym pokoiku w Verviers sama jedna, bo Daryusz gdzieś tam interesa ułatwiał. Olga u siebie leżała i czytała, całe dwa dni nic nie robiłam, tylko jakiś tam romans francuski czytałam. Błado mi było na duszy, i nijako. Nawet na płacz zebrać się nie mogło, jeszcze do tego *tic*¹⁾ przypominał się po trochu. Na dworze chłód, ślota, z głębi serca coraz po jednej

¹⁾ Choroba nerwowa.

wstają troski liche jak mgły, szerzą się, szerzą, kłębią i póty się tak chmurzyło, kochani, dopóki ani jednego jasnego kąta nie zostało. NB. była temu przyczyna, której napisać nie mogę, dopiero w płacz nieutulony, coś przez dwa dni. Daryusz się marszczy, bo mu Nisi żal, wrócisz do domu bezsilniejsza niż kiedy. Nisia tuli się i przeprasza i gorzej jeszcze płacze, bo czuje, że jej kazać nie boleć, to jak źródłu kazać nie płynąć, a nikt tego nie wie i nie rozumie. Cóż ona temu winna, że wszystkie głosy na ziemi słyszy, a wszystkie jęczą, że wszystkie serca na ziemi widzi, a wszystkie grzeszą i siebie czuje jak ją boli i jak mimowolnie jęczy, bo sama grzeszy i gwiazdka jej grzeszy, tak to się zwykle u Nisi dzieje, ale w tej chwili płakała, bo jej była niby droga znikła i nie wiedziała gdzie iść dalej i co począć. Aż zmiłował się Pan, przybyliśmy do Kolonii, tam dom Boży cudny nie jak sen, ale jak rzeczywistość, niby skamieniałe, poważne, wzniosłe, spokojne uznanie wielkości i świętości Pana. Skamieniało uczucie czci i uwielbienia. Tam drugi dom Boży stosami kości świadczy o miłości człowieczej, żywej, radosnej, dziecinnej, ku temu Panu liłościwemu, u którego piękności i dobroci nieprzebrana miara.

I uzałił się Chrystus nędznego stworzenia, powiedział: „Idź w pokoju, a nie grzesz więcej“ i rozdmuchnęły się odrazu mgły popielate i tak mi jest jak w jesieni po długiej słońcu, jasno, błękitno, cicho a zimno, огоłocone drzewa i liść żółty na wilgotnej ziemi. I tak być musi. Żadnego pasma zerwać nie można, złe czy dobre sunie się, sunie do końca i po końcu świata. Wszystko owoc swój przynieść musi, wczesna i skwarna była młodość, wczesna też i огоłocona starość. Dzięki Panu za pokój jakkolwiek krótkimi chwilkami nawiedza. Nie umiem pieczy jego wszelkie troski z ufnością porzucić, dlatego długo gościć u mnie nie może. Dzięki, dzięki nieskończone i za chwilkę odpoczynku. Niegodnam ich, Bóg widzi. Otóż, kochani, dzieje moje od tych ostatnich dni dzieięciu.

Zastraszala Daryusza spóźniona pora, ale niech Bogu będą dzięki, stanęło na tem, że pojutrze puszczaemy się w drogę. Cóżbyśmy w Berlinie robili? Byłoby jakieś zawieszenie życia w zupełnej nieczynności, grzech. Gdyby to gdzieś z wami jeszcze kilka miesięcy przeżyć, to co innego, to nie próżnowanie, ale wzmożenie się w siły, wzbicie ducha na wyższe stanowisko i odetchnienie i wam i mnie. Ale już minął błogi czas spoczynku, stanęliśmy. Obejrzeli i uznali w powołaniu naszym, potem się ku sobie stulili, uściskali bracia moi kochani. Podumarli razem na przestrzenie, popłakali na cześć i miłość Ukrainy naszej, na ślady łez naszych, co po drodze naszej za nami zostały, doprawdy ledwie popatrzeni jakby my nie istnieli w sobie, tylko w górę, w górę poszły głosy sieroce. Chwała Panu. A teraz nawołują tam niby z otchłani.

Boże mój, Boże, przepada za niemi serce, gdyby niewiem jakie szczęście na ziemi rwałoby się do nich, gdyby u Boga w niebie żebrałoby litości za niemi. Nie można nam, nie można dłużej tu zostać. Czekanie długie tym co cierpią. Kochani moi, kochani, gdyby ulżyć im trochę, przybędziem i stanem, płacząc w niemocy przed niemi. Gdzie tam płacząc, lodem zetkną się lzy w piersiach i głos już nie jęknie, tylko jak cudziowski śpiew wyuczony i wesoły, a na twarzy pogoda, a w myśli przytomność i gotowość dzielenia wszystkiego co świat zajmuje i bawi, i sukienka jasno-kolorowa i tak od rana aż do późnej nocy, a wrócisz do kąta swego (jeśli go masz) i zamkniesz drzwi za sobą, to krótko modlić się trzeba i cichutko płakać, bo domki nasze ciasne a ludne; posłyszysz ktoś przez ścianę i daremna całodzienna praca, bo u nich tak szczęście wygasło, że potrzebne do życia pokój i pogodę ciągle u kogoś czerpać muszą. Pierwszą u nich potrzebą patrzeć na oblicze przyjazne a wesołe, też niewidzieć, jedyna już jałmużna, chwilka wytechnienia z trosk i pamiątek straszliwych. Kto ulgę przynieść już pragnie jak anioł Boży w świetnej, godowej, niebieskiej szacie, zstąpić ku nim musi, kość boleści

miłością i współczuciem, ale niech to współczucie nie zakłóci nigdy wewnętrznej radości, którą jako niebianin posiada i przytomnością swoją cierpiącym udziela, słodkiem, wyrozumiałem, litościwem, ale wiecznie pogodnem okiem na męczarnie patrzeć musi, bo ta pogoda skutkiem jest wpatrywania się w niepojęte wyroki Boże, pewnością miłosierdzia na przyszłość.

Biedna, grzeszna istota, niezmierzona żądzą chwały Chrystusowej i niezmierzona miłością ku cierpiącym, czy może wznieść się aż do tego stanu mocy niebieskiej? Kochani, zdaje mi się, że może. Do tego stanu przyrodzonego aniołom ona zdaje mi się za łaską Bożą, choć w mniejszym stopniu dojść może straszliwą ofiarą, zupełnem zniweczeniem siebie, ukochaniem woli Bożej bezwzględnie. Tak trzeba przestać żyć w sobie, iżby nawet zdolność cierpienia znikła na ile zniknąć w ziemskim stworzeniu może, tak trzeba wpatrzeć się w Boga, iżby w porównaniu niezmierzonego miłosierdzia Jego, wszystkie cierpienia ziemskie niczem się zdawały i zawczasu okazywały się tylko w promieniach przyszłej chwały. W ciągłym rozpamiętywaniu miłosiernych celów mądrości Bożej, wszystkie duchowe pragnienia człowieczeństwa ustać powinny. Potrzeba pociechy ziemskiej, współczucia, miłości, odpoczynku. Skruszyć się musi ograniczenie. Osobistości wyłączają u niezgodnych z jej usposobieniem od wyrozumienia i miłości, ażeby pozostała jedynie światła, święta siła, narzędzie chwały Bożej i zbawienia ludzi, pośrednictwo między nędzą a miłosierdziem.

Kochani, takimi stać się my powinni, nie udawać wesołości wobec ludzi, bo kłamstwo nigdy owocu nie przyniesie, ale wzbudzić w sobie szczęście jako cnotę. Nie poprawiać słowy neczyjoho szczastia, a nam trzeba daleko ity czerez pole i w prawo i w lewo, pownymy rukamy jak zerno dobre. Kidy a ne ohladyt sia za nym taj ne pytaty, czom ne roste, bo ono i tak ne nasze, no Pańskie, a Pan znaje, czom na wesni tilko nebo syne, a zemla czorna i sumna, i czom cho-

łodno tomu szczo sije i czom burjan bujny ta za pszenyciu bujnijszy, plakaty nam ne možna, bo ludiom szczastia treba, treba im wsio szczo bołyť zahoworyty w serciu. Ne każy, ne potrapliu, na toż my sia na Ukraini porodyły, szczoob czarovaty ne umyły? Ne bisom, Boże sochrany, ale darom Bożym toż by vse sorom buw maty naszoj. Je mołytwy to mylost', je dumka, to slozy w piśń rozbrany, je żertwa swiataja, a w żertwi wsia syła. Na żertwi dajem wsi slozy. Wse, wse Pańskie ne należyť do nas, wse plakaty ne možna, Pan wse lyczyt' jak zamyrajut' w serciu krowawyj, a ludiam oczy naszy jasny jak zwizdy, na szczastie i na toje, szczoob ludsze posluchały jak każem: mylosty ditiom Bożym ubohym. Kołyś Pan do ostatini dołyczyt', a w toj czas: Oh! Sława Bohu, sława Bohu!

24 października.

Kończymy pakunki, sprawunki, interesa. Jutro zapomocą Bożą wyjeżdżamy. Ach! kochani, kochani, cyt, pokój, opatrność Boża wszędzie, niema czasu rozpisywać się do was dziś.

Bądźcie zdrowi, bądźcie w pokoju i łasce Bożej. Przyciskam was obudwóch, nie wiem doprawdy jak braci czy jak dzieci, czy jak męczenników, czy jak aniołów. Wszystko razem. Bóg z wami kochani.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Drezno, 30 października 1843.

Zmienił się nieco jak widzicie, kochani, kierunek wędrówki naszej, nie na Pragę, bobyśmy nieco górzystej drogi mieli, ale narodowym obyczajem na Saksonię wracamy. Niekoniecznie mi to na rękę, boście pewnie do Pragi pisali, a niemam tam nikogo znajomego coby mi listy wasze z poczyt odebrał i przesłał. Oznajmiam wam o tem, kochani, aże-

byście nie leniąc się wcale, powtórzyli mi co w nich było. Mnie od was lada słówko ważne i drogie. Nie dość nagawędził się jeszcze, są rzeczy, których się niedość wyuczyłam, szczególnie pamiętacie ów wieczór, kiedyśmy wszyscy razem, Olga i Mikołaj, w saloniku mówili o czytaniu i czytelnikach często jednej zlej książki. Oby lepiej ażeby zupełnie czytać nie umieli. Nie wyluszczyłeś mi wtedy dostatecznie myśli twojej, jakby temu zaradzić niewiem, gdyby to mi twój aniołek poszepnąć raczył coś ty nie domówił. Rozumiem ja cię po części. Oświata o jakiej ty mówisz, prawdziwą by mądrością była, bo nie pochodziłaby z oderwanych wyobrażeń, które każdy przyjmuje lub odrzuca, wedle ich pokrewieństwa z własnem jego usposobieniem, ale z duchowego doświadczenia, do którego by każde pokolenie dorzucało nowe prawdy i z uszanowaniem ustnie przekazywało następnym jako naukę i pociechę. Utworzyłaby się po raz pierwszy filozofia, nie już martwy systemat oderwany od rzeczywistego życia, wymarzony przez głowę, której marzenie drugiej i dziesiątej kłamstwo zadaje i w który nikt szczerze z serca nie wierzy, ani nawet ten, który go tak sztucznie i misternie zbudował. Ale żyjące przekonanie, wynikłe z żyjącej, na uczynki wpływ mającej wiary, z rzeczywistego doświadczenia ludu, prawda oczywista zaświadczone wypadkami wieków. Dotąd dobrze, ale jakież będą stosunki tego rodzaju oświaty z oświatą tak różną reszty świata? Powiedział Chrystus, dzieci ciemności biegłyszemi są w rzeczach tego świata aniżeli dzieci światłości. Czy mogłoby się ostać na tej biednej ziemi towarzystwo święte wprawdzie, ale nie znające wyobrażeń i ruchu umysłów u innych narodów, nie znające chciwości ich, wszelkiego rodzaju tego namiętnego pędu ku materialnemu dobru co cywilizacyą się zowie?

Wprawdzie świętość wszechmoc daje, ale na wpływ, na czyn, nie na własne osobiste istnienie. Owszem zwykle wszechmoc życiem się okupia. Nie mogę rozduwać sobie tego wszyst-

kiego. Nie mogę piękności i świętości od męczeństwa oddzielić. Nie mogę ich sobie na ziemi w swobodzie i rozkoszy długo wystawić. Dziwne to rozrządzenie Boże, iżby piękność żyła boleścią. Dziwne, iżby pomimo to wolno ją było koić u drugich, a u siebie łagodzić, odjąć zupełnie jeśli moc po temu. Dziwne, iż ją Bóg tak ceni, iż dla niej utworzył osobne a jedno z najpiękniejszych uczuć ludzkich, bo zupełnie od egoizmu wolne, litość. Jakto być może ażebyś sprawiedliwej czci temu uczuciu nie oddawał? Po światowemu je rozumiesz a to w tobie, pustelniku, nie do darowania. Czy można ażeby też komu nawet iza natrętną była? U nas inaczej. U nas kiedy matka chce ażeby ją dzieciątko objęło, przytuliło rączkami, to mu mówi: pożałuj mnie, a dziecię pieści aż się rozplacze. Uczą u nas, uczą bardzo kochać i bardzo pieścić cierpiących. Dlatego nie trzeba mieć za złe, kiedy kto głaszcząc powie czasem: biedny ty, biedny; jak mnie ciebie żal, bo się to tylko znaczy: wybranyś na miłość, naznaczył cię Pan ażeby każdy co zbliża przechodzi, wziął od ciebie cząstkę boleści, niby krzyż twój dźwignął chwilkę z tobą, bo ciężko tobie jednemu. Niech ja ciebie pogodzę z tem słówkiem. Uciszyć duch na chwilkę a posłyszysz jak ono tam ciągle a ciągle cichutko, jak krew z rany, gorące z serc płynie.

Żal, to takie serdeczne słówko, tak ono dobrze naszą własną rodziną, gdzieś tam głęboko w piersiach schowaną prawdę wyraża, bo w żalu jest skarga na jakieś złe co ciemieży, na własne czy na cudze winy, jest rzewne wspomnienie wszystkiego co zmarło, jest zawód i po nadziei jakieś żaloba, jest rozkochanie wszystkiego co cierpi, jest odwołanie się do wyższej sprawiedliwości czy miłosierdzia. Żal, to ostatni wyraz prawości konającej w niemocy, święty i straszny Bóg jeden odpowie nań kiedyś w dzień sądu, i ostatni wyraz nieprawości, kiedy ją przemogła tęsknota za ojcem, przed światem on nie waży, krzyk bolesnej miłości ku ojcu. Bóg

jeden odpowie nań kiedyś w dzień sądu. Cicho więc, cicho tajemnicze to słowo i święte. Nie znieważajmy go.

31 października.

Dziś puszczamy się w dalszą drogę ku Wrocławowi. Coraz, coraz od was dalej. Czy wrócim jeszcze kiedy ku zachodowi? Gdzie was powitamy? U nas czy na czużyni? Czy tam gdzie rozdziału już niema? Och! gdyby się już tam prędko złączyć w pokoju, ale wszyscy. Czy sobie wyobrażacie co to będzie za dzień kiedy w koło siebie zgromadzi Chrystus tych, co go kochali? A oni się do stóp jego tulić będą i rozpoznają się między sobą i powitają się już nie płacząc. Boże mój, Boże, nie odtrąć niegodnych. Niech wytrwamy w wiernej miłości. Tacy my słabi. Ale Bóg w nas mocny. Nie opuści nas pewnie. Ufajmy a cierpmy radośnie, a zbawi. Moi wy kochani, drodzy, siła wam i pociecha. Gdyby już od was, choć słówko. Proszę nowinki nam pisać. Czy się potwierdza wiadomość o porozumieniu Mistyków¹⁾ między sobą? Czy Paweł wraca do was z Szwajcaryi? Czyście go widzieli? Ale cóż to za kielich dla ciebie? Ale kto dla Chrystusa opuści kochanego, wiele, wiele oddano mu będzie. Błogosławiony, żeś Panu miał z czego ofiarę uczynić. Pomódl się za mnie biedną, grzeszną. W Lipsku widziałam się z Franciszkiem. Tylko co się jak dziecko nie rozpłakał. Aż boli patrzeć na niego. Ach sieroctwo, sieroctwo! kochani wy wszyscy, Bóg z wami, ojciec sierot. Każą listy wyprawiać na pocztę. Bądźcie mi więc zdrowi, kochani. Krzyżem Pańskim żegnam was zdaleka. Józefa ręce do ust przyciskam. Kochani, Bóg z wami.

Nisia.

¹⁾ Towiańszczyki.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Wrocław, 3 listopada 1843.

Co tam porabiacie, kochani moi, drodzy mili? Nie wiem gdzie i jak mieszkacie, kogoście zastali i z kim życie? Czyście się może już na pustelników zasklepili? Jak się wam dnie i godziny rozłożyły? Nie mogę was sobie dobrze wyobrazić. Proszę, kochani, niech ja to wszystko wiem o was po szczegółowie, może mi się uda wydobyć listy wasze z Pragi, niech no się ze starym, pocziwym E... zjadę. Nas w oddaleniu lepiej widzieć możecie, wnosić o wrażeniach po stopniowem zbliżaniu się do kraju. Tu już dworki słomą poszyte, makiem porośnięte obszerniejsze pola i stoski nie pod nakryciem, chleb żytni i kawior pewnie nasz Dnieprowski, (przecie najbliższe to miejsce skąd mieć go mogą), po oberżach w piątek pytają czy postny ma być obiad, w mieście tu napisy polskie i kupczyki na polszczyznę się sadzą.

Jedziem a jedziem bez przerwy, dzień cały i w długie wieczory po księżycu równą drogą toczy się powóz, toczy jednostajnie, stanie chwilę, przepręgą i znów się toczy hucząc głucho. Albo się modlim, albo coś z Daryuszem mówim przerywanie, nie klei się nam. Albo on cygaro pali, ja haftuję jadąc, smutny on czemuś i zadumany, boleśno mi nie do wyrażenia, że mu się tak coraz chmurzy w sercu. Ach moja winna, moja winna. Czemu młodość moja nie przeszebiotała, nie przeskakała, nie pozaweseliła się w koło niego? Wszak miał prawo do tego. Co mógł robił, ażeby mi dobrze było. Kochał, pielęgnował, wszystko złe z serca odpuszczał zawsze, tylko pogody i wesołości pragnął na mojej twarzy, tylko pokoju w mojej myśli. Czemu nie otrzymał tego odemnie! Jednak ja go tak szczerze kocham, dusza moja, jakby przez dwa czyście przejść miała, tylko co boleśne na ziemi widzi i czuje, jak nóż ostro pierwszym wejrzeniem odrazu rozkłada wszystko, aż ziarna śmierci odkryje. Co drugich

głaszcze i pieści, ją gryzie i pali. Ale to dla mnie nie wymówka, jednemu tylko szczęściu wierzę temu, które w sobie człowiek za pomocą łaski Bożej wolą i siłą wyrobi, takim obeznaniem się z boleścią i takim zamięłowaniem woli Bożej, iżby ona boleć przestała, przynajmniej pokoju zakłócić nie mogła.

Kochani, tyle już lat żyję, otom już prawie stara, a lzy mi jeszcze nie oschły, wszystkich dręcę w koło mnie. Blizkim dnie zatrułam, a teraz tylko patrzę, załamując ręce jak się i oni powoli chmurzą coraz bardziej. Owoc, który życie moje Bogu przyniesie, owoc miłości mojej gwiazdce jakież będzie? Grzech i boleść, to jest boleść tu i tam. Zdaje się, że w pamięci mojej otchłania, a z niej wysuwają się mary, mary bez końca, wszystko co bolało od dzieciństwa, ale to od piechluch prawie, za drugich czy za siebie, powoli ciągną jedne po drugich, bez przerwy, bez końca i oczu od nich jak w zaczarowaniu oderwać nie mogę. Czasem radabym, żeby kto przyszedł, zagadał, obudził, możeby zmora zniknęła, gdzie tam, przerwana na chwilę znów snuć się zaczyna. A w sercu tak gorzko, tam niby wynikłość tego wszystkiego co przeszło, niby wiedza, mądrość, nie spleen to, kochani, nie wątpię o żadnym szlachetnym uczuciu, o żadnej miłości. Nadto piękne ażeby tylko z wyobraźni człowieka powstać mogły, one z ręki Bożej. Ale tak wyraźnie i oczywiście wiem i widzę, tak czuję głęboko boleśnie, że szczęścia one nie dają i rozwijają mi się prawdy rozczarowania, prawdy bo je wiem z doświadczenia, kosztem długiej męki, tak straszliwe o tej biednej ziemi, że podobnych nie słyszałam ani czytałam nigdy, chyba w Biblii. Albo ogólna o nich wzmianka w naśladowaniu i powiedziałam sobie, że ich nigdy nikomu nie powtórzę, bo mieczem stałby się mogły w godzinę pokusy. Cóż dopiero kiedy na serce upada, jak wąż, zimne wspomnienie grzechów całego życia i grzechów, których drugim powodem byłam i uczucie niemocy przed złem w przyszłości, ot tuż dziś, jutro i uczu-

cie, iż grzeszę oto w tej chwili nawet boleścią moją i trwogą, bo w miłosierdziu Bożem ufności pokładać nie umiem, bo za dobrodziejstwa, które mi Bóg osypał, wdzięcznością mu nie odpłacam, bo patrzę ku ziemi nie ku niebu, bo się użalam nad sobą, kiedy drugim gorzej, bo dręcę innych w koło siebie kiedy pomocą i pociechą im być winnam.

Dziś spowiadam się wam po raz ostatni z tego wszystkiego, ni wam ni komu dobra z wiedzy o tem co się tam u mnie dzieje, a mnie grzech przywykać do mówienia o sobie. Już bliska domu, tam wielu płacze. Co złe niech więc zamrze w piersi, co boleśne niech umilknie w poszanowaniu przed boleścią godniejszych i miłszych Panu. Boję się tam zgryzoty dla Dariusza, modliłam się dziś, ażeby ją Bóg odwracał. Stań się wolo Jego święta.

Ciągle myślę o przyjeździe naszym do mamy. Zdaje mi się, że już przejeżdżamy Krzemieniec, Konstantynów, Chmielnickie karczmy, to już stępy Bohowe, stoją dwie na pustem polu, jedna stara, druga młodsza szara, brzydkie z wysokim dachem, ale w około, obszar nasz, ziemia i niebo, a w dali, w dali gdzie mgła błękitnawa o czterdzieści verst, gniazdko nasze¹⁾. Szeroka, ogromna w tem miejscu rzeka i grobla na niej, po której ledwie przejechać można. Niech Józef powie, i most drewniany, trzęsący, pod nim ogromnymi czasemwałami woda leci szumiąc i pieniać, dalej na nizinie długa niegdys ulica topolowa, dziś topole wyschły, opustoszała i smutna droga, dalej tok na prawo, na lewo cmentarz grecki, dużo tam znajomych moich z dzieciństwa leży, tych co na ręku mnie wynosili, biednych chłopków, potem łąka, dworki w dali, stare brzozy i świerki i dom. Gdyby wy wiedzieli jak tam smutno okropnie, choć pięknie jak w raj. Cała tam przeszłość wielu innych, wielu, nie tylko moja ziemia sypie się na żywą głowę, tam większa część mojej gwiazdki. Boże,

¹⁾ Kuryłówka, majątek pani Iwanowskiej.

Boże daj w zdrowiu i pokoju ich zastać, daj nowego cierpienia jakiego im nie przynieść.

Lwów, 12 listopada.

Jak to czas bieży, już dwunasty, kochani, a jeszcze do domu daleko. Wczoraj jako na świętego Marcina, pierwszy śnieg upadł. Po ulicach błotnisto i czarno, ale na dachach gdzieś bieleje i zimno dojmuje. „Czas do domu, czas“¹⁾. Mamcia się tam już może o nas niepokoi. Madejski, z którym się tu widział Daryusz, zawiezie wieści o powrocie naszym. I on z zagranicy wracał, niewiele więc umiał nam o kątku naszym powiedzieć. Zdaje się, że mniej więcej wszystko po dawnemu. Mówił o zaszłej niedawno śmierci Konstantego Jaroszyńskiego. We Lwowie głucho, mało znanych tu mamy. Odmodliwszy w kościele, bo to dziś niedziela, pokończywszy wczoraj różne sprawki w mieście, odwiedziwszy starą ciotkę D. . ., siedzimy cichuteńko w domu. Szaro, słotno i Daryusz gdzieś poszedł. Błądzą sobie myślą, dumka się mi składa i nie śmiem dumać, a potem coś po dumce, słowa i słowa. Czy one do Boga, czy do ludzi idą bolesne czy święte jak jabłoni kwiat pełny? Świeże i śliczne opadną, a owoce po nich darmo czekać. A Chrystus mówił, nie ten zbawionym będzie, który mówi: Panie, Panie, ale ten, który pełni wolę Ojca mego.

14 listopada.

Niema listów z domu. Musiały gdzieś zagrząść w drodze, zawracając się za nami. Śnieg pada, a wyruszyć nie możemy dla drobniagowych różnych przyczyn. Odwiedziliśmy nowo zakładający się klasztor Sacré Coeur. Może pamiętacie, przy nas te panie wyjeżdżały z Rzymu, zastały siedzibę swoją nie przyrządzoną, prawie nie sposobną do zamieszkania i założenia

nia pensyi dziewczątek. Jednak za łaską arcyksięcia, który na ten zakład znaczne łoży sumy, za staraniem arcybiskupa, lepiej teraz rzeczy idą, przyrządzają im tymczasem mieszkanie, a klasztor budować będą. Matkom nie bardzo się podobały niektóre warunki, pod którymi obowiązują się te panie wychowywać dzieci, jak to, że dwa razy tylko do roku widzieć się z niemi wolno, oprócz podobno w razie choroby i że je na teatr z sobą brać nie mogą. Na pierwsze, jeśli to jeszcze prawda, że jest ten warunek, że sumienie nawet matki zaszemrać może, zwłaszcza dopóki nie bardzo znajomy jest ten zakon, to rzecz prosta. Ale co drugie, doprawdy trzeba Lwowianek, ażeby w nim powód znaleźć niezadowolenia. Niewiem czy jest gdzie na świecie, jak tu, naiwność próżności, wiara dobroduszna w próżność. Zdaje się, iż nie zasłyszano tu nigdy o innej wartości i zasłudze jak bogactwo i elegancja, a nie przypuszczają nigdy, ażeby się kto mógł ubiegać za czem innem jak znaczeniem czy zabawą. Stroje, bale, teatr, tak tu są, jak gdzieindziej spoczynek nocny i pacierz ranny potrzebą nieodbitą ciała i duszy. Krążą wiecznie w jednym kółku ciasnem jakby umysł ich oślepił przez nieużywanie światła. Może dla nich wielkiem być dobrodziejstwem założenie klasztoru Sacré Coeur, może młode pokolenie, choć w części, wyleczy z owej monomanii wykwintu i zabawy, a wtedy otworzą oczy do patrzenia i uszy do słyszenia i serce ich prawo Boże zrozumie, bo źli oni nie są, tylko jak dzicy ograniczeni w pojęciach. Nic dla nich pociągu niema tylko co błyszczący. Uderzone było tutejsze towarzystwo światowem wykształceniem pań Sacré Coeur i zakon ich w modzie. Odwiedzać go uchodzi za bardzo fashionable. Może też się choć raz moda na coś przyda.

Między Galicyanami jest zapewne wiele świętych wyjątków. Ależ ogół bardzo by potrzebował, ażeby go kto nauczył, iż nie na zabawę stworzył nas Pan Bóg, a mężczyźni więcej jeszcze niż kobiety.

¹⁾ Aluzya do drugiej części poematu „Potrzeba Zbaraska“.

Lwów, 19 listopada.

Stary, najpocziwszy arcybiskup ormiański Samuel, dawny nasz znajomy, przyjął nas serdecznie, tulił, pieścił, pocieszał, odwagi na przyszłość dodawał jak własnym dzieciom. Aż mi się błogo w sercu zrobiło. Oddaj mu to Boże łaską i pokojem. Dziś wyjeżdżamy, już o nas wieści mieć nie będziecie aż z kraju. Daj Boże dobre je wam zesłać. Od mamci dotąd nic nie mam. Kiedy to od was co odbierzem? Bieda z tą korespondencyą.

„A tak zawsze zabawa choć nudna rozmowa“, mówi Fredro. Przypomnijcie sobie wiersz co poprzedza, będzie sens cały, bo na co ludziom wiedzieć co się u nas w sercu dzieje. Ani podziela cierpienia jeśli boli, ani radości jeśli Bóg pocieszy, tylko do plotek treść. Oj! plotki, plotki co to jeszcze za plaga.

Kochani moi, drodzy, kochani, trzeba tę kartkę wyprawić. Bądźcie zdrowi. Zostańcie mi w pokoju świętym, Bożym do końca. Ostatni raz przed włożeniem na nowo krzyża na barki pocałowanie siostry wam zasylam. Módlcie się za nas. Moi wy, moi, pociecha pańska z wami. Jakie Pan ma łaski w skarbnicy swojej na was wzywam. Wierzcie mi, wierzcie, sieroctwa niema na ziemi. Ojciec z nieba do siebie garnie i tuli, a na ziemi są istoty grzeszne wprawdzie, ale was kochają, kochają. Niebo radzi by wam przechylić i dla was gniazdko by tam ulepić, ażebyście już o tej ziemskiej niedoli zapomnieli. Bóg z wami. Krzyż Pański niech was błogosławi.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Jampol, 11 listopada 1843 ¹⁾.

Jużeśmy w kraju.

Kołyż tebe, moja doniu, spodywatys w hosti?
„Jak poroste burjan, žile na kamennym mosti“.
Roste burjan, roste žile i wże posychaje —
Deś naszymi nieszczęsnymi na świti nemaje,
Czy tia, doniu, whyto, czy w połon zaniato?
Czy tobi świt ne myły ni w budeń ni w świato?
„Ni mene maty, whyto ni w połon zaniato —
„No meni świt ne myły ni w budeń ni w świato“.

Świat niewiem, — ale ziemia, och miła, biedna, czarna, zziębła, opustoszała, kochana. Przejeżdżaliśmy przez Krzemieniec, Boże! jakże tam smutno i pusto. Zabawiliśmy dzień cały, bo trzeba było matce Olgi wiadomości o niej zanieść. Wieczór zbiegł nam u Ożarówskich, jest to jeden z najszanowniejszych domów na Wołyniu. Pogawędziliśmy trochę a teraz puściliśmy się znowu ku Kuryłówce. Mamcia o nas niespokoić się musi a tu pospieszać trudno, bo złe drogi, nocami niebezpieczne, by dużym powozem jechać. Po karczmach koczujem już po naszymu, śpiemy na sianie na ziemi, sami sobie kaszę warzym. Do domu, już do domu. Ni listów ni wieści. Czy każdemu taka trwoga do gniazdką dojeżdżać? Kochani, posyłam wam pieszczotkę, podzielcie się nią równo, tulę was obu, błogosławieństwo na was.

Swinna, 14 listopada ¹⁾.

Wstępowaliśmy po drodze do Otyldy Grocholskiej, co Poniatowska z domu, stryjecznej siostry Daryusza. Zastaliśmy tam Maurycego i Augusta ²⁾. Opowiadali o starym ojcu, o różnych, różnych kłopotach. Dobrze, żeśmy wrócili. Trzeba się

¹⁾ Według rusińskiego kalendarza.

²⁾ Poniatowscy, bracia Daryusza.

kłaść, ażeby jutro rano wstać i koniecznie do domu się dobić. Ale sen oczu się nie bierze. Gniazdko tuż. W izbie obok, ludzi tłum co każdej niedzieli, jedni dumki na dudkach grają, inni grubym, poważnym głosem zawodzą pijąc, a księżyc blade, ukośny co zawsze na nędze nasze patrzył i dziś patrzy na ziemię czarną, wilgotną, pustą i na ten lud biedny co tak smutno szaleje.

Gniazdko ¹⁾, 21 listopada.

Kochani, drodzy, mili, nasi kochani, kochani, jedne wielkie, długie, serdeczne, rzewne uściśnienie od wszystkich nas, którzy jednym z wami duchem żyjem. Pozdrowienie wam od gniazdka uleciałym, biednym ptaszętom. Sieroty nasze, mamcia i siostry, krewni, przyjaciele, których nieznanych wam dużo, dużo macie, pieczęcią was i błogosławia. Błogi wam pokój, kochani. Nie pisałam do was przez kilka dni po przyjeździe, bo czasu i uciszenia nie było. Za to nie zamknęły się usta o was. Trzeba było wszystko opowiadać, a dziś rano wymawiała mamcia, że się Nisia zmieniła, nie gawędzi jak dawniej, nie o was naprzykład nie mówi. Więc się jeszcze powtórzy raz drugi i dziesiąty co tam jej kochani robią, czy święci i pracowici, czy mamcię kochają, czy się im trochę w sercach rozchmurzyło po niedawnych burzach.

Z Kulczyn, w niecierpliwości widzenia naszych, napisałam z prośbą, ażeby naprzeciw nas wyjechali do Chmielnickich karczem. Potem spieszyliśmy się i przybyliśmy dniem pierwiej niż w liście obiecano było. Zajeżdżamy, w domu zwykle tak ludnym cichusieńko, ciemno w oknach, a oni całym taborem wyruszyli byli naprzeciw nas i rozminęli się z nami, tylko gdzieś na końcu domu, Kicia przy konającym dziecku, które matka ze wsi była przyniosła. W kilka godzin dopiero późno przy kagańcach wrócili nasi. Rodzice szczęśliwi z po-

¹⁾ Kuryłówka, majątek państwa Iwanowskich.

wrotu naszego, ojciec zdrów, nie się, chwala Bogu, nie zmienił, ale mamcia chorowała niedawno i mizerna bardzo. Krząta się, gospodaruje, jednych naucza, drugich godzi, innym chleb obmyśla. przy Kici ¹⁾ oddział chorych, przy Juni ²⁾ i Irence ³⁾ po części staranie karmienia wszystkich w domu, nalewania herbaty, rozdawania wieczerzy. Śliczne, smukłe, proste jak topolki, Junia już Kicię dorosła. Między niemi zwija się i kręci Marylątko ⁴⁾, którą zastałam u matki. Szczebiocze i kaprysuje na zabój, krótko, ile można, trzymają, ale to nie zupełnie pomaga, bo straszny kozak dziewczyna.

Nie mogę wam wypowiedzieć wrażenia jakie na mnie gniazdko nasze zrobiło po tak długiej nieobecności. Dawniej tak przywykła byłam patrzeć na ten rodzaj życia, że zupełnie już nie uderzał, teraz dopiero kiedy się na świecie rozpatrzyłam trochę, ocenić mogłam tę niewidzianą świętość ukraińskich domów naszych, tę braterską miłość i równość z uboższymi, tę nieustanną pracę około bliźnich we wszystkim rodzaju, że się prawie nie pojmie bez cudu rozmnożenia chlebow i godzin jak na tyle dobra starczyć może sił i zasobów. Jak ogromny dom, tak kącika wolnego niema, samych dzieci pełno, nie licząc podrostków co się do wyjścia w świat sposobią. Gwarno, tłumno wieczorami, bo młodzież po dziennej pracy tańczy przy fortepianie, starsi po kątach siedzą, gazety albo nowe książki czytając, niektóre z kobiet słuchają, ornaty szyjąc. Junia żywa, skacząca i wiecznie zadumana, milcząca i jakby chmurna trochę wykrada się powoli z sali gdzie tańczą do grubej jakiejś poważnej księgi, którą ma rozłożoną w drugim pokoju. Kicia z drugiej strony posyła kogoś dowiedzieć się jak się ma chory co w oficynie leży

¹⁾ Konstancja Iwanowska, siostra Dyonizyi, żona Ernesta Rzewuskiego.

²⁾ Józefa Iwanowska, dtto.

³⁾ Żurakowska.

⁴⁾ Córka Konstancyi Rzewuskiej.

a mamcia to się z Kicią rozśmieję na widok gronka swego, co skacze do upadłego, to sobie wspomni o częstce jego już tak znacznej co uleciała od niej do Ojca Niebieskiego i spłakane oczy ociera. Potem chwilka odpoczynku i zaczynają się chóry. Niektóre śliczne mamy głosy, chociaż niebardzo wyrobione i zawodzą się dumki, między którymi zawsze pierwsze miejsce trzymają Hryć, Bondariwna, bo mamci ulubione, potem Szubert, rzadko bardzo kiedy co z muzyki włoskiej. Cemuś się nie zestrąja z usposobieniem powszechnem. Potem wieczerza nakryta w kącie sali, do której nikt nie siada, je kto chce, gwarzą, gawędzą do dziesiątej, tu nastaje codzienną krytyczną epoką. Mamcia chodzi z pokoju do pokoju i wszystkich zapędza spać, a tu się nikomu ani marzy. Mówi, że czuwać nie zdrowo, że jutro rano wstać trzeba, wedle każdego stanu i wieku, i nie nie pomaga. Co rozpędzi zgromadzonych, to się trochę dalej znowu kupią. Aż biedaczka żałośnie oznajmiać musi, że to jej szkodzi. Nie mogę, nie mogę. Dopiero się boją nerwy jej rozdrażnić i ze snu wybić i wysuwają się każdy do swojej norki. Tyle wam dziś o gniazdku naszym powiedzieć mogę, jeszcze się nie ze wszystkiem rozpatrzyłam, nie myślę tu długo bawić. Jeszcze nie co do wyjazdu naszego nie ułożone. Nie mogę dość nadziękować się Bogu za pokój, który w gniazdku zastałam. Mniejsza o osobiste zgryzoty kiedy przynajmniej choć częstka kochanych nie upada pod krzyżem.

.
.

Zręczność na pocztę do Berdyczowa, a więc list wyprawić trzeba, ale się on dlatego nie kończy, znowu po dawnemu rozpocznę dziennik i co miesiąc posyłać go wam będę.

Bądźcie mi zdrowi, kochani, drodzy moi, moi, tulę się do waszych serc pocziwych. Boże! co to za szczęście niewy-

powiedziane tulić się bez trwogi i jak ono rzadkie na świecie. Błogosławieństwa na was teraz i na wieki.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Tahańcza, wigilia nowego roku, 31 grudnia 1843.

Co to się znaczy, że od was dotąd ni słówka, kochani moi? Jeśli giną listy wasze, bo żadnym sposobem wierzyć nie mogę, ażebyście nie pisali, to i może moje was niedochodzą. Boże, Boże nie dopuszczaj ażeby zabraknął wam ten jedyny głos z rodzinnego kąta. Bądź co bądź, pisać będę, może też choć jedna kartka na dziesięć was dojdzie. To jest trzecia od czasu powrotu mego do kraju. Ostatnią posłałam wam na samem wyjeździe z gniazdką, teraz oznajmiam wam, żeśmy pomimo zlej, okropnej drogi, dobili się przecie szczęśliwie do Tahańczy, gdzie się nas Daryusz nie spodziewał, a stary ojciec jego przyjął nadzwyczaj mile. Cóż to za niedola wielka starość, doprawdy podobna do młodości niektórych istot. Taka sama potrzeba przytulenia i miłości, i taka łatwość w przyłgnięciu do lada kogo, coby jej tylko ostrym i szorstkim nie był, to ciągle szukanie współczucia i to rychło o każdym przekonanie, iż ono jest niepodobnem, bo świat jej cały zamknięty drugim i wprowadzić weń nikogo nie zdoła.

Starość jak młodość dwie ma epoki. W pierwszej, jedna jak druga wyobraźnią tylko żyją i rozumem, nie sercem, bo jedna i druga sobą tylko zajęta. Pierwsza młodość całą namiętność swoją na ogólne zwykle wyobrażenia wylewa, na ludzkość, na ile ona jej abstrakcyjnym jest pojęciem, bo uniesienie, gwałtowny ruch ducha jest dla niej potrzebą jak niedyś ruch ciała potrzebą był dziecku, pomaga też jej wiele do czynnego poświęcenia dziecinna próżność w myśli, iż ważną na świecie rolę wygrywa. Aż cierpienie dopiero z szalu

obudzić ją może, zawrócić z próżnej pogoni za wszystkim co szumi, dość uciszyć, ażeby przytomnie w koło i nad siebie spojrzeć mogła i ukochać co piękne na ziemi i w niebie, nie przez egoistyczną potrzebę wzruszeń, nie dla siebie, lecz dla wewnętrznej wartości przedmiotu, dla sprawiedliwości. A czasem też dla miłosierdzia, dla wzniesienia piękności do wyższej, czystszej doskonałości. To samo w początkach starości. Doświadczenie, które widzi jak kruszą się i nikną kształty i rdzeni rzeczy, zawierać przestaje i chętnie powtarza z Salomonem: jedz a pij, bo wszystko inne próżnością jest. Ale jak po kilkunastu latach, sterane siły przekonują się o próżności i materialnego nawet dobra, a jednak uczucie nieśmiertelności zamrzeć nie może w zamarłym już na ziemskie widoki sercu, zmartwychwstaje starcowi duchowe życie, zwraca się znowu miłością ku wszystkiemu co ukochał był za młodu, a co był później szyderstwem znieważał, wraca jak do zapoznanego przyjaciela, jak do zdradzonej ojczyzny z gorzką łzą żalu, z gotowością do wszelkich ofiar, z uczuciem niegodności i niemocy swojej, z niewymowną jednak radością, iż dano mu jest cieszyć się jeszcze pięknnością. I roztwiera się serce jego wielką i podziwu pełną miłością Boga i śpiewa mu hymn, jaki mu śpiewał Salomon, kiedy zamknął księgi o próżności.

Wierzcie mi, kochani, nie darmo ojcowie nasi o bardzo starych mówili: piękny ma wiek. Istotnie piękna starość, kiedy się aż w zorzę wieczności rozpromienia, to też, kochani moi, drodzy mili, na ten nadchodzący nowy rok życzę wam z serca, ażebyście nie zatrzymali się na owych pięćdziesięciu i sześćdziesięciu latach, których ja tak nie lubię, ale doszli do jasnego, promienistego wieku, w którym człowiek aniołem usypia w Panu, dojrzawszy na oko mądrość jego i pobłogosławiwszy mu za wszystko. Nowy rok co też nam przyniesie? Niemoc czy siłę w Panu? Ukojenie czy nową jaką zgryzotę? Która niedola z tych, które dojrzyć już można zdala, zbliży się, ogarnie i pocałunek zimny na usta złoży? Może nowa ja-

kaś nieznana? Z czego Pan jeszcze ogolocić zechce, jakim nowem sieroctwem przytuli nas do siebie? Wola jego, wola święta niech się stanie. Ale pozwoli z synem swoim zawołać: Panie, jeśli to być może, niech kielich odejdzie od nas! Kochani, ma on i pociechy w skarbnicy swojej. A myśmy słabi może nie odmówi której, kochani, posyłając wam świąteczny chleb nasz biały, którym się z wami w dzień narodzenia Chrystusowego nie mogliśmy podzielić, żegnam was z daleka krzyżem świętym, niech przed tym znakiem zbawienia wszystko złe pierzchnie w koło was, niech się aniołowie i święte duchy zbiorą i wielbią go z wami, niech on wam wsparciem i spoczynkiem będzie, nadzieją i pociechą, odpłatą za winy i zbawieniem tu i tam gdzie wszyscy dążym i gdzie daj nam Boże rychło wszystkim ujrzyć się w obliczu Twoim najświętszym. Na wieki. Amen!

1 stycznia.

Dziś ni chwili czasu nie było aby się z wami rozmówić, a więc, choć późno w noc, przypadam do was, stuk stuk, stuk stuk, wy pewno nie śpicie. Na nowy rok zaczerpnijcie choć trochę z wiecznie nowego źródła miłości co dla gwiazdki i Ukrainy płynie, przejrzyjcie się jak wy piękni w niem, czyści, jaśni, przemienieni wszyscy moi i Ukraina! To moja wiedza prorocka, to dar, który trwa na ile wiara moja żyje. Kochani i niebo Pańskie i my Pańscy. A więc i niebo śliczne i my śliczni będziemy kiedyś. Rozradujcie się w Ojcu, który dobry bez miary, jeszcze troszka i złączym się wszyscy u niego. Dobranoc, usnijcie w pokoju.

4 stycznia.

Musiałam nowy rok przepędzić u siebie, choć Tahańcza tak blisko, bo jadąc tu wywróciliśmy się dużym powozem i uderzyłam się w głowę tak mocno, że mi dawny ból nerwu odzywać się zaczął. Nie puścił mnie więc Daryusz i sam tylko

był u ojca ¹⁾. Zeszedł mi dzień cichuteńko na gawędce z moim ojcem ²⁾, który ze mną zostać tu chciał i na przyjmowaniu ludzi tutejszych i dwóch innych pobliskich wiosek, przybyłych na powitanie z podróży. Serdecznie z nimi byłam ale krótko, bo się mniej znamy. Ależ kobiety, doprawdy, kochani, dawno takiej chwili błogiej nie miałam jak z nimi. Wyobrazić sobie nie można tej miłości i tej radości z jaką mnie przyjęły. Myślałam, że mnie zacałują pierwszego dnia, jak ich ze dwadzieścia razem przyszło, ciągle i ciągle przychodzą, naznosiły mi co która miała. Naopowiadały różnych rzeczy, znajdują, że zmierzniała bardzo — i n e d y w o, zażuryła się na czużyni. Taki to wse łudse u sebe doma. Mimowolnie pokorzy się serce wobec pocziwych tych istot, że łzami w oczach mówię im kiedyś: jaż wam szez tak ne dużo dobroho zrobiła, za szczoż wy mene tak lubyte? Za dobre słowa, powiada któraś. Zaprosiłam je wszystkie na obiad na pierwszą niedzielę, którą w domu przepędzić będę mogła, toż będą gwarzyć i gawędzić. A mnie serce rośnie jak je wesołe widzę. Istne miłosierdzie Boże, że im się tu znośnie dzieje. Przejżdżałam przez Wczorajsze ³⁾, tam ludzie biedni bardzo się skarżą. Co to za boleść kiedy oni niby do nas należą, a tu ręce związane, kiedy się oni tulą i o pomoc proszą, a tu dla nich nie zrobić nie można tylko słowem pożałować, popieścić, modlić się i płakać. Oj dity, dity, de was podity? Nie masz nieszczęścia jak mieć wioskę daleko. W bliskiej, choć to się w niej rozporządzić nie można, jednak wpływem wyrobić się da niejedno. Z daleka niema sposobu obronić ich od prawdziwej zwierzęcości oficjalistów. Nie umiem dość Bogu podziękować za to, że Daryusz sprawiedliwy, koniecznie mu się w domu osiedzieć trzeba, bo z daleka najlepsze rozporządze-

¹⁾ Józef Poniatowski.

²⁾ Dionizy Iwanowski.

³⁾ Wioska należąca do pani Iwanowskiej.

nia na papierze tylko zostają. Boże mój, Boże, gdyby oni biedni wiedzieli jaką mi oni raną w sercu.

13 stycznia.

Mało co czytam, nic nie robię i nic nie myślę, kochani. Czasem mi się nawet zdaje, że nic nie czuję. Ciągłe prawie jestem na służbie u dwóch ojców, to u cioci B..., to u kogo z tych gości co to się z nim nic prawie wspólnego niema, tylko wymyślam rozmowy, któreby długo prowadzić można, niby wesołe, a któreby nigdy niczego żywotnego nie tknęły. Mimowolnie drzę na zbliżenie się ludzkiej myśli do mojej, to dowód słabości, dawniej tak nie bywało. Wiele jest przedmiotów o których na wieki zamilkły już usta moje, nawet z kochanymi, bo nieraz co w rozumieniu mojem, ważnem jest i wielkiem, innym śliczną tylko igraszką, tym nawet, o których długo myślałam, żeśmy rodzeni w wyobrażeniach, aż kiedyś w zapomnieniu się w gniewie wymówili słowa wzgardy i szyderstwa, któreby im nigdy z serca nie wyszły przeciw temu, co by istotnie za świętość mieli. Mamcia nieraz mówi, że największą wadą moją jest pamięć uraz, iż jedno słowo niechcące wymówione więcej ma u mnie wagi, niż lata uczynków i ryje mi się na wieki w sercu, bo mamcia duszka nie widzi, że nie o mnie idzie, ale o to w co wierzę, co ukochałam jako prawdę i świętość nie dla mnie ale dla bezwzględnej ich wartości. Nie urażam się bo nie za złe nikomu nie mam, na wszystkich miłosierdzia Bożego wzywam, tylko widzę.

Są chwile, zdarzenia czasem mało ważne i przemijające, w których błyskawicą światło padnie na jaką część duszy ludzkiej i ujrzym ją jak nigdy jeszcze. Darma cień znowu okryje i dawniejszą postać wróci, już się nigdy nie zapomni jaką się nam w świetle objawiła. Uczynki ludzkie niczem są, wszystkim, myśl, z której się wyradzają i od tej myśli zależy wpływ jaki na świat wywierają, ta myśl wyjawi się,

czasem w ledwie dojrzanym uśmiechu, w pół słowie. Może też ja to za daleko posuwam. niemniej tych ludzi kocham, między którymi a mną przepaść ujrzę, której się nie domyślałam, tylko już i swobody i pociechy z nimi niemam. Zwija mi się myśl w ich obliczu, bo zranienia się boi i tonie gdzieś głęboko we mnie. Nieprawdaż, kochani, zdaje się, że i w samowoli myśl snuć się nie chce, kiedy ma uczucie, że nikomu przydatną nie będzie i usnąć na wszystko tylko pragnie.

Kochani, kochani, kto wie, jeśli nigdzie a nigdzie ujęcia myśl mieć nie będzie, może doprawdy wyschnie jak źródło i będzie długi sen bez marzeń, pokój. Ach! co też ja mówię, nie chcę was gorszyć. Wszak na pracę, nie na wieczny sen Bóg nas stworzył. A potem czyż Chrystus nie z nami? Czy nas nie słucha, nawet nas, biednych kobiet? Czyż Samarytankę odtrącił? Nie dziwcie się, kochani, że nie wiedzieć co wam piszę. Już ci ja myśleć nie mogę, że sama jedna rozumiem i czucie, że sama jedna kocham prawdę i piękność na świecie. A kiedy widzę, że wyobrażenia moje wszystkim prawie obce i dziwne, że się wielu nimi gorszy, że drugim obojętne lub mało ważne co mnie nieskończenie boli, to mi się tak zimno, zimno w duszy robi, mąci mi się w myśli jakby coś omdlewało we mnie, bo nie już nie rozumiem i wątpliwość zalega mi serce, nie co do prawd wiary, uchowaj Boże, ale co do zastosowania ich do życia. Może doprawdy szaleje mi serce, czy ja wiem? Życia jeszcze tak wiele przedemną, kto mi dalej drogę wskaże? Kochanych tyłu a tak samotnie, och! gdyby głosu Chrystusa zasłyszeć; zasłyszałabym pewnie, gdyby nie grzechy moje. Spłakałam trochę, dzięki wam, kochani, że tak pisać pozwalacie, że i płakać pisać można. Łatwiej pisać niż mówić, bo oczami nikt nie patrzy, Biedni wy, biedni, że tak bez sensu, kobiece listy odbierać musicie. Już sobie wiele razy mówiłam, że nigdy czarno na białem nie wypiszę co mi się tam w otchłani dzieje, ale nie dotrzymuję słowa, bo pewna jestem, że was listy moje nie dochodzą

i piszę, jak się tyle rzeczy w życiu robi, li tylko dla zaspokojenia sumienia. Ażeby wam kiedyś mózdz powiedzieć, robiłam co mogłam.

Wstyd mi słabości mojej, jedno wiem pewnie i to mi za wszelkie światła, za wszelką pomoc stanąć powinno, oto, że powołaniem mojem jest wiecznie powtarzać głosem i czynkiem słowa św. Jana: „Dziatki, kochajcie się jedni drugich“. Wszystko jest na ziemi, nawet wiara a miłości nie masz. Brak miłości katuszą mi był od dziecięcia. Brak miłości, nie dla mnie, ale ogólnej bliźniego jadłem rany mi zaprawiał, że nieuleczone się stały. Nikt nad nami głębiej, przenikliwiej nie uczuł wszystkimi zdolnościami swemi, jakie to piekło gdzie miłości niema. To też z cierpienia jeden mi został owoc: miłość. Doświadczenie jednego nauczyło miłości i dla świata jedną naukę w myśli mojej zostawiło: „Dziatki, kochajcie się jedni drugich“. A więc czegoż chcę jeszcze. Gdyby wszyscy kochali i miłością nikt się nie gorszył i z miłości nikt nie szydził, słowa moje nie pracą ciężką, ale by hymnem szczęścia były.

24 stycznia.

Przecież, przecież, choć wieść od was. Błogosławiony Bóg, który was w służbie swej chowa. A więc przemodliliście w świętym ustroniu czas powrotu naszego. Czy zawitała wam cisza? Czy wam jasno? Niezupełnie. Widzę was stąd. Całą siłą garnę się do was, jak wy mnie już czujecie między sobą. Gdzie kobieta, tam rodzina, tam dom bo u niej zawsze wyrozumienie i miłość i ciche, bezpieczne schronienie przed lodowatym wichrem co po świecie wieje. Dlatego, kochani, jam zawsze z wami i nie ja jedna, całe gronko nasze dawno rozgościło się u was. Strzeżcie domowego ogniska waszego. Sie-
dzim oto w celi waszej, szyjąc u stolika, jedno ¹⁾ z was w krze-

¹⁾ Józef.

śle, zasunięte w pół zgięte, dłonią podparło głowę i duma, tak smutno jakby Bóg miłosiernym być przestał i dobra myśl grzechem była — i to kochane milczy rankami całymi; drugie¹⁾ kochane, chodzą to wzdłuż, to wszere, to w koło nierówno, to znów staje, a nie widzi, prócz widzenia swego i po naszymu ręką rzuca i głową potrząsa i łzę zabiegłe oczy tak trze jakby je wydrzeć chciało. Zmiłuj się, biedne oczki cóż one tobie winne? Zaraz złaż ręce, obie tu w moich i siadaj. Nie można zżymać się i niecierpliwieć, i złościć, to grzech. Siadaj tu. W imię Ojca i Syna, niech zstąpi na ciebie pokój, ludziom dobrej woli obiecany. Cicho, cicho, już tam w otchłani. Cyt, uże, cyt! Marszczy się i odwraca? Poczekaj, za karę powiem ci bajeczkę, niemłą i słodką wcale, tylko straszną. Była raz gwiazdka między gwiazdkami, biała, drżąca, a promienna jak przed Panem łza miłości i wszystkie gwiazdki ją cziły i oczkami poglądały czerwonymi, to żółtymi, to ślicznymi niebieskimi. Ale ona zdala stała na samej kończyźnie obszaru, bo tak jej kazał Pan nieba. A na ziemi garstka ludzi była och biednych. W złej doli zrodzeni, w złej doli wzrosli jak trawka na bojowisku, gdzie wichur nawiał ziarnem pszenicy. I nawet się wszyscy nie znali, tylko przeczuwali i sobie mówili cichutko. Jak się wszyscy pomodlim, Pan prośbę wysłucha, tak Chrystus obiecał, razem i o jedno. Ale w przestrzeniach myśl nasza buja, jak w jedno ugodzimy? I w najmiłszą się Panu prośbę zestrzelimy? Jak z jęków wielu jeden śpiew powstanie? Kto nam głos poda ku zgraniu? Ot, tam wysoko, gwiazdka nam świeci, poznać ją łatwo, bo jedyna, tak ona świeci jak my tu płaczem w pragnieniu Bożego królestwa, tylko w błękit burza nią nie miota, ku niej więc zwrócimy źrenice. Jak ona świecić, tak my modlić będziemy, póki żywota. W niej się zjednamy i więzką zarzucimy przez nią aż do stóp Pana kwiatki nasze liche. Gwiazdka tkwiła

¹⁾ Bohdan.

wysoko, mowy ludzkiej nie słyszała, tylko drżała w sobie smutkiem i wciąż myśli grzeszne snuła: „Czemu na krańce przestworza wygnał mnie tu Pan? Ni mnie siostry towarzyszą, ni kochają, ni pomocy udzielają. Gdyby do nich się to zbliżyć, razem z niemi ziemi błysnąć nowym dniem, przecieżbym się na coś zdała! Ha! Świeć się, wolo święta, kiedy kazesz, tu zostanę. Ale światło na cóż darmo rzucać w próżnię? Siostry nie miłują, a ludzie nisko, daleko, ani dojrzą, ani pojmą. Patrzałam pilnie, nic z poziomu się nie wznosi, lud jak kłosa jeszcze w trawie zieloniuteńkie. Gdyby dąb, choć jeden, wyjrzał ku mnie z stepu. Żal się im Boże mego światła. Na co się im przyda mdłym i niskim?“ W goryczy, gwiazdka chmurkę woła: „Osłoń mnie, chmurko, Kocham i Kocham, ale na darmo, bo tak wysoko i tak daleko nikt nie wybiegł jak ja, rzucam promienie ale na darmo, bo do niziny nie sięgną. Kiedym więc sama i niepotrzebna, niech moje już więcej oczy nie widzą ni gwiazd, ni ludzi, sama dla siebie wieczność przedumam w łzach i tęsknicy“. I znikła w chmurce gwiazdka bolesna. A na stepach ziemi wichur wył srogi i garstką ludzi miotał, a oni długo patrzali w górę, nie było ich gwiazdki na niebie i w siebie wrócili milezący i sami. I długie przeminęły lata. A ludzie owi, jak ziarno w kłosach, dojrżeli i żętych, zwianych, zmlonych, przez ogień przeszłych jako chleb na ołtarzu położyli sładzy Pańscy. Gwiazdka wyjrzała z chmurki na padół i w przerażeniu promień zaćmiła. Pracownikami Chrystusa, członkami Chrystusa byli ci ludzie tak mało dowcipem świetni, tak mało na szerokim świecie głośni. Nie śpiewali usta lecz treścią byli pieśni dla ludzi, a może aniołów. A że służebnikom Pańskim służyć nie chciała gwiazdka, w płaczu nieutulonym zgasła, a siostry jej drżały w rozumieniu prawdy: Na to gwiazdka aby świeciła, nie pytając na co i komu? Albowiem powiedziano na początku: Stworzył Pan gwiazdy aby świeciły, kiedy księżyc świecić nie będzie, biada więc gwiazdce, która nie świeci!

A prawda, straszna bajeczka? Gwiazdki moje, gwiazdki wyrzycie mi z chmurki. Idźcie precz, szare, popielate. Z ziemiście przyszli rosą czy deszczem, wracajcież ziemi, kochani! Cóż to za szczęście popłakać. Błogosław wam Boże łzami. Uchowaj od skwaru serca i urągania. Chyba szatan nad tą ziemią zaśmiać się może. Jedno z was tylko ma czasem brzydką tę pokusę. A kyp, a kyp. Drugie, ot te co się pod smutkiem tak zgłęło w milczeniu, nie ma jej nigdy. To kochane niech na świętych popatrzy, jak im radośnie było zawsze w Panu. I oniż grzeszyli, ale całą mocą poprawiać się starali, przepraszali z serca, a potem spuszczaali się w pokój na miłosierdzie tego, który lepiej nas kocha niż matka dzieci. Wicie wy, że to bardzo zła rzecz smutek ciągły. Co to ja o tem kazań już słyszałam i wam radabym z serca powtórzyć na pociechę. Ale nie mogę, choć przed chwilą miałam ten dobry zamiar. Jeszczem daleka od tej doskonałości, ażebym ciągłą radość w duchu na ziemi zrozumiała. Wierzę tylko, iż każdy jej święty dostępuje. Pojmuję ją w chorobie, ubóstwie, opuszczeniu, potwarzy. Ale jak się ona ostać może, pomimo widoku cierpień bliźnich po ziemsku tylko znoszonych, widoku złego co się w koło nas dzieje, grzechu drogich nam, ach nie pojmuję, nie pojmuję, to jest rozumem rozebrać to mogę. Ale wprowadzić tę doskonałość w życiu nie mogę jeszcze. Może Bóg kiedyś da. Cudowna moc ręki jego. Takam słaba i grzeszna, że się ledwie do nadziei w każdym przypadku wznieść dotąd mogła, do najpierwszego stopnia nad potępienie. Wiele w życiu łzami nagrzeszyła, bo gorzkie były. Jakby mi się coś należało na ziemi i piękność, choćby w nieszczęściu, dziedzictwem mojem była. Ach! szaleństwo dziecinne, chwała Bogu, powoli, powoli odrywa się moje, ja odemnie. Mniej gorączkowych wzruszeń, dnie moje nie moje, ale pracy mojej. Módlcie się za mnie, ja za was co dnia.

Wyście silniejsi odemnie, wyżej pójść powinniście, niżli ja rozumieć mogę, bo mi grzechy młodości a może i cierpie-

nia młodości zaćmiły myślenie i siły zmitrężyły. Prawda, czuć nam nie starczy, na radość ciągłą a żywą przekonanie, że Chrystus najukochańszy ze wszystkich i wszystkiego Chrystus piękność, słowo, miłość, Chrystus nasz światło, życie, na wieki pochwalonym jest i będzie i chwała Jemu przyjdzie nawet z potępienia naszego, gdybyśmy na widzenie go nie zasłużyli? W proch przed stopami padną wrogi jego i zniknie złe z obliczu jego i ustanie krzyżowanie. Przyjdzie czas, w którym nikt z nas zniewagą karmić go nie będzie. Zwycięży czysta światłość jego i na kolanach przygarną się do niego wszyscy miłujący go. I my między temi będziem. Miejmy dobrą wolę a wierzy. Stanie się nam, wszak nie wolno o miłosierdziu Jego wątpić.

2 lutego.

Od początku tej stroniczki piszę dziś. Zrana komunio-wałam, aby Pan ofiarę syna swego przyjąć raczył. Musieliście i wy bardzo się dziś modlić i do stołu Pańskiego przystąpić, tylko wy raniej, ja później i dobrze dłużej Panu chwałą brzmiało, jeśli istotnie chwała mu, nie zniewaga, z lichej modlitwy mojej przyjść może. Zapewne w tem chwała, że nawet temu nędznemu, brzydkiemu stworzeniu co wyszło białe i czyste z chrztu świętego, tak się rychło zniweczyło i temu nawet błogosławić się pozwala i do lepianki jego zstępuje, choć w niej gady się snują. Jak się tam aniołowie dziwić muszą i wielbić z przerażeniem. Może myślicie, że z pokory tak mówię. Gdzie tam, trudno o próźniejszą istotę. Nie byłabym ostatnią między ostatniemi i najdalszą od Pana, gdybym pokorną była. Nie upadałabym tak ciągle i tak nisko. Cieszę się ile mnie kto razy dobrą sądzi i pokocha. Ot i wy, kochani, radabym w głębi serca, żebyście mnie we wszystkich względach za niepospolicie dobrą mieli i lepszą od wielu, ale jeśli wam ta ochota przyjdzie kochania mnie i wielbienia, nie wiercie jej i nie słuchajcie, bo was coś mami i oslepia. Kłę-

knijcie raczej w trwodze serca i odmówcie psalmy. Może się kiedy Pan zlituje i piasek ten jałowy, co zdala jak złoto świeci, użyźni choć trochę, choć na paszę bydłom. Wierście mi, wierście jam nie święta, ażebym tak przez pokorę mówiła. Mówię prawdę tysiąc razy, milion razy, mniej niżli widzę w sobie. Ale jeśli ja ciemna i próżna kobieta, tak widzę, jakże widzi Bóg, który pamięta każdą kroplkę tego morza nieprawości, z którego ja tylko ledwie falę jakąś straszną gdzie nie gdzie pamiętam? Gdyby to gdzie nie gdzie, pamiętam burzę oceanu w Ostendzie wilią wyjazdu naszego. Otóż, jak gęste a straszne były bałwany, tak poorane różnymi a różnymi grzechami życie moje całe i tak one powstają na mnie. Ale Pan w miłosierdziu gwiazdę dał morską, abyśmy nie rozpaczali. Och! burza, szaleje wiatr północny, a wody gorzkie ryczą i biją się bezprzytomnie o brzegi i noc ciemna, ciemna. A ludzie patrzą ciekawie i mówią, że to pięknie i cieszą się światłem, które fala toczy. A to światło owad nikczemny, obrzydliwy, czy trupie jakieś resztki. Nie, nie, nie burza piękna, tylko pokój, bo pokój to siła.

Pieszczotki moje, pokój wam w Panu. Czemu usposobienia waszego nie wiem, ażebym się z niem ześpiewać mogła? Radość wam wielka w Panu, który przebacza. Zmiłujcie się, pracujcie dla niego, bo jakże przyjść kiedyś będzie do tego, który tak ciężko i krwawo robotę zaczął z próżnemi i niezapracowanemi rękami. Co bądź, choć najdrobniejszego, byle mu w członkach jego służyć, a owocu pracy nie pragnąć ujrzeć ażeby nam nie powiedziano: Za prawdę odebraliście już zapłatę waszą.

Mamcię widzieć trzeba na zbudowanie od rana do wieczora ledwie spocznie, a pracy tej miłosiernej zawsze ma tyle, iż ledwie starczyć jej może błogosławieństwo za to iż najdrobniejszą nie gardzi.

Trzeba już kończyć ten list i na pierwszą pocztę posłać bo właśnie cały już miesiąc zawiera. Nie trzeba, żebyście na

bazgranie moje czekali, do zobaczenia, drodzy, mili, mili moi, moi, jedno i drugie w czołko całuję, opiece Matki najświętszej polecam. Czemu jej w litanii Matką sierot nie wzywają? W takiej wielkiej, serdecznej miłości wyciągam ku wam ramiona. Bóg z wami.

Nisia.

Niechcę ja, niechcę żegnać się dziś z wami, na same urodziny twoje, sieroto. Przebadźmy dzień jeszcze razem, jutro list zamknę i oddam. Obyśmy kiedyś z Matką twoją w niebie błogosławili ten dzień razem i dziękowali zań Panu. Jak cię ona strasznie kochać musi, z rana pewnie modliła się z nami, może przy Chrystusie stała, kiedy zstępował do ciebie. Może ci pokój wymodli i cierpliwość i cichość i wyrozumienie w miłości i wytrwanie w słodczy dzieciątku swemu, które Pańskiej pieczy poruciła kiedyś. Wyhodowali je aniołowie święci, wypieścili, wykochali, że bez dumki a kołyski usnąć już nie może. Biedne płacze a płacze, toć i matka pewnie zleci, krzyku dziecka nie wytrzyma, gościniec z nieba przyniesie cichej cierpliwości trochę, co i ziemię ściele, że się na niej nie tak bije i nieba przychyli. Boże, Boże, gdyby wy wiedzieli jak to boli w dzień urodzin cierpliwości kochanym życzyć. Za te łzy co mi pobiegły, niech wam Bóg choć troszkę cierpienia oszczędzi. Kochani, kochani, nic wam powiedzieć nie umiem, bo się płakać chce. Czemuś was tak boleśnie kocham jak całą gwiazdkę, jak Ukrainę.

Kochani, gdyby wam na wiązanie choć sen jaki słiczny posłać. Gdyby, gdyby widzenie wam jakie uprosić, choć ziemskie, stepu naszego albo jasnego Dniepru, gdyby choć kwiatka paproci wam posłać, żebyście raz na własne uszka zasłyszeć mogli w kilku sercach jaka o was mowa.

Moi wy rodzeni, co ja wam dam na wiązanie? Nic, chyba na kolanach lichą modlitwę do Pana za wami. Nawet dumki nie zaśpiewam, dumka płaczka, cóż po niej, płon

na codzien, nie od święta. Ot wiem co. Ubóstwo z pomiędzy ludu naszego kochanego zbiorę w gromadkę, nakarmię, napoję i pokocham za was. Będą wam błogosławić godniejsi odemnie i na wiązanie miłosierdzie u Pana uproszą. Obiecuję wam to na każde wasze święto w lutym i w marcu, tego roku będzie za tydzień, w oktawę, bo w domu nie jestem. Boże, daj wam świętą pogodę w duszy, pociechy choć odrobinczkę. Niech wam pusto i samotnie nie będzie. Bądźcie mi radośni jak ptaszki co wiosnę czują, choć śnieg jeszcze na polu, i zaświergotajcie ku niebu tak głośno i wesoło, żeby aż Chrystus obejrzał się na was. Moi, wy moi. A ja się Mu pochwalę i powiem: „Panie, to tak w gwiazdce mojej śpiewają tobie, sercem całym i głosem całym a tak radośnie, choć cier nie ranią a ranią, bo ty jesteś“.

3 lutego.

Tą razą doprawdy już dosyć. Bądźcie mi zdrowi, kochani. Bądźcie święci a zatem szczęśliwi. Bóg z wami.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

28 lutego 1844 (podług ruskiego).

Dziś kochani, drodzy, mili, prędko was, prędko na dobry dzień w czołka pocałować, w duch popieścić.

Może wam opowiedzieć jak dnie nam schodzą? Naprzód wyobraźcie sobie duży i wysoki dom drewniany ale bez pietra, bielutenki zewnątrz, bielutenki wewnątrz cały, z ogromnymi oknami przez które wiele nieba widać, dwa cmentarze, w innej stronie biały duży krzyż na miejscu, gdzie cerkiew dawniej stała i trochę nowo posadzonych drzewek. Z rana budzi się Nisia i blask prosto bije w oczy, bo dawnym zwyczajem łóżko moje zawsze

naprzeciw okna stoi, inaczej czemuś okropnie jak w więzieniu, krzyżem świętym się żegna i do Boga woła o pomoc, bo nowy dzień przeżyć trzeba i nie upaść w nim ni razu a niemoc wielka. Potem przychodzi dziewczynka, piękna czarnobrewka, szesnastoletnia, jedna z moich dzieci, rozkłada ogień na kominku, ubiera i pacierz mówi Nisia. Potem wychodzi Nisia w świat. Cichusieńko, bo wszyscy jeszcze po celach. Nisia państwo swoje obchodzi, patrzy czy wszędzie pozmiatano, czysto jak w szklaneczce. Czasem w bawialnym pokoju wazon z kwiatami sobie ustawia, potem idzie do salki na herbatę, w której zawsze prawie jeśli jest w domu, asystuje Daryusz, to chwila pierwszej w dniu gawędki. Robią się rozmaite pytania, na prośby także to dobra chwila, pokazują się niektóre listy, układają niektóre sprawy domowe, po herbacie pocałuje Nisię w czoło i idzie do siebie, a Nisia prędko przez długi korytarz, dumkę zawodząc, do kobiet. Tam wytaczają się najróżnorodniejsze sprawy, zaczawszy od swatów, której z dziewcząt do najdrobniejszych domowych rozporządzeń. Rozwodzą się różne skargi. Nisia gromi, godzi, wysyła czasem gońców na wieś, czasem przerażające straszliwe kartki do oficyalistów, niektóre z dziewczątek przechodząc pogłaszcz, pokocha. Zajrzy do Angielki, która poważnie za stołem siedzi i z dziećmi szwargocze, które szyją albo z nią czytają. Obejrzy czy czysto ubrane, czy zdrowe i grzeczne. Potem jedno zabiera z sobą i wraca do swego długiego pokoju, gdzie przy siatce do alby, odbywa się katechizm, historia święta, czytanie polskie i pisanie, w ciągu którego zwykle wsuwa się ciocia B... i przed krzyżem pacierze odmawia. Potem, jeśli trochę czasu zbywa, listy się piszą i w duch w mig narzuca się sukienka, bo obiad dają, a Daryusz wrócił z fabryki czy z pola. I raptem gwar wielki w bawialnym pokoju. (Kiedy nikogo niema cały dzień Boży, Nisia i po obiedzie i wieczór sobie czyta przy kominku w długim pokoju). Wszyscy goście, którzy po celach cały ranek przebyli odwiedzając się jedni

drugich, czytając czy ucząc dzieci, jeśli kto z dziećmi przyjechał, ale których zwykle nie odwiedzam, chyba kto sędziwy bardzo, albo w szczególnym jakim razie. Wszyscy goście schodzą się na obiad, i już resztę dnia razem czytają, dumki śpiewają, nowinki opowiadają, obrazki przepatrują i gawędzą, gawędzą bez końca o niebie i o ziemi i o czym się ani śniło filozofom. Na kominkach ogień się pali, samowar szumi, dzieci skaczą aż późno rozchodzimy się spać i jeszcze po celach gawędzimy, potem znów do mojego długiego pokoju i tu odpoczynek, jeśli jaka przez dzień myśl przeleciała, da chwilkę spocząć i Cesia przeżegna i pójdzie i zostaje przy drzwiach zamkniętych, Bóg jeden ze mną w pokoju. Nazajutrz znowu to samo.

Musiał się tak ułożyć koniecznie podział dnia na dwie części bo jest zaprowadzenie, że rzadko kto do nas inaczej jak na kilka albo kilkanaście dni przyjeżdża, bez końca by więc było próżnowanie. Zresztą i goście temu radzi, bo książek nowych zawsze mają podostatkiem, a kto u nas nie czyta? Ze znajomych miło mi było niezmiernie obaczyć się z K... Cóż to za poczciwy człowiek. Niech się tam jedno z was ucieszy, bo po części jego to ziarno, tak bujno wyrosło. Oj! szkoda, szkoda, że wielu rzeczy pisać nie można, że co w moim nowinka, to w pisaniu plotka. Ale co się tak rozgawędzam kiedy list wysyłać trzeba.

Oto łupinka życia Nisinego, a znacie wy jakie w niej ziarno? Siedmioraki znak, bo liczba 7 tajemnicza. Jest siedem grzechów śmiertelnych, siedem boleści, siedem darów Ducha św. i siedem barw w tęczy. Kto wie, może na końcu życia się okaże, że i moje ziarno siedmiorakie? A jak one w jeden krzew wyrosną, jaki owoc będzie? Białe czy czarne? Zmówcie czasem Zdrowaś Marya za mnie biedną.

Moi wy, moi rodzeni, moi wy, moi serdeczni, moi wy moi, błogosławieństwo wam i kochanie nieba i ziemi. Czemu oczkami aż do was przewiercić nie można, dojrzeć co się aż

w samym środku ducha u was dzieje. Czy prawda, że się Paweł z przybranym ojcem poważnił?

Do zobaczenia, jedyni, kochani, całuję was w czołko.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Gniazdko ¹⁾, 29 kwietnia 1844.

Jak ja was przeproszę, mili, najmilsi moi, za długie milczenie. Biedni, sprzeniewierzyła się wam Nisia. Może kiedyś, kiedyś w niebie, gdzie każdy wszystko dojrzy i zrozumie, wytłómaczycie to sobie i wybaczycie. Ale teraz daleka ta nadzieja niepociesza mnie ani troszkę jak o niepokoju waszym myślę. Zaczęłam była do was pisać. Ale się wczas pomiarowała i dałam pokój. Przywykłam z wami słów nie dobierać i długo byłam w takim usposobieniu, że żadnym żywym sposobem nie mogłam zdobyć się na jakieś przystrojenie biednej myśli mojej, żeby przecie jak upiór ludzi nie straszyla, a że doprawdy straszy miałam niedawno na mamci bardzo przykry dowód. Jeden z was pyta czemu Nisi smutno. Boże mój, alboż wy jeszcze nie wiecie. Oto dlatego, że nie taka Nisia jaką Bóg ją mieć chce, oto że upadła pod krzyżem i leży pół martwa, pół szalona i tylko żarem ciągle ryją się jej w sercu straszne słowa: Gdybyś chciała szczerze, wstała-bys i uniosła krzyż, bo łaski Bóg nigdy nie odmawia. Nie usłyszysz cię Bóg i nie spojrzy na ciebie i na tych, za których modlisz się, aż wstaniesz i pójdziesz z krzyżem, jakkolwiek ci się to niepodobnem zdaje. Boże mój, Boże mój, kochani, niech się kto pomodli za mnie, ale nie za mnie jedną. Gdyby choć odrobinę światła i siły, tyle ich potrzeba, bo ciemno i mdło nietylko we mnie, ale i w koło mnie. Żeby ludziom służyć,

¹⁾ Kuryłówka.

trzeba większym być od nich, szczególnie wiarą i pokorą. Wzmogli się wszyscy w ziemskie żądze, ujrzeni światło słów Bożych i jak Piotr na górze Tabor, nie wznieść się ku światłu do nieba, ale pobudować namioty zapragnęli na ziemi, na ziemi używać światła Bożego na szczęście. Czy wiecie, że istnieje materjalizm duchowy? Wiem, że i Boga jak ludzi można kochać namiętnie, nie dla niego, ale dla siebie, i egoizm brać szczerze za miłość, bałwochwalstwo siebie za pobożność i cnotę. Kto zgłębia myślą szczęście swoje duchowe, zgłębia tylko objawione mu miłosierdzie Boże, ale wcale nie miłość swoją ku Bogu. Mierzy Bożą, nie swoją doskonałość i w miarę szczęścia tego, niech na siłę swoją nie liczy, och bo zawiódłby się okropnie. W żadnym względzie szczęście nie jest świętością, chociaż zupełna nawet ludzka świętość jaśnieje niem prawie zawsze. Kochani, jestem niby z wami i odpowiadam na to co mówicie. Czy zgadłam? Czy niestosownie wnie-
szałam się do rozmowy waszej? Gdyby to, gdyby wpaść do was niespodzianie. Mamcia i Kicia zamyślają wyruszyć wkrótce, ale na ile się ten zamiar da skutecznić, Bóg jeden wie, bo Kicia bardzo chorowała całą zimę, tak że podobno trzy razy tylko na dni kilka wstała.

Do zobaczenia, kochani, drodzy, mili. Wszyscy was błogosławia, całują i Nisia tuli się do was jak do własnych.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Gniazdko ¹⁾, 8 maja 1844.

Zaleciał głos od was, kochani i roztwarło się serce ku wam, jak kwiatek do rosy, czy jak usta do pocałunku, czy jak

¹⁾ Kuryłówka.

rana co krwią płacze, nie wiem. Wszystko razem, bo jakże słowa wasze do was podobne. Dziś jakbym tylko co pożegnała się z wami. Widzę wyraz twarzy, ruchy, widzę was tak jasno, wyraźnie, tak wiem czego wam trzeba od Boga i od ludzi. Czemu wy nas także widzieć nie możecie? Biedni ludzie, chodzimy tu wszyscy głusi i ślepi, tęsknim za sobą i nawołujem się wspólnie. O! czasem blizusieńko siebie stoim, że ciśniesz się piersiami, a nie o sobie nie wiemy i hukamy jak w stepie. Jeśli czasem komu Bóg daje słowo jak moc czarnoksiężką, iż widomym się staje dla braci, on sam niemniej ślepy i smutny, bo zdaje mu się że sam.

O smutno i ludziom, którym dano było ujrzeć żywy obraz Boga, nie już owinięty w powszedniość jak w zagadkę, ale w jasnej prawdzie ducha jego; bo on jak zaklęty w wiecznej samotności swojej duma tylko i płacze patrząc w niebo i w siebie, w miłość i w boleść i wiecznie powtarza: Zapomnieli, choć otaczają go i tulą i jak dzieci za matką, słowa jego Bogu powtarzają. Kiedyż się już ukończy ta męka, mój drogi, kochany? Kiedyż i ty przejrzysz? Kiedy lży na czole i rękach poczujesz? Wierz mi, bardzo trzeba kochać aby w śmiertelnem omdleniu szukać kogo sercem jak ciebie szukają i oczy ku niemu zwrócić i dłonie ku niemu wyciągnąć. Czy zwątpisz o miłości, jeśli aż na próg chaty miła z wieńcami nie wyjdzie? Miła, biała jak chusta do ciebie nie wstanie i wieńca dla ciebie niema, poschły jej kwiaty, chyba cierniowy, ten wprawdzie nie więdnął i święty, bo na Bożej skroni spoczywał. Nie żał się, nie żał na miłą. Ona by ci niebo przychylić rada, przystąp raczej i uklękni, bo z ziemi podnieść się nie może i usta na czoło położyć, może jej lżej będzie, potem pomódl się w cichości.

21 czerwca.

Najmilsi, jakże dawno ta kartka zaczęta. Od tego czasu poszedł już list do was, krótki wprawdzie i w interesie tylko,

ale dostateczny na zaspokojenie was choć trochę. Wiecie przynajmniej, że nadzwyczajnego krzyża Bóg nie zesłał. Czemuż, kochani, przychodzą wieści, że serce się wasze dręczy? . . . Najwyższa mądrość, znosić cierpliwie. Kochani, czemu nietylko oczy bliźnich, ale nasze własne władze nie zarówno do głębi ducha naszego sięgają? Czemu prawda obcą nam zostaje, dopóki w wyobraźni jest tylko naszej, albo w rozumie i nasza jest dopiero kiedy się z serca wyłoni? Czemu żadnej prawdy nigdy wszczepić nie można, tylko ją zasiać aby sama w sobie wzrosła w duchu, bo inaczej jedno z nim nigdy nie będzie, tak iż wędrowna prawda, jakkolwiek z uczciwością przyjęta, nigdy w nas prawa obywatelstwa nie zyska i głosu u nas niema? Nie zdarzyło się wam kiedy, że rodzima prawda jak dojrzeć w swoim czasie z ziarna Bożego i z łez, niby nowy nieznany dotąd dar, oko w oko spotka się sama z sobą zamieszkałą od dzieciństwa w rozumie i dawno już spowszedniałą. Był to jej kształt tylko, słowo, ciało, które na ducha czekało, co się w nas wyrobić miało. Otóż kochani, stało się nam to samo z wyobrażeniem cierpliwości. Ażeby je zrozumieć, trzeba było oboma oczami jasno widzieć i przekonać się całem sercem, że nawet na chwilowe rozpięcie namiotu nie masz dla nas miejsca na ziemi, że o slobodę dobijać się darmo, bo nie masz dla nas spoczynku na ziemi. A przyjść do tego przekonania trudno. Człowiek po tysiąc razy patrzy nań i tysiąc razy oczy odwraca jak od uludy. Nie chce i nie chce mu wierzyć, bo sloboda, och! czyż to dla nas tylko? Umrzeć, własnemu szczęściu zdaje się wiele. A to jest nic, zupełnie nic, jest to tylko zburzyć ciemne, ciasne, zimne więzienie samolubstwa i pierwszy raz wolno na ziemię i niebo spojrzeć. Ale ciało nasze, żyje, w niem jeszcze po ziemsku żyjem, dla niego marzym i pragniemy po ziemsku, stokrót więcej niżli dawniej dla siebie, dla niego zapamiętaliśmy dobijamy się o to nawet, cobyśmy dla siebie ze wzgardą odrzucili. Ot życie, tu na ziemi, tu po ziemsku. Aż kiedy ślepa,

bezrozumna namiętność nasza uderzy z kolei o każde niepodobieństwo jak o głaz, a częściej jak o muł, albo piasek jałowy zaświeci jej myśl nowa, że nie upośledził Bóg przecie całej ludzkości i niższą nie uczynił od pojedynczego człowieka. Że jeśli cała ziemia i co tylko jest z niej, nie godnem jest posłużyć człowiekowi na ochłodę nawet chwilową, kiedy mu na niej znoju z czoła otrzeć nie wolno i nie wolno mu legnąć na niej, bo szatę ma białą na gody niebieskie, którą lada proch skala, jakżeby się ona oczyścić, ustroić dała na mieszkanie ludzkości. Musi ona i dla niej drogą tylko pozostać. Oczyścić puste słowo. Zdmuchnij proch do ostatka, to i ziemi nie stanie. A nie zdmuchnie go nikt bo w tej pracy od siebie zaczynać potrzeba, inaczej i żdźbła nie poruszyć. A kto sam z ziemskości się wyzuł, niebo widzi, nietylko ziemię i nie mieszkanie z niej kleić ale wyrwać z niej co prędeż bracią swoją zapagnie. Zapewne pracować koło niej niezmordowanie będzie, równać i głogi wyrwać jedynie, aby łatwiej przeszli i nie upadli w drodze. Ale rozmiłować się w tej pustyni, myślą w niej utonąć w tych jej przyszłych wdziękach, które ma nabyć pracą naszą, duchem, w niej na wieki zamieszkać, jak byśmy innej ojczyzny nie mieli, to zdrada i czy się na własną czy na wszystkich korzyść marzy, zawsze zdrada, w znaczeniu jakie temu słowu daje A. . . w cudownym ustępie pamiętacie, cośmy go razem czytali? Otwórzcie książkę, znajdziecie słowo w słowo dokonczenie myśli mojej. Mało kto w wieku naszym mimowolnej tej zbrodni nie popełnił. Żyjem grzesznie po ziemsku w ludzkości, dla której zdaje się nam, że wszystko wolno, dla której są, którzy mężobójstwo nawet za zasługę poczytują, bo skoro ona na miejsce Boga za cel nasz ostateczny stanęła i bałwanem się naszym, cielcem złotym stała. Oblęd zatoczył myślą naszą i wszystkie wyobrażenia świętości i dobra powtórnie nam okazał. Samolubstwem nie jest tylko miłość osoby własnej, jest to częściej upodobanie nasze w miłości ludzi czy myśli

jakiej. Samolubstwem jest każde bałwochwalstwo, każda krzywda Boża.

Szamocem się na śmierć szukając szczęścia dla ludzkości, czy dla której jej części. Jak szalonym zdaje się, iż ono bezpośrednio w mocy jest naszej, tylko przez jakiś niepojęty przypadek schwycić go nie możemy, dopiero tu było, teraz owdzie. Rzucać się tylko żywo a gwałtownie a ułowim go pewnie, jakże w cierpieniu usiąść spokojnie kiedy szczęście och tuż, miga w koło nas błyskawicą? Kochani, gorzka to wprawdzie godzina, w której się człowiek dowie, iż jak szczęściu własnemu i kochanych, tak i szczęściu wszystkich umrzeć potrzeba, bo go nie masz na ziemi i przez jakiś czas biedne serce szczo robyty taj dumaty, taj zdaty zabude. No krewawyt' taj bijet sia w bezkonecznyj pustci. Dopóki na wielkie zgłiszcza światło Boże nie wejrzy i nie zbudzi ku zmartwychwstaniu, nie na chwałę, nie jeszcze, tylko na pracę i miłość, ale już po Bożemu, nie po ludzku i objawi nam co jest cierpliwość i co pokój. Cierpliwość, nie bierność to, ale czyn, pokój nie wytchnienie to, ale praca, bo ciężka jak każdą cnotę wyrabiać go w sobie musim. Cierpliwość, jest to wyrzucie z ziemskości, na ile tylko zdolnym jest tego żywy człowiek, tak, iż nietylko własne cierpienie ale cierpienie kochanych, wszystkich nawet nie oderwie oczu jego od wiekuistej prawdy, tarcza, na której odbijają się wszystkie wpływy ziemi, jak krople deszczu na stali, która wolnym go czyni, ale zostawia wyrozumiałym i miłości pełnym, bo cierpliwość od cierpienia nie broni. Jest ona złamaniem, zwyciężeniem siebie zupełnem, a więc niewypowiedzianą siłą, ale ludziom niestraszną ani nienawistną, bo cichą i spokojną, jak wszystko co się nad doczesność wzniosło, choć z nieba idzie bo z wiary i do nieba dąży, między ludźmi jest jak w domu, bo przecie na cierpienie stworzona. Naśmiecą i nazłorzeczą jej nieraz, ale ona namiętności przetrwa wszystkie jak się oni wypalą z popiołów, które zostawia, iskrę wygrzebie i ofiarę nią na

ołtarzu Pańskim zapali. Gdzie przejdzie ochłodę i pokój zostawi i przecucie królestwa Bożego, szczęścia jedyne na ziemi, szczęścia w poddaniu pokornem woli Bożej, choćby na stosie ognistym. Gwałtownie nie wszczynać nie będzie, ani tłumów w koło siebie zbierać i pracy jej świat nie dojrzy, tylko śladem po sobie zostawi życie. Ona jak woda. Zważ ją i rozbierz, nie w niej nie znajdziesz ni ciepła, ni pożywnych części, ni ziarenka żadnego. A jednak błogosławieństwem jest ziemi, która bez niej na wieki martwą by została. Dość już ognia biednej ziemi, dość żądź straszliwych, dość gwałtu i zniszczenia. Niech zakwitnie królestwem Bożem, miłością. Czemże miłość jeśli nie ofiarą, a ostateczną zupełną ofiarą jest cierpliwość, bo nie chwilowa, ale trwała jak życie, bo nie w pewnych tylko przypadkach, ale ciągle i zawsze, bo nie na zewnątrz siły obraca, ale je zużywa na sobie. I powtarzam w myśli: najwyższą mądrością cierpliwość.

22 czerwca.

Moi wy, moi, bądźcie mi zdrowi. Jutro rzucam gniazdko i z mamcią wracam do siebie. Jak sen przeszły te dwa miesiące i wiele lat com tu przeżyła kiedyś. Co się po nich zostało? Nie doświadczenie, bo doprawdy, oprócz tego co Bóg przez kościół swój objawił, nie nie wiem, — nie łzy, bo już nie płaczę, — nie pokój, bo z grzechu otrząść się nie mogę. Patrzę na ogród, jak las dziki i ogromny co się nie zmienił, on jeden tylko, od czasu dzieciństwa mego, jakby na skamieniałą postać ducha mego w pierwszej młodości i tak mi ona znajoma, rodzima, własna, jakbym ja dziś obcą sobie była, jakby to ja dzisiejsze nie mną było, jakbym się z niem obeznac nie mogła i niby mnie ono na uwięzi trzyma surowo i zimno na mnie patrzy, a mnie pod tym wzrokiem chmurzy się i mąci w sercu, a wola zaciska w piersiach żelazną ręką i mówi: cicho, musi być pokój, choćby ci serce pękło — ale nie umrzesz — cicho.

Cicho też zwykle, choć się czasem wszystko tak zburzy, że aż zciemnieje w oczach ducha. Cicho i znów nieruchomość wróci i zawsze cicho. Alboż nie czas, trzynaście lat niedawno minęło jak pokoju się uczyć. Och nie, nie tyle, to tylko tyle jak go niema, chyba Bóg wejrzy, czasem, częściej tysiąc razy niż jam warta. Jam niczego niegodna, prócz odręczenia i zapomnienia. A jednak opieka nademną i nad mojemu i nad ludem moim. Bóg! och! cóż to za słowo? Gwiazdka w ciemnej nocy, ręka tonącemu. Kochani, nie ustawajcie w modlitwie za nami, bardzo nam jej potrzeba.

Moi wy kochani, moi wy rodzeni, czy obaczę was kiedy jeszcze? Czy nie odwykniecie wy zupełnie odemnie, dziwacznej i zimnej, jak świat mówi, a jak jeden z was myśli? Musi to tak być, kiedy się tyle ludzi na to zgadza, a tylko kilkoro inaczej mówi. To też się ani trochę nie dziwię, jak kto do mnie nie lgnie, owszem zły to już znak kiedy się kto do mnie tuli. Pewnie nic mu już na ziemi nie pozostało. Jeśli tak Bóg przeznaczył, obyście przestali mnie rozumieć i odwrócili się odemnie, obyście świat mój rzucili a wzniesli się do duchowego raju światła i pociech Bożych. Bądźcie mi od świętych myśli jak od aniołów, w każdej chwili życia nawiedzani.

Niech wam słodki będzie ranny i wieczorny pacierz, niech się serce wasze roztworzy miłością Bożą, a w Bogu i dla Boga miłością bliźnich. Niech czyn wasz każdy pokój wam w sercu zostawi, a każde słowo wasze pokój w sercu bliźnich. Niech ludno wam będzie w samotności waszej i błogo w sieroctwie, przytomnością zawsze czułą i zawsze uczoną Chrystusa naszego.

Błogosławieństwo na was, kochani. Bóg z wami, Bóg z nami. Wszyscy ile nas tu jest ogarniamy was pieczęcią, Mamcią na czele. Niech czasem dobra myśl wasza przed Bogiem padnie i na biedną Nisię.

Antosia ¹⁾ tu jest z nami od dość już dawna nawet, nie myśli i nie mówi tylko o was, płacze za wami aż się serce kraje patrzeć. Chciałam wam posłać kartkę od niej. Ale się biedaczka nadto z różnemi rzeczami rozpisała, które lepiej aby po świecie nie chodziły. Do zobaczenia, kochani.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

12 lipca 1844.

Kochani, obudziłam się kiedyś z tem słowem na ustach: Na wieki. Och! nie, nie tu na ziemi na wieki nie trwa, chyba skutkiem, wynikłością swoją. Ale może na długo.

Czy i teraz jak przed czteru laty tak ciężko i zawile piszę? Wiecie, kochani, trzeba zupełnie obraną być z miłości własnej, ażeby wam te kartki posłać.

Teraz nadziwić się nie mogę, że mi się też chciało te wszystkie komunały tak obszernie rozwodzić, że mi się też chciało skarżyć na świat, choć przed sobą samą. A lekceważą i gardzą? A odręczają od wszelkich ważniejszych spraw duchowych, jakby duch nasz nie kochał i dobra ogółu nie pragnął? A nie przyjdzie nikt lekkomyślny i światowy, aby na nas szyderstwem, a nie przyjdzie nikt poważny i mądry, aby na nas morałem jak kamieniem nie rzucił? To i dobrze, wartość nasza i pożytek w miarę poniżenia i cierpienia. Otośmy jak ziarno, zemlone na chleb. Chwała Panu.

Widzicie, kochani, lepiej dotrzymuję słowa niżli jedno tam z was, co jak na wodę puściło obietnice i nie nie przysła, nigdy ani nawet karteczki w dowód, że żyje. Otóż macie bazgraninę moją ²⁾, powydzieralam z niej wiele, a jednak

¹⁾ Linowska, z domu Zaleska, siostra rodzona Bohdana.

²⁾ Zapewnie powieść.

dziwne mi sprawia wrażenie pokazanie jej komu, nawet wam. Wstyd mi, bo z głowy mojej niewiele tam jest. A co jest, to tysiąc tysięcy razy powtarzam, a więc straszliwie nudne.

Kochani, ja rozumu nie mam ani trochę. Żadnej nowej strony prawdy nie wykryję nigdy, a ponieważ, jak każdy człowiek, mimowolnie myśleć muszę, skazaną jestem na wieczne powtarzanie dawno znanych rzeczy. Przykre mi wyobrażenie, że z mojej winy kilka ciężkich godzin więcej do przybycia w życiu będziecie mieli. Jedyna moja nadzieja to, że nie każecie sobie może jako powinność dojść koniecznie do końca tej rozwlekłej powieści. Wszak my dobrzy znajomi, spodziewam się i ceremonii przecie z sobą nie robimy. Ażeby was od wszelkiego skrupułu w tym względzie uwolnić, oto wam daję uroczyste pozwolenie zatrzymania się zaraz na drugiej kartce i choćby i pierwszej nie zacząć, spalić czy schować gdzieś daleko i zapomnieć na wieki wieków. I nie myślcie, że mi tem przykrość zrobicie, sumiennie wam mówię; owszem, podziękuję Bogu, że mnie uchował od dręczenia was przez całe pół dnia. Żadnym sposobem ta powiastka zająć was nie może, bo wedle was pewnie ani tak ludzie myślą, ani robią, ani kochają. A jednak nieskończona rozmaitość utworów Bożych, są nawet i do prawdy niepodobne. Nikt się na nie ani obejrzy, a one żyją, cierpią i cudem łaski Bożej zdobywają się aż na bohaterstwo nadziei zagrobowego pokoju. Są ludzie jak robaczki na polu, które bez złości depce każdy, bo się ani domyśla, że w prochu pod jego stopami coś żyje. Wiecie, że wiele trzeba odwagi, czy nie dbania już o wszystko, ażeby robaczkiem będąc, do stóp się czyich dobrowolnie zbliżyć?

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

lipca 1844.

Gwiazdka ¹⁾ (powiastka Junci małej).

Anioł Boży ot leci; białe, czyste skrzydła woń rozsiewają. W złote ubrana kędziory, głowa jego jeszcze od spojrzenia jestestwa wiecznego się lśni. Na czarnem oku jeszcze drżąca pozostaje lezka, którą Boga o przebaczenie dla zatwardziałych prosił grzeszników. Myśli jasne, wielkie go koleją zajmowały a za każdą co się Bogu więcej podobała, promienie były jasne.

Zatrzymał się nad brzegiem czysto płynącego Dniepru, gdzie dziewięćioletnie dziecię gorące łzy mieszało z wodą. Złił się Anioł Stróż nad dziecięcia boleścią, sen zbawienny na nabrzmiałe i gorące spuścił oczy, sam wziął postać widzialną i przedstawił mu się we śnie. Wziął dziecię za rączkę i słodko mu w uszka zanucił: „Tyś czysty, Bohdanie, jeszcze, i dlatego Pan ci oto przezemnie oznajmia, że jeśli chcesz, to duszkę twoją niewinną, nieskalaną, szlachetną, na skrzydełka me wezmę i razem polecim do nieba. Pomyśl co za szczęście wiecznie Boga twarz w twarz oglądać, co za rozkosz najścisłej Jego wolę pełnić, co za chwała wiecznie imię Jego sławić“. Anioł zawarł usta i z miłością poglądał na Bohdana. „Polecę, och! polecę do nieba, rzekł, wznosząc rączki do anioła, zstrząsnę z siebie proch ziemski, skrzydełkami ducha wzniosę się do Boga, lecz ojczyzna, och! ojczyzna moja ziemską? Mogęż lecieć ku szczęściu a ją, rodaków, zostawić w smutku, w żałobie? O nie, nie, duszką czystą śpiewać Panu ku chwale będę, ramieniem bronić tę, którą kocham nad wszystko ziem-

¹⁾ Pani Konstancja Rzewuska w liście z 12 października 1844 r. przesyłając tę powiastkę, pisze: „Posyłam wam powiastkę Junci, którą przepisała, w razie, że gdyby ta zginęła, żebyście z drugiego egzemplarza skorzystać mogli“.

skie, ojczyznę. Dokonam ofiary, pozostanę na ziemi. A kiedyś, kiedyś, kiedy już wiele dla niej uczynię, z tobą się wzniosę do góry.“ — „Lecz, rzekł anioł w duchu, rad z ofiary dziecięcia, czyż potrafisz czystość zachować pomiędzy tylu zepsutemi? Ciebie trzymać się będę, odpowiedział Bohdan, a pewnie nie zbłądzę“. — „Błogosławię cię więc, rzekł anioł, na krótką lecz ciernistą drogę, bo będziesz prorokiem Pana. Oto wstawaj, a idź i przepowiadaj narodowi twemu, że ojczyzna, którąś tyle ukochał, i nad którą płakałeś gdym do ciebie leciał, powstanie, lecz wtedy tylko gdy wszyscy za wielkie swe grzechy pokutować będą, i ty, Bohdanie, choć czysty, choć niewinny, cierpieć będziesz i im więcej będą się cierpienia duszy twej mnożyć, tem bliżej będziesz chwili, w której do góry polecim. Ja będę strzedz ciebie od grzechu“. Anioł znikł, Bohdan ze snu powstał, lecz w sercu i pamięci jego tkwiły wszystkie słowa niebieskiego posłańca. I czuł, że się z nim coś dziwnego stało. Wiedział bowiem wszystko co nastąpić miało. Błogie uczucie wstąpiło w serce jego i rzucił się na kolana, oblicze ku ziemi schylając i dziękując Panu, iż go z pomiędzy tylu na tak wielkie wybrał dzieło. Twarz mu się rozjaśniła, uchwycił w rękę zieloną nadziei gałązkę i w sercu dziecięcia była nadzieja. Wierzył mocno, że powstanie ojczyzna, lecz razem uczuł, iż on tego widzieć nie będzie, bo Pan mu kazał być tylko przez pokutę naród do tego dzieła przygotować. Smutno mu się z tej przyczyny zrobiło i zalał się łzami, bo dotąd zdało mu się, iż za ojczyznę zginie. Wypia-
stował, wypieścił był tę myśl i gorzko mu było się z nią rozstawać. Puścił się więc Bohdan w świat, młody z laską w rękę, z torbą na plecach i możnaby go za żebrzącego wziąć dziecko, gdyby nie wyniosłość czoła i oczy, co choć żywe, choć dziecinne, jakby się w przyszłość wpatrywały. I chodził i wołał na ludy i tklivemi słowami prosił: „porzućcie grzech, pokutujcie, pokutujcie. Oto Pan mnie posłał, by wam oznajmić, że chceście bardzo Go obrazić, On gotów wam przeba-

czyć i oddać wolność. Powróćcie się tylko do Niego. Czyż wam tak trudno kochać Tego, co wam oto tyle dobrego świadczy?“ A anioł leciał za nim i nastroczał mu słowa, które mówić miał i przygotowywał serca słuchaczy. Bohdan znał przyszłość i wiedział jakie jego ojczyznę, nim czas wybawienia nadejdzie, srogie czekają nieszczęścia. Wiedział i cierpiał nad tem, i im więcej się godziny kary przybliżały, tem więcej on bolał. Serce mu się krajało, lzy gorące spadały na policzki. Zdawało mu się, iż jest na Kaukazie, broniąc się przeciwko Góralom, to znów, iż w śniegach Sybiru konał z rodziną swoją, to znów, iż w obcym kraju się tuła, próżno pocieszenia szukając. Nikt boleści jego nie zrozumie, nie umie pocieszyć słowy ojczystemi. Duch jego zmęczonym był, lecz jednak, jednak nie upadł i czystym pozostał, bo anioł czuwał nad nim. Tak przeżył Bohdan długie lata nim znów anioł, jak kiedyś sen głęboki spuścił na niego. We śnie mu się ukazał i rzekł: Bohdanie, ciężkie było i trudne twoje powołanie. Tyś je wypełnił i czystym się zostałeś. Chodź teraz ze mną odebrać nagrodę. I anioł włożył mu na skronie wieniec radości, który aniołki zwykle prorokom dają i oto dziecię zabłysło czystymi promieniami i wzniosło się wraz z aniołem na powietrze i głosik dziecięcy jakby śpiew ptasząt w powietrzu wyrzekł: Dzięki ci, dzięki, aniele, za twą straż około duszy mojej, teraz stanę się gwiazdką i promienie łaskawości Bożej, które ra mnie padną i oświecą mnie, będę spuszczać na mój kraj. I ucichło wszystko i dwa aniołki znikły i noc ciemna swe zaczęła rozpościerać, a gwiazdka nowa łaskawości Bożej promienie na ojczyznę naszą zlewając, zalaśniała w odaleniu.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu ¹⁾, 19 lipca 1844.

Dziś cały ranek przerzucałam dawne papiery. Od powrotu mego jeszcze się nie była widziała z tymi skarbami moimi, z różnymi listami od kochanych jeszcze z dzieciństwa i późniejszemi, które skoro nic nie zawierają coby świata pokazać trudno, składam i chowam starannie na stare lata. Wyjeżdżając, po naszymu zakopałam była w ziemi, aby się im co nie stało i dziś dopiero wydobyłam. Czytałam, czytałam długo i wasze listy ²⁾ i innych i rozplakało mi się serce. Boże mój, Boże, kochani, jakże to długo przed śmiercią wszystko opuszcza. Mówią, że związki z dzieciństwa nie rozrywają się nigdy. Nieprawda, każdemu inny rodzaj piękności zaświeci, każdy za swoim pogoni i nie zejda się już nigdy. Mówią, że na te przynajmniej liczyć można, które wspólność przekonania skojarzyła, które wiele niedobrych lat przetrwały i to nieprawda. Przekonania zostaną, tylko ogień, życie wygaśnie, że się już nikogo nie potrzebuje, że przyjaciel to ciężar, zawada, nuda. Tak mało miałam wybranych i tych już tyłu ubyło. Nie licząc mamci, ledwie troje ludzi na świecie dziś są dla mnie jak dawniej. Mój Józefie drogi, niech ci Bóg płaci, tyś jeden z tych trojga. Nie rozerwało się z tamtymi, ale rozwiązało, to może gorzej. Jedno wyjechało na długo i wróciło innym człowiekiem, drugie świat pokochało i dla niego o wszystkim zapomniało. U innego czucie w łzach i samotności zgasło. Czy się na co innego zwróciło? Dawne jak popiół, w pamiętce zostało już przeżyte.

Ludzie, jak te zwierzęta dzikie, o których w legendach mówią: dopóki cierpią, leżą w grocie pustelnika, opatrzyć rany pozwalają i łaszą się koło niego, dobrze im, mniej boli, mniej samotnie i zdaje się już, że kochają. Niechże się rany

¹⁾ Tahańca.

²⁾ Te listy nie dały się odszukać i zostały prawdopodobnie zniszczone.

przygoją, nic ich nie wstrzyma, pójdą w świat i już nie wróca do pustelnika. To też pustelnik nie liczy na nich, tylko na Boga w niebiesiech. Czy uważaliście, że nic człowieka nie zmienia, ni lata, ni przygody, ni smutki, tylko mniej lub więcej miłości, a zresztą wszystko tylko na tyle, na ile na miłość jego wpływa.

Uważaliście jak zupełnie niepodobny do siebie kto kochał i już nie kocha, nie tylko dla biednego opuszczonego stworzenia, ale naprawdę sam w istocie swojej. Nie myślcie abym się skarżyć chciała. Zawsze i teraz nieskończenie więcej mnie kochają, niż jam warta. Zapłakało coś we mnie bo chociaż czułam oddawna jak po jednemu ubywają mi moi, nie widziałam tak wyraźnie jak to dawniej bywało. Jakie życie gorzało tam gdzie dziś próżn? Nie o mnie idzie, kochani. Co mnie? Jam zakonnica, puśćciej czy ludnaiej w życiu, smutniej czy znośniej, mniejsza. Dla mnie już raz drugi ziemia nie zazieleni, dawno sierota po wszelkiej piękności ziemskiej, błąkam się jakby po śmierci i cierpię. Cierpię za siebie i drugich, a ulga, której sama wyprosić sobie nie mogę, jeśli kto wymodli, przychodzi mi tylko bezpośrednio od Boga. Cóż mnie? Ach! smutno, smutno za tych co kochali i życiem żyli a teraz, kochali nie mnie jedną, nie mnie wybraną, ale stałam na ich drodze i wychyliła się miłość ich na mnie jak na wielu, wielu, bo obfita była i niestała o kroplę. A teraz wyszła dla mnie jak dla wszystkich.

Kochani, czemu niektórzy, bardzo małe gronko, a w niem i ja jestem, nie uczestniczy przywileju człowieczeństwa, niczego nie zapomina i nigdy się nie zmienia? Prawda, jam już umarła, ależ oni żyją, a może i oni pomarli. Może dlatego miłości we mnie nikt nie rozumie i każdy prawie mówi: zimna. Kochani, nikomu za złe nie mam, kto mnie kochać przestał, bo okropnieź to chłód śmierci czuć w uścisku. Okropnie kiedy upiór kocha. Najdrożsi, najmiłsi, wszyscy moi, moi, odstępście odemnie, bo darmo kocham, szczęścia ni odrobiny

pociechy nie przyniosę nikomu. Odstąpcie aby was chłód grobu nie zdrętwił. Ależ dlatego kochać nie przestawajcie. Są na świecie i święci i dobrzy i piękni duchem jak anieli pańscy. Zgarną się do was skoro miłość przeczuja. Szczęście nie kiedy nas kochają, ale kiedy my kochamy. Nie zamierzajcież duchem. Gdybyście wiedzieli jak wy piękni kiedy kochani. Gdybyście wiedzieli jak was kochają, jak wy potrzebni biednym ludziom i biednej gwiazdce, jak się ona zwraca i ciągnie ku wam i woła myłostyny, och! miłości jak jałmużny. A co dacie, skarbem się wam stanie, życie wam da i piękność i będziecie jak po niebowzięciu.

Kochani, kochani, jakaż wieść od was, padłam na kolana, nie wiem prosząc czy dziękując, będzie więc ktoś co przygarnie sieroctwo twoje, co pokocha i popieści w każdej chwili życia. Wielki Bóg, wielki! Nie mogę dziś pisać, tylko wam oto błogosławieństwo poszlę, błogosławieństwo niegodnej grzesznicy. Ale jakiegoż Bóg nie przyjmie, błogosławieństwo na ciebie i twoją, z głębi serca, ze łzami błogosławieństwo.

A więc, o ożenieniu Bohusia nic jeszcze pewnego. Ależ bo to sarneczka dzika, jeszcze nim kartka wasza przyszła, po pierwszej chwili przestachu, niepokoju, radości co to aż dech zabija, pomyślałam sobie, nie uwierzę, aż się stanie, bo on wie co to wolność znaczy i niezależność tylko od Boga. Z waszej kartki możnaby sądzić, że jeszcze bardzo daleko do tego.

Jeśli kochasz, nie wahając chwilki, padnij jak długi przed Bogiem, podziękuj całą siłą ducha twego i idź, ale jeśli to tylko ożenienie z rozważą, że dobrze by mieć przyjaciółkę na starość, któraby długie i szare dni samotności cierpliwie znosić pomagała, chmurne usposobienie twoje rozpozadzała, rodzinne strony przypominała mową pieszczoną, toż długo trzeba patrzeć na przyszłą towarzyszkę, długo, długo, dopóki duch jej nie stanie się dla ciebie przeźroczystym jak duch Józefa, inaczej szaleństwo, bo miłość tylko jasno widzi i jak promień

kroplę rosy na wskrós odrazu przenika; rozum omackiem dochodzi prawdy musi. Miłość niedostatek każdy nadmiarem swoim zastąpi, niemoc pokrzepi, plamkę każdą łzami zmyje, rozum sądzi sprawiedliwością, a gdzie sprawiedliwość tylko tam miecz, musi więc przyjaciel zupełnie być doskonałym, aby jemu nigdy z pochwy nie wyblsnał. Kochając, ty dajesz, ty zapełniasz, przerabiasz w siebie, ty, jak rzeka wezbrana, zabierasz łąki i nikt już nie ujrzy czem one były, czem one kwitły kiedyś, tylko białe lotacz rozkołysze się wkrótce na fali, jakby tam wody od wieków płynęły. Ale kiedy nie ty kochasz, tyś potrzebny, ubogi, szukaj wielkiego bogacza, coby cię w blask miłości swej odziewał, przypatrz się zbliżka każdemu z jego skarbów. Czy złoto czyste, czy tkanki miękkie i czy ich starczy na życie całe, bo swego zasobu nie masz, a na dwoje stać musi? Skarga nasz powiada: gdzie Sakrament i cnota, tam zawsze bywa miłość. Prawda, ale toby się tylko mówić powinno do tych, którzy wskutek nierozwagi, nieszczęścia lub dobrowolnej ofiary już przyjęli krzyż, cięższy niż go Bóg zwykle ludzkim ramionom daje. Wtedy i ja wierzę, że wytrwanie, cierpliwość, radość w uczuciu, że się na nich wola Boża spełnia, słodycz ściągają zawsze cudowną łaskę miłości, która im ku wielkiemu podziwieniu świata, dla którego się to wiecznie niepojętą zagadką zostaje, życie im rozświeca i łatwiejszem do zniesienia czyni. Ale w nadzieję tego cudu miłosierdzia, obarczać się nad siły, nie jestże to kusić Boga? Mówię to wszystko na przypadek gdyby ci, uchowaj Boże, przyszła rozpaczna myśl, rzucić się w tę przepaść co ją marriage de convenance zowią, na które po polsku i nazwiska niema, chociaż tego nieszczęścia więcej u nas niż gdziekolwiek. Całem sercem, całą duszą pragnę dla ciebie wytchnienia już z samotności, ukojenia tej wiecznej twojej tęsknoty za przytuleniem, pieszczotą, wyrozumieniem, za pewnością w każdej chwili, że jest ktoś co kocha i nigdy nie porzuci, że jest gdzie głowę skłonić i choćby zapłakać, nie już tylko

na kamieniu posadzki kościelnej. Ach! biedni wy, biedni, kochani moi, dlatego na pierwszą wieść o ożenieniu Bohusia, tak gorąco podziękowałam Bogu. Wy pewnie kochani jak mało ludzi na ziemi. Ale cóż potem? Wy tego nie czujecie i to nie wy jedni tylko ślepi w tym względzie. Jeden z was szczególnie niema wiary w tych, co go kochają i ja mu się nie dziwię, bo i ja mam skłonność do tej choroby serca, potrzebuje koniecznie aby go ktoś tulił, cieszył, koł; takie to delikatne, czułe na wszystko co boli, tak się to już splotało, tak zziębło, biedne na świecie jak dziecię porzucone samo jedne w chacie przez matkę co na pańszczyźnie pod biczem oprawy. Biedni wy, biedni, któż was otuli, chustami ogarnie, łezki zcałuje, w rączki zziębłe nachucha, na kolanach pokój da i dumkę do snu zanuci? Kiedy już z płaczu i nędzy odejda dzieciątka nasze? Kto ich wyniańczy, wyhoduje na lepszy świat nasze aniołki? Boże mój, Boże! A jeśli brata anioła zesłał wam Bóg w miłosierdziu swoim, nie wyrwywajcie się dzieci od niego, wy dobrzy i pobożni, przeczujecie go pewno, wyciągnijcie tylko rączki, a on popieści, że i już poczujecie jak głodno i chłodno na ziemi. Kochani, kochani, jak mi się płakać chce.

Z domu, 16 listopada 1844.

Jak mi nie na rękę, kochani, że się zepsuł dotychczasowy porządek. Zamiast listu co miesiąc, od trzech ledwieście jeden mieli. Nie bardzo w tem moja wina. Zaszły były przeszkody, o których pisać trudno. A że znikły mi po części, znowu zaczynam maczkiem do was pisać, moi wy, moi. Naprzód zarzucam wam ramiona w koło szyjek na przywitanie, tak już dawno nie tuliłam się do was. Moi wy, moi rodzeni, nigdy wy wiedzieć nie będziecie ani wy, ani kilkoro was jeszcze na tym świecie jak wy kochani. Aż się po zmartwychwstaniu dowiecie.

Wywiązałam się w tych czasach dopiero, z obowiązku

względem Grabowskiego¹⁾. Po smutnych wypadkach tegorocznych mało się gdzie wychylał z domu i spotkać go nie mogłam. Aż przecie dała mi znać Genusia²⁾, że przybył do niej z żoną i wyruszyłam pomimo okropnej listopadowej drogi, zamieci i śloty. Znalazłam go zmienionym bardzo. Zmizerniał, schudł, żółtkł aż żal patrzeć. Skorośmy na gawędę zostali sami, zaraz na pierwszym wstępie opowiedziałam dawną kłótnię moją z Bohdanem o niego, jak na niego powstawałam zawzięcie, jak on go bronił, jak na drugi dzień posłałam go pokornie przeprosić za niesprawiedliwe moje posądzenie przyjaciela. „Cóż mi pani tak bardzo zarzucałaś, kiedy to było jeszcze przed tegorocznym wydarzeniem?“ To samo co się tem wydarzeniem objawiło, bo duch ducha czuje. Potem opowiedziałam, że uroczyście obiecałam Bohdanowi zbliżyć się pierwsza do niego. „A więc pani li tylko dla dotrzymania tej obietnicy przybyłaś?“ Nie zupełnie, jeszcze myślałam, że może pan potrzebować będziesz kogoś przychylnego, kiedy świat nasz cały powstał przeciw niemu. „A więc i przez litość?“ Nie śmiałam mu powiedzieć, że mi go żal, bo są ludzie dobrzy i pobożni, którzy przecież nie rozumieją jak to czasem za bliźniego krwawo serce boli i urażają się jak to za nich cierpi, jakby miłość mogła ubliżać komu. Niech tego nikt za przymówkę nie bierze. Nietylko na dowód, że są którzy wyrozumiewają błąd jako rzecz ludzką, a nie sądzą zawczasem o celach, jakkolwiek użyte środki niepozwolonymi się im zdają. „Kiedy bo ja wcale nie przyznaję się do błędu, postąpiłam podług przekonania mego i sumienia“. Tu wywody co i dla czego. Zawsze ten sam co dawniej. Wszystkie swoje stare wyobrażenia broni do upadłego, ani nawet przyznaje, aby go okoliczności zmusiły kiedy do ich przesadzenia. Wszystko przyjmuje na karb swego przekonania, bo na dnie w ostat-

¹⁾ Michała, przyjaciela Bohdana z lat młodych.

²⁾ Proskurzyna.

nich wynikłościach. tych potępianych zasad widzi raj najcudniejszy, jak wymarzyć można. On i my coabyśmy choć w niektórych wyobrażeniach zjednoczyć się z nim chcieli, kręcimy się w błędnym kole, bieżym po równoległych drogach, widzimy się ciągle, ale nie spotkamy nigdy. Wymyślił sobie, a co gorzej nam, jakieś szczęście osobliwsze, wyrachowane, konwensyjne, oparł je, on taki pocziwy i kochający, na wierze martwej, która się miłością nie rozlewa, on tak szczery katolik, na wierze protestanckiej suchości, która nie budzi do życia, ale umarza w człowieku, co tylko nie jest wyrachowaniem rozumu. Wymyślił szczęście nie w jedności, ale w przeciwnościach, nie w miłości, ale w rozumie, w jakimś jarzmie duchowem, chińskiem czy indyjskiem, ale pewnie nie Chrystusowem. Nie znam człowieka, któryby tak do wyobrażeń swoich nie był podobnym. To szczęście straszliwe, nieubłagane jak fatum, zamrożone, nieruchome jak wieczność Trentowskiego chce nam koniecznie narzucić. A jakże nam mieć za złe, że go żadnym sposobem nie chcemy. Wolim tysiąc razy, wolim biedę.

Własne idee stanęły mu przed oczyma jak widziadła i cały świat rzeczywisty zakryty, szedł na oślep, nie wiedząc wcale co jest w koło niego, przekonany, że nic niema prócz głupstwa. Cóż dziwnego, iż uderzył się o mur, w którego istnienie nie wierzył? Niewypowiedzianie szkoda tego człowieka, bo wielkiej pocziwości ma serce, jak może na siebie całą winę ściąga, przyjaciół i znajomych co sił broni, opowiada jak mu przyganił, kiedy się już złe stało. Dopóki ciągle żył w stosunkach z ludźmi pocziwego zdania, których od dziecka nauczył się był kochać, nieznacznie modyfikowały się jego wyobrażenia, przynajmniej ostateczności nie sięgały. Ale kiedy długie lata przetrwał wyłącznie z ludźmi swego sposobu myślenia (a nie łatwo ich wynaleźć, bo oni tu u nas pod wyliczeniem) ustała równowaga i poleciał w przepaść nieszczęśliwych konsekwencji swego systematu. Bronić go teraz nadzwyczaj trudno, bo nie podniesiono się na niego za pojedyn-

czą czynność. Zbierała się burza przez lat trzy najmniej, w miarę jaśniejszego wykładania wyobrażeń jego, a wybuchła na rozwinięcie ostatnich wynikłości. Nie mogło stać się inaczej. W świecie umysłowym dość stał wysoko. Głośno o nas radził. Musieliśmy mu zaprzeczyć i jednym głosem zaprotestować przeciw twierdzeniom jego i życzeniom dla nas. Nie, stokroć nie, nie chcemy. Przejdzie lat kilka i uciśnie wszystko. Przypomną zasługi, dawne prace, wysiłki; przypomną, iż za błąd swój gorzko przecierpieć musiał i zwrócić się ku niemu, nie wątpię, bośmy nie mściwi ani pamiętni urazy, choćby dobrodziejstwo, którem nas obdarzyć chciano, ciężkie było jak kamień młyński.

Biedny on, biedny. Alboż to nieludzka rzecz błądzić i nadto zawierzyć sobie? Kiedy Bóg sam kierować miłością naszą nie raczy, alboż się nie zdarza, iż do usposobienia przedmiotu, miłości zastosować nie umiemy i dręczym go tylko? Czasem na śmierć umęczym. Czyż to się nawet matkom z dziećmi nie zdarza? Biedny, on biedny, bardzo cierpieć musi, znać to po nim, chociaż nie wiem, czyby się do tego chciał przyznać. Wypytywał mnie bardzo o Bohdana, o najmniejsze o nim szczegóły. Złe robi, mówił, że przed ludźmi ucieka. Potrzeba jemu koniecznie rodzinnego życia. Czemu nie żeni się? Powierzyłam mu komis do Jankowskiego, spełni go zapewne. Przez parę wieczorów gawędziliśmy, on, żona jego, Genusia i ja do drugiej w nocy. Między innemi rzeczami była mowa i o mistycyzmie¹⁾. Opowiadał bolesne wrażenie, jakiego doznał kiedy wkrótce po przeczytaniu kilku pisemek w tym duchu, kiedy jeszcze świeżo miał na pamięci owe fata morgana, wywołane władzą geniusza, ujrzał niespodzianie w rzeczywistości owoc tych marzeń uroczych, jak zwykle bywa, kiedy wyobrażenia służy niepohamowanej żądzy szczęścia na ziemi. Spotkał się z młodzieńcem, który zwaryował na tym punkcie

¹⁾ Towianizm.

i odgrywał na seryo parodię tego co się działo za czasów przyjścia Chrystusowego. Nie wiem czy każde powstanie kacerstwa wzbudza w wiernych tak głębokie uczucie przerażenia i politowania? Czy każde tak jasno i oczywiście jest niedorzecznością? Ale wypowiedzieć nie mogę do jakiego stopnia idzie u nas zdumienie nad niemądrością tej nauki. To też wołam na wsze strony, żeście się jej nie tknęli. Nie pojmują jak wierzyć można w religię, która do rozumu nie przemawia, bo żadnego rozbioru nie wytrzyma, ani do serca, bo chociaż ciągle o czuciu i miłości prawi, pokory w sobie nie ma ani miłosierdzia, ponieważ gwałtowne środki za godziwe uznaje i dopusty Boże nieraz bierze za natchnienia Boże, nawet jaka gra wyobraźni olśnić nie może, bo w odłamkach, piękności jakie posiada, jest tylko namiętnem, skarykaturowaniem naśladowaniem obrazów, jakie przedstawiać musiał czas przejścia ze starego do nowego Zakonu. Żądza wrażeń, ta moralna choroba naszego wieku, przerobiła go na długą sztukę teatralną. On nie wyrabia ducha swego wprawdzie, nie dąży do wskazanej nam, a zawsze niedostępnej doskonałości Chrystusowej, do której jednak, ile sił, każdy zbliżyć się musi, nie czuje prawdziwych wrażeń, aż w ostatnich głębinach istności swojej, owych bólów i rozkoszy dziennych ducha, który ukształca siebie, rani, ścieśnia czy rozprzestrzenia wedle Boskiego wzoru, który wie, iż koniecznością jest ta praca, bo jedyną do zbawienia drogą, który więc w tej konieczności rzeczywistość czuje niewątpliwie tak głęboko i gwałtownie, iż ciężaru tych wrażeń ledwie unieść może i skonania jak wytechnienia czeka. Wiek nasz nie skruszył siebie w pokorze, dziki, niewyrobiony w sobie, powierzchnia musiała pozostać niekształtna. Wrażeń woła, wrażeń; własnych, osobistych nie mając, któreby, pod pewnym względem, zawsze nowe były, bo do nowej indywidualności zastosowaną prawdą musi szukać odbicia na zamałowaniu próżni, która mu wewnątrz wyjada. Stawia więc wyobraźnię swoją w stosunku do wszystkiego

co było, bo tego co jest w próżni swej nie czuje, a co będzie nie do człowieka należy. I cieszy się, smuci czy unosi obcem sobie, martwem odbiciem, jakby własnem życiem sam przed sobą komedye wygrywa i na tyle tylko prawdziwie czuje, na ile się aktor na teatrze rolą swoją przeniknąć zdoła. A że ciężka to praca wmawianie w siebie obcego życia, biedna wyobraźnia na ulgę, od przedmiotu do przedmiotu przechodzić musi, dlatego tak mało jest jednolitości w życiu pokoleń dzisiejszych, to jest europejskich, bo u nas, chwała Bogu, rzeczywistość uchowała większą liczbę od tej zarazy.

Wyczerpawszy całą prawie przeszłość, przyszło z kolei aż do czasu przyjścia Chrystusowego i trzeba przyznać, że nieźle wybrano. Błogo być musiało tym, którzy na przyjście zbawienia Izraela oczekiwali. Błogie uniesienie tych, co nań patrzali, błogi obraz Jana św., każącego na puszczy i wskazującego na boskiego młodziana. Znudzonym umysłem, jako przyjemnej podniety do czynnego życia, zachciało się zachwycenia. Dogadzała nowa myśl pysze godnością nadludzką, w jaką przyodziewa pierwszych zwolenników trzeciego Zakonu i nie tyle odpowiadała pojęciom o piękności, jak zadość czyniła temu, czego wielce żąda od piękności, ziemskiego szczęścia, ćwiczenia sił umysłu, jako warunku koniecznego do szczęścia, wzruszenia, wzruszenia i jeszcze wzruszenia. Nie idzie im wcale o pewność, czy ta piękność jest istotnie świetnością prawdy, to jest czy istnieje rzeczywiście, na tyle im rzeczywistości potrzeba, na ile złudzenia w dekoracjach teatralnych. Zupełnie jak dzieci kiedy grają w króla i królowę. Oj! Rychter może sam nie wiedział jak straszliwą prawdę zawiera jego utwór, a raczej jego kopia z natury Roquelaure. Po ludzku mówiąc, na to zdziennienie umysłu, na ten sen na jawie, jedno jest tylko lekarstwo: dotkliwa rzeczywistość, któraby wstrząsła do głębi, ze snu zbudziła, siły męskie wywołała i nauczyła różnicy między marą a prawdą. Oby Bóg dobry łagodniejszego sposobu użyć raczył na ocucenie ich ze snu śmierci. Wielka nę-

dza ludzka, większa niż ją mowa ludzka wyrazić umie, większa niż ją rozum ludzki pojąć może.

3 grudnia.

Chciałabym, kochani, przenieść duszki wasze w nasze gronko, abyście choć troszkę pożyli z nami. Ależ to życie tak jednostajne, tak zupełnie prawie bez zdarzeń, że nie wiedzieć jak je wam opisać. Dla okropnej drogi, a bardziej dlatego że sami odwiedzamy mało, a więc i nas nie odwiedzają, nikt prawie nie zajrzy do nas. Smutno między nami, bo Irenka coraz opada na siłach.

Dzięki Panu, że go czysty duch chwalić będzie wkrótce bez trwogi i boleści. Wiem, że więcej zasługi kiedy kto walczy długo, ale też niebezpieczeństwa dużo, upadek tak łatwy. Smutno, smutno, a za ten smutek i zapłaty nawet nigdy nie będzie ani mnie, ani moim, bo on już nie zasługą.

Ot dusza chora.... Do Chrystusa nie śmiem oczu podnieść, bo nie podniosłam serca, nie umiem kochać w nędzy mojej i tylko płaczę jak mi kto o nim wspomni, a na same wyobrażenie ziemi, drzę i głowę tracę, bo na niej grzech mój, grzech moich, grzech wszystkich. Boję się jej do szaleństwa, bo do szaleństwa słabość moja, którą czuję, jak istotę moją czuję. Bóg cuda czyni, to cała pociecha, cała nadzieja, cała siła moja. Radabym tę kartkę na czemś wesołym skończyć. Ale nie mogę, najmilsi. Może przyszły list weselszy będzie. Radość, wszak to dar Ducha św. Oby się obficie na was zlewał, kochani, najmilsi. Bóg z wami na zawsze.

5 grudnia.

Już wyjeżdża ta kartka. Czemu ja nie literka, nie słówko? Aby mnie ona przyjęła, zawinęła sobą, osłoniła, żeby nikt nie widział i zaniósła do was! Ach do was, do was, raz tylko pocałować w czołko, pogłaskać po sercach, pokolysać duszki i znów do domu, na pracę.

Bądźcie zdrowi i spokojni, łaska Pańska z wami, moi wy, moi rodzeni.

Nisia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 30 lipca 1844.

Chociaż bardzo niepewno, czy trafi do ciebie ta kartka, posyłam ją, Kiciu, ot tak sobie. Niech ciebie szuka po Warszawie, a kto wie, może i wynajdzie moją biedaczkę i zanieś jej wieść o gniazdku.

Przyszła wiadomość, że Bohdan się żeni, i za moich czasów kleiło się to i ja namawiałam jak mogłam, ale nie uwierzę aż się stanie, bo to z Bohdanem nie tak jak z każdym. Serce mi o niego drży. Boże natchnij.

Ufajmy, Bóg dobry i wie co robi. Pokój tobie i łaska Jego na wieki. Pisz, zmiłuj się, i ja będę pisać, skoro gdzieś pewnie adresować będę mogła.

Bóg z tobą, gołąbko moja słodka.

Dyżcia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich ¹⁾.

1 września 1844.

Czemu, ty mój Józefie drogi, cierpisz na ciele i duszy? Za grzechy? Nauczonom Pismem świętem, aby tak nie myśleć. Wszyscy wprawdzie grzeszym i św. człowiek Hiob grzeszył pewnie także, a jednak strofował Pan przyjaciół jego, że cierpienia, które mu zesała brali za karę. Wszak kara większa lub mniejsza w miarę żalu i miłości Bożej. Któż wie-

¹⁾ W tym liście Józef jest zwanym Justynką, a Bohdan Zosią.

dzieć zdoła od kiedy ci już może Bóg odpuścił wszystko? A teraz może się tylko wije twój wieniec jasności na przyszłe gody Pańskie? Co lepsze z dwojga, czy dumanie, jeśli ono łaską, czy cierpienie, jeśli karą za grzechy? Osobliwsze pytanie. Jużci zawsze cierpienie, bo i kara za grzechy doczesna tu na ziemi nieocenioną jest łaską. Oczyszcza, udoskonala, wrota niebios otwiera i mniej niebezpieczna niż owa druga łaska, z którą ostrożnie trzeba jak z ogniem. Wszystko dobre co z Bożej ręki, ale co boli, najlepsze, bo to szczególne przybranie Chrystusa, znamie Jego. Nieprawdaż, Józefie? Otóż i zadanie rozwiązane.

A Bohdan co znów cichutko, a tak rzewnie grucha? „Śpiewną towarzyszkę, z którą dłoń w dłoni przeigrałem tyle miłszych lat, pożegnałem jeśli nie bez żalu, to doprawdy bez wyrzekań“. O najmilszy! Co ci się marzy? Myślisz, że porwały się struny dlatego, że milczą. A kiedyż to one na rozkaz twój brzmiały nie czekając Ducha z wysokości? Duch wieje kiedy i gdzie chce, ale niedosłyszeć go można. Może u ciebie nadto gwaru, może świat wdarł się do świątyni twojej i jękiem napelnił, w którym bez pomocy Ducha pieśni chwały wyrozumieć nie umiesz? W Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, niech łudzące mary znikomości, które rzeczywistością zwą ludzie, rozdmuchną się na wspomnienie prawdy Bożej, jasnej, wiekuistej. Niech serce twoje rozwinie się na przestrzenie, jak step nasz bez końca, niech porośnie miękką, świeżą, gościnną trawką ku spoczynkowi znużonym, a pod nią niezliczone pokłady szczątków tego, co walczyło i cierpiało, niech śpią spokojnie, czekając ranka zmartwychwstania i cisza niech padnie jak mrok na mogiły, a uczujesz jak przeciąga „Duch niby lekki wietrzyk“ i zaszumią wszystkie władze twoje, jak niegdyś. Cisz, tylko ciszy, cisza to po chwilowem zapomnieniu w wirze świata, opamiętanie się, że Duch jest i nie myśląc, nie rozumując z mocy samego przypomnienia tego wzbicie się nad

ziemią, w krainę pustą, równą, gdzie wszystko już w przeszłości niby po śmierci, na spotkanie Ducha, bo wiedzę mamy wrodzoną jakimi drogami on wieje po otchłani. Tym, którzy nucą ziemskie rozkosze i katusze, przerwie się pieśń, kiedy zużyje się narzędzie tych rozkoszy i katuszy, cała ta budowa nasza nerwów i zmysłów. Ale pieśń prawdy Bożej wieczną jest jak Duch, który ją pojął. Dawid nie w młodości, ani w szczęściu śpiewał, ani nawet w uczuciu prawości swojej. On śpiewał, o ziemię rzucony w starości swojej, syt wzgardy siebie i zniewagi od swoich; tylko mu prawda Boża lśniła i on ku niej miłością się wznosił i śpiewał, bo każdy śpiewa kto kocha. Och! drogi, kochany, popatrzno tylko jak Bóg nasz piękny. A zaśpiewasz mimowolnie, jak mimowolnie promieni woda, kiedy słońce na nią wyjrzy.

Trzeba kartkę wysłać, bądźcie mi zdrowi, kochani. Bądźcie błogosławieni, do serc waszych tuli się biedna

Nisia.

W przyszłym da Bóg liście, odpowiedź będzie dalsza na różne wasze pytania. Cała gwiazdka posyła wam stąd serdeczne pozdrowienia, posyła wam biedna w tym ciemnym ludzkich uczuć i posępny lesie, bije się w nim nieraz, radaby już wynurzyć się zeń na światłość Bożą. Ale trudno. Bóg niech będzie z nią i modlitwa wasza.

Do pani Konstancji Rzewuskiej.

Tahańca, 6 października 1844.

Nie rozumiem, Kostunieczko moja, gdzie się listy moje podziewają, że ich nie odbierasz? Trzeci wysyłam do Berlina, twoje dochodzą wiernie, co nie przeszkadza, że między jednym a drugim, nieraz dość na niepokój czasu zostaje, bo cichutko szepce coś w myśli, była zdrowa kiedy pisała, ale to

już temu dwa tygodnie. Jednak, Kiciu, widok drobnych liter twoich na kopercie zawsze powodem jest wdzięcznego podniesienia ducha do tego Boga, który nas karmi tą pociechą jak ptaszki ziarnkami. Teraz bardziej niż kiedy czekam kartki od ciebie, bo to jesień, zła pora dla ciebie i zaczynałaś mniej się dobrze mieć niż w lecie. Broń Boże choroby, nikogo z twoich koło ciebie.

Jabym cię chciała, Kiciu, choć na chwilę przenieść do Pielawy¹⁾, żeby się twoje oczki ucieszyły widokiem moich kwiatków. Tyle ich mam, że się nie zmieściły w oranżeryi, przy bawialnym pokoju i nową ogromną oranżeryę buduje już mamcia opodal, za ogromną. Niewypowiedzianie przykre mi to robi wrażenie, kiedy przyjemność dla mnie kosztuje tyle pracy i czasu biednym ludziom. Wiem, że się im, chwała Bogu, krzywda tem nie dzieje, jednak czemuś nieznośnie boli, że im znój na to, żebym ja kwiatki miała. Nie śmiałem w oczy im popatrzeć, kiedy pracują. Ale zaczęli bezemnie, potem mamcia się tem zajęła i czy chciałam czy nie, stanęła oranżerya. Niech Kicia nie myśli, że same mam fiołki jak przeszłej zimy. Ogromne pomarańczowe drzewa przybyły mi z za Dniepru, gaik z nich mam, pocziwe fikusy, które biedy i niewygody moje w starej chatce dzieliły, wzięłam do bawialnego pokoju, bo ciepło lubią i ładnie z nimi. Zresztą, Kiciu, nic się nie zmieniło w domku od twego wyjazdu. Klasztorna cisza i praca zawsze panują, jam tylko od jakiegoś czasu wygnanka. Daryusz i August wyruszyli na wybory do Kijowa, przy ojcu ich niema nikogo, muszę więc te trzy a może cztery tygodnie przy nim przepędzić. Ten pierwszy zupełnie mi przypominał lata mego mieszkania w Tahańczy, bo całe towarzystwo moje zostało w Pielawie¹⁾. Ranek, jak dawniej, do mnie należy, bo ojciec na przejażdżce. Po obiedzie, cała na gawędce albo czytaniu z nim. O 9-ej się rozchodzimy i długi wieczór mój samotny

przy wiecznie palącym się tym samym kominku. Wiele to życia mego, myśl po myśli, modlitwa po modlitwie, upłynęło w tych nocnych godzinach. Owoce po niem nie zostało nikomu, poszło w jakąś przepaść bezdenną, może tylko powiększyć ciężar win moich.

Kostuniu, co ty porabiasz w zimnym, prozaicznym i filozoficzno-spekulacyjnym Berlinie? Czy mniej się nudzisz niż ja się kiedyś nudziłam? Czy masz znajomych i jacy? Czy wiele na powietrze wychodzisz? Czy haftujesz, czy czytasz? Na twojem miejscu wiesz co bym robiła? Wzięłabym metra rysunku, przez zimę jest czasu dość na pracę i skorzystać mogłabyś wiele, bo dar masz, tylko użyć go trzeba.

Moja najmilsza, proszę mi, jak to dzieci sobie donoszą, godzina po godzinie, skrupulatnie opowiedzieć co Kicia robi: wstaje o tej godzinie, ubiera się drżąc z zimna, wychodzi, wraca, je, śpi, duma, pracuje, odwiedza, zwiedza, słowem wszystko do najdrobniejszych, najbłahszych szczegółów.

Coby ci o nas powiedzieć, Kiciu? Odechciewa się gawędzić na wspomnienie, że listy gdzieś przepadają. Wprawdzie niewiele jest o czem, bo u nas, na tyle różności na ile jej mamy w śnie, czy marzeniu, bo to nawet co boli, wiecznie jedno a jedno. Grzech i skutki jego, u siebie, czy u drugich, zewnętrzny świat nasz zawsze jednaki.

Bądź zdrowa, najmilsza, droga, niech cię anieli Pańscy strzegą i otaczają zawsze.

Całuję moją duszkę, moją gołąbkę, moją kotkę, miłą, słodką.

Dyżcia.

¹⁾ Majątek pani Poniatowskiej.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa ¹⁾, 12 października 1844.

Dużo dziś pisałam i późno już bardzo. Jednak ponieważ chcę, aby Kicia co tygodnia regularnie wieści o nas miała, przecieram oczki i każę im się otwierać koniecznie i spać nie chcieć, póki choć słówka nie nabazgrzę. Wszyscy zdrowi...

U nas, Kiciu, tak jak ci się o nas śniło. Cicho, spokojnie, może tylko nie tak nadzwyczajnie, przyjemnie, chociaż dla mnie nieraz błogie są chwile, kiedy Bóg czasem pokój zeszele, albo kiedy się w pracy tu w mojej Pielawie kochanej zapomnę.

Na 9-ty²⁾ byliśmy wszyscy w Tahańczy, ja z całem mojem młodem gronkiem, które przy odgłosie moich i Leokadyi mazurów, wyskakiwało do jedenastej tak ochoczo i zapamiętałe, że aż wstrzymywać musiała ten szlachetny zapal. Moje gronko nahasawszy się do woli, pokotem na sianie przykrytem dywanem, jak za ojców bywało, wyspało się do rana. A teraz mi znowu po celkach szyje, pracuje. Mamcia, Junia, Irenka w Tahańczy zastępują mnie przy ojcu Daryusza, a ja przybiegłam na dzionek do siebie.

Dobranoc, Kiciu, gołąbko moja, anieli święci niech cię strzegą i w snach i na jawie, cieszą, pokrzepiają, uświęcają. Twoja

Dyzia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 19 października 1844.

O ty, niecnoto, a kto ci pozwolił starszą siostrę zdradliwie podchodzić, intrygować po świecie z rozmaitemi ludźmi,

¹⁾ Majątek pani Dyonizyi Poniatowskiej.

²⁾ Dzień imienin pani D. Poniatowskiej.

żeby moją czarną sukienkę biedaczkę koniecznie paradną zastąpić? Z czyjej to łaski, jedną razą, ku podziwieniu Tahańczy i Stepaniec, okażę się od stóp do głowy przybrana, jak *peau d'âne*, w szaty *couleur de l'air du temps*? A widzisz, poznałam kto mnie tego figla wypłatał, choć ty z Cezią mówicie, że ja się nigdy niczego nie domyszę.

Moja Kiciu, moja Kiciu, co się tobie marzy? Na co mnie te stroje? Dziś wróciłam z wycieczki w świat, która mi się ledwie pięć, sześć razy do roku zdarza. I na czymże ona zależy? U sąsiadki przy kominku przesiedzim dzień albo półtora, we dwie albo we trzy, poszczebioczem i koniec, i znowu każda u siebie na tygodnie i miesiące się zasklepia. Jeśli Bóg pozwoli, tej zimy ani się wychylę z zakątka, pełno mam zajęcia w domu, daj tylko Boże podolać, a na świecie nieprzydatnam nikomu. Czemuż mam się po nim darmo kręcić? A więc cóż ja ze strojami zrobię? Zmiłuj się, tego mi więcej nie rób, bo, jak cię kocham, nieznoszonych mnóstwo mam różnych rzeczy i tylko pozleża się wszystko.

Możesz ciekawa, gdzie to ja tak po świecie latałam. Muszę ci powiedzieć. Trzeba naprzód, żebyś wiedziała, że naszych panów wszystkich jak wymiótł, żywego ducha w całej okolicy, wszyscy na wyborach w Kijowie. Korzystam więc z tej sposobnej pory, kiedy Darcia niema, a zatem sam jeden w domu zostawać nie będzie i objeżdżam sąsiadki, już po raz ostatni na całą zimę. Zaczęłam objazdżkę od Stepaniec, gdzie zastałam Kazimierza Dachowskiego; młodziutki chłopczyk tylko co z uniwersytetu, zdaje się, że będzie pocziwego coś z niego. Potem wyprawiłam się do Montrezorowej, gdzie ile mogłam, wstrzymywałam Dudzie w zapędzie ku Wschodowi.

Trzecia moja wizyta była u Genowefy (Proskurzyni). Nadjechała do niej Jankowska i we trzy obsiadłyśmy kominek. Było tam swiergotanie jak kiedy wróble zlecą się w dzień zimowy na jaką strzechę, było o dawnych czasach, o Antonowie, o Rudymsele i panu podkomorzym, o olbrzymach dre-

wnianych i czerwonym roku, bo Jankowska z naszego gniazda; potem było o Bohdanie, Genusia o szczegóły się wypytowała. Gwarzyliśmy długo, aż ciężko na sercu się zrobiło, jakby grzech dręczył, ale Kiciu, czy można się tak mylić. Pomieszałaś, nie Józef żeni się, ale Bohdan. Jeszcze co pobalamucisz? Czy odebrałaś i czy oddałaś list mój do niego?

Adieu, koteczko, dobranoc. Niech duszkę Bóg błogosławi i od złego chroni. Niech da duszce pokój i radość Ducha św.

Dyziu.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Tahańcza, 26 października 1844.

Co się z tobą dzieje, Kostunieczko moja najmilsza, może przypadkowo tylko na której poczcie późnią się twoje listy. Dręczy jednak kiedy kilka i kilkanaście dni minie bez wieści o tobie, tembardziej, że coraz chmurniejszy i zimniejszy listopad, pewnie nie najlepszy wpływ wywiera na twoje biedne zdrowie. Czy wychodzisz na powietrze? Czy możesz piechotą duże spacerować?

Ja, Kiciu, zasklepiona już dość dawno w Tahańczy, nie dlatego żebym chora była, ale czemuś i na myśl nie przychodzi, że wyjść czy wyjechać można. Ani wrodzona ruchawość, ani nadzieja przyjemności jakiej nie wypędza z domu; potrzeby, chwała Bogu, niema. Dotąd całe gronko nasze mieszkalo w Tahańczy. Teraz wszyscy wrócili do Pielawy i koło ojca Daryusza zostało tylko nas troje, Karol, Daryusz i ja. Oczywiście czytamy wieczorami, resztę dnia on jeździ. Daryusz gospodaruje albo mu towarzyszy, a ja próżnuję, próżnuję ciałem i duszą. Zdaje mi się czasem, żem w jakiejś otchłani, nie myślę, nie czuję, zatarła się nawet pamięć życia. Nie wiem czy to grzeszny stan nieczynności, ostudzenia, czy może łaska Boża, wypoczynek na dalszą podróż, aż słowo jakieś czy

wspomnienie obudzi i znów snuje się ta sama nieznana, co się i ze śmiercią nie przerwie, bo przyszłe życie to skutek obecnego.

Dziś miałam wielką pociechę. Natrafiłam na te słowa w św. Teresie: „Il me semble que de tous les services que nous pouvons rendre à Dieu, il n'y en a point qu'il estime tant que de lui acquérir des âmes par l'ardeur des piéres qu'il nous inspire de lui adresser pour obtenir leur conversion“. Kicia się może zaśmieje ze mnie i powie, a któż nie wie, że za bliźnich dobrze się modlić. Prawda, Kiciu, że ja to niby wiedziałam; ale są dni, w których potrzebuję koniecznie aby mi ktoś święty prawdy Boże powtórzył, bo niedowierzam pamięci mojej i rozumowi w sposobie rozumienia ich. Ażeby jaka czynność zasługą się nam stała, trzeba aby jej pobudką jedynie była miłość Boża. Czy ja wiem czym zaczęła choć odrobinę Boga mego kochać? Takam niesilna przeciw złemu, tak nie pracuję na chwałę jego, tak obowiązków nie spełniam, gdzież mogę myśleć, że Chrystusa kocham. Jestem jak roślina przyrosła do ziemi, którą łaska jak wichler nieraz miota, ale wyrwać z ziemi nie może, bo na to własnej woli potrzeba, któraby z łaski korzystać nie zaniedbała. A wola u mnie martwa. Kiciu, niech się kto przez miłosierdzie pomodli za nas, za mnie i resztę grzesznych na ziemi. Niech już nie znieważamy, nie biczujemy Chrystusa. Przepraszam duszkę za tę spowiedź, była nasunęła się jak mgła czarna na serce, to się napisało.

Adieu, moja siostrzyczko, moja własna rodzona, niech opieka Boża będzie z tobą. Ani ty wiesz, jakbym ci wszystkiego złego oszczędzić chciała. Są ludzie nawet kochani, dla których się nie boję cierpienia, a inni o których drzę za najmniejszą im boleścią. Ty i mamcia z tych liczby jesteście. Moja, Bóg z tobą. Kocha ciebie i pieści.

Dyzia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 5 listopada 1844.

Serce mnie boli, najmiłsza moja Kiciu, że się przerwał dotychczasowy porządek i że cały przeszły tydzień przeszedł bez listu od Dyzi. Nie z mojej to winy, moja koteczko, bo w domu mnie nie było. Pomimo okropnej drogi, zamieci, przeraźliwego zimna, jeździłam na dni parę do Gruszowa¹⁾, bo mi znać dano, że Grabowscy tam przybyli. Miałam do nich interes dość ważny i chcąc czy niechcąc, odbyłam tę podróż. Zastałam Baniewską, której dzieci tylko co koklusz od- były i Grabowskiej dzieci kaszlały także, na ile się znam, złym sposobem. Pojechali też na Korsuń Tryczla się radzić, a mnie aż mrowie przechodzi, tak się boję, aby się koklusz do mego domku nie dobrał, bo dzieci jak maku, a niektóre bardzo małe. Nie wystawisz sobie co się u nas dzieje. Zupełnie, jak to mówią, że i pieska z domu nie wygonić i to z małemi przerwami oddawna już. Nikt też nie wyjeżdża oprócz mnie, która wedle mego przeznaczenia na wszelką słotę i bezdroż muszę być w podróży. Dziś jednak tak straszliwie dmucha, że nie miałam odwagi puścić się do Tahańczy. Pragnę niewypowiedzianie osiedzieć się w domu, trzeba mi nawet tego koniecznie, a wyrwać się na trochę dłużej z Tahańczy nie mogę. Biedny ojciec Daryusza tak sam jeden, tak się nudzi, tak splinom podlega, że zostawić go rozmyślaniom i wspomnieniom niepodobienstwo. Wzdycham za Cezarostwem, którzyby może zlurowali nas przez jakiś czas. Przepraszam, Kiciu, że cię temi kondolencjami nudzę, ale mi dziś tak zimno, tak zwinęłam się przed tą popielatą pogodą, że mi się nie pożądańszem nie zdaje jak cichutkie siedzenie w domu. I czemuś pisać mi się nie chce, może dlatego, że wszystkie cztery łapki zmarzły i myśleć nie chce, choć ogień

¹⁾ Majątek pani Genowefy Proskury.

na kominku, i nie nie chce tylko kaprysować jak Maryleczka. Żeby ty wiedziała jak moim biednym nowoposadzonym drzewkom zimno, jak drżą przed oknem, a wpuścić ich do ciepłego pokoju nie mogę.

A ty, co ty porabiasz, mój kwiatku, przesadzony także? Czy bardzo tam w Berlinie obco i zimno? Czy bardzo samotnie, moja ty ptaszynko? Czy nie gorzej, duszka moja chora? Dla mnie twoje listy zawsze za krótkie, moja, a ty długich pisać nie możesz, najprzód dlatego, że to zmęczenie wielkie dla ciebie, a potem, że karteczkami wielu obdzielać musisz. Adieu, kończę, bom dziś nieznośna jak szarobury dzień Adieu, Kiciu, jedynaczko, którą kocham zawsze, czy ładna czy brzydka pogoda na niebie i w duszy.

Adieu, Bóg i łaska Jego z tobą.

Dyzia.

Do Bohdana Zaleskiego¹⁾.

Z domu, 15 stycznia 1845.

Martwo u mnie jakby i w przyrodzeniu było, gdyby wiochom pod grzechem Bóg wiać zabronił, a jak przez duszę, pomimo zakazu, przeleciał czasem po dawnemu, ciężko po nich i ciemno jakby przekleństwo zostało. Do niczego ręki ściągnąć nie śmiem. Słowo zachęty dla drugich, coby grzeszne nie było, szukam i szukam w sercu i znaleźć nie mogę, nie wiem co robić na świecie. O niebie wiele wiem, wiele, ale droga do niego tu przez ziemię znikła mi gdzieś z oczu, tylko klasztorną rozumiem. Już nawet nie tęsknię, ani płaczę jak dawniej. Zawsze mi ruchomo, tylko czasem niby rozpalone żelazo przytuli się do serca, rzucę się mimowolnie, bez pa-mięci, boli czas jakiś, potem znowu martwo jak kiedyś, tylko

¹⁾ Pod adresem pani Konstancyi Rzewuskiej.

trudniej obudzić. A mamcia biedna, któraby się zagryzła, gdyby prawdę o mnie wiedziała, ciągle powtarza: pisz, jakby to nakazać można. Na lenistwo, na skrupuły składa to, że mi się niechce i martwi się. Aby ją zaspokoić trochę, zaczęłam znowu niby to jakąś powieść. Nigdy nie wypowiem co to dla mnie za pańszczyzna. Żegnam się siadając do stolika i gorąco proszę Matki Boskiej, abym nic złego lub przeciwko wierze naszej nie pisząc, potrafiła jednak zapłacić jakie parę kartek mamci na zabawkę wieczorną, bo zwykle kładąc się spać pyta, czy jest co gotowego i nie lubi kiedy niema co przeczytać, tym sposobem bazgrzę i bazgrzę coś bez treści ni związku. Cała moja nadzieja, iż jak sułtanka w tysiąc i jednej nocy, zawsze do jutra koniec będę mogła odkładać, aby nigdy do druku nie przyszło. Darujcie, kochani, że was drobnutką będę moją zajmuję. Komuż się poskarżę jeśli nie wam.

22 stycznia 1845.

Gdyby o was więcej trochę wiedzieć niż to, że żyjecie. Czy błogo wam czasem w samotności waszej? Czy natchnienie nawiedza? Na jakim wy szczeblu między niebem a ziemią? Czemu ja nie święta i jak Jakób na kamieniu, usnąć nie mogę aby to dojrzeć? Nie wie duch mój gdzie pójść aby was spotkać. Zawsze u Chrystusa prawda. Ale i tam różne są krainy bliżej i dalej. Jedni głośno na chwałę mu śpiewają, drudzy ochoczo owieczki mu zganiają, inni zwolna doń ciągną pokaleczonemi stopami, innych nie słyhać ani widać, i on jeden wie o nich, tak w proch przypadli milcząc, rzucawszy u nóg jego pomarłe dzieci swoje. Gdzie wy? Gdzie wy, rodzeni moi? Tęskni serce moje za wami i pocieszyć się po was nie może, jak się nigdy jeszcze po niczem nie pocieszyło i zapomnieć o was nie może, jak jeszcze nigdy nic nie zapomniało bo wiecznego złączenia u Chrystusa pragnie, pragnie bez końca. Ale pobiedz do was tu na ziemi nie śmiem żądać, bo wielu płacze i wielu błądzi. Nie czas spoczynkowi. I ja pla-

czę i ja błędę, gdyby dla mnie i dla moich litość czyja uprosiła łaskę u Pana. Wszak tyle w życiu modliłam za bliźnich.

Wyprawiam 23 stycznia 1845 po naszemu; dziś, kochani moi, napisałam była dla was kartkę o dość ważnej rzeczy, którą chciało mi się koniecznie abyście wiedzieli. Ale owa cnota, o której utrzymują, że św. Franciszek Salezy mawiał: nie wiem co mi ona zrobiła, ale jej nie lubię, powiedziała: spal zaraz i zostały tylko popioły po niej. Czas już niema co innego pisać, bo to dzień pocztowy. Nie na rękę, mi to bo kochani, drodzy, odbierzecie list z tak daleka, a w nim nic, biedni wy, biedni, kochani, własni, rodzeni. Żal mi tego białego papieru, który do was nie zapisany idzie. A byłoby go czem zapłacić. Zapelniam pocałunkiem mamcinym zwyczajem.

Bóg z wami, pokój i radość Jego. Jak ja was kocham, moi rodzeni.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu, 28 stycznia 1845.

Kochani, kochani, kto nie wie co dumka, nie wie co życie. Co to w niej za siła co umarłych wskrzesza. Uważaliście jak we krwi płynie gorąco, że ją w każdej czuć kropelce, jak w sercu na wskrós boli aż mdło, jak głowę niby woń upaja, że oczy na nie patrzeć nie mogą tylko w nią, w jej świat, co nieprawda że minął, nieprawda, nieprawda, dopóki kochamy nieprawda, a jak kochamy, sami nie wiemy, bo to przepaść bez dna. Czy tą miłością rozgrzejem kiedy innych aby ślepoty pozbyli? Czy tej miłości pokorną pieczęcią uczuje kiedy najukochańszy? Mniejsza, gdyby ją niezrozumiał i podeptał byle mu posłużyła, ale czy mu się zda kiedy na co? Czy serce tylko wypali i życie łzami wysączy darmo? Czy prawda, że

tak zupełna niemoc nasza? Alboć u Pana nic uprosić nie można? Wszak marzeń moich szalenie nie narzucam woli Jego. Między jego darami nie wybieram samowolnie. Wola rozumienia mego stopiła się dawno w miłości, co wszystkie inne ogarnia. Niech będzie dobro nie podług mnie, ale podług Pana, bo on lepiej zna od nas czego nam potrzeba, piękności pragnę najukochańszemu tak wzniosłej, jak miłość moja głęboka, czystości tak niepokalanej, jak bolesne uczucie niegodności mojej. Za pochodnię w oku, jasnowidzenia przyszłości tam w niebie i pokoju tak wiele, ile trosk i ciemności było mi w życiu, bo kocham naprawdę sercem i nie na krótką chwilkę chcę dobra najukochańszemu, ale na wieki. Wiara nie marzenie, ale rzeczywistość, pragnę całą istnością moją najukochańszego i gwiazdki mojej w niebie nietylko na ziemi.

Marzyć mówią szczęście. Marzyć i cóż marzyć? Jak oko w step przedemną równy, milczący, tonie bezmyślny duch mój w otchłani. Ażeby marzyć, punktu oparcia potrzeba, a otchłani dna niema. Step światoborców droga, na nim przechadzał się gniew Boga. I biedne człowiecze serce namiętności jak światoborców droga i na nim przechadzał się gniew Boga i powysypywał ślady, że je i łyzy nie spluczą. Łzy? Alboż one siłą? Że w złudzeniu zdają się nam niby roztworzeniem, niby zniszczeniem naszym, wierzym, że wiele mogą, że jeśli płyną toż dla wielkiego przeznaczenia, a owoc ich wiekami nieprzeżyty zostanie. Gdzie tam? Step nie zasiany nie rozbuja kłosem, choć rosa co nocy nań padnie, tylko porosną kwiaty i trawy różnobarwne, różnowzore, krasne i giętkie, powiewne jak fala, ku skwarnemu słońcu błysną dni kilka i poschną, a chleba z nich dzieciom Bożym nie będzie. Łzami popłyną myśli, przejrzą się w nich bracia po łzach i sami rozmiłują i rozżałują w sobie i dlatego jak dni ich przejdą, prawdy jak chleba nie zostawią po sobie i myśli ich w łzach powstałe, staną się jak zwiedła trawa, co tylko gadom na schronienie służy. Łzy, to błąd i niemoc jak serce, z którego

płyną, boleść to należność nasza rodzima, boleść — to my, nie potężniejsza więc od nas, nie nie sprawi i nie nie zbuduje, darmo rwie nam ducha, darmo, darmo. Slozy szczastia nie poprawlat i nie policzy, nie odpłaci je nikt, bo one niegodne tylko zapomnienia. I nieskończonej tej nędzy ulitował się Bóg i zstąpił na ziemię sam i zapłakał nie sobie, ale Ojcu w niebiesiech i ludziom dla Ojca, zapłakał całą istnością człowieczą, sercem, myślą, łzami i krwią aż skonał i stał się cud. W zoranem boleścią, pustem sercu człowieka leżało ziarno i moc daną była łzom jego, aby mu wzrostu dawały. Teraz każdemu z nas, niech sumienie świadczy czy darmo cierpi czy nie. Czy w obrzydzeniu złego, pokutne łyzy nasze ziarno zlewają by wzrosło ku niebu? Czy ziarno marnieje, a bujają kąkole, bławatki i osty, śliczne one nam wprawdzie i ślicznie nam świszczą w nie wicher stepowy, bo duch nasz je poznał, one własne nasze. Ależ biada, biada kto wieniec z nich sobie uplecie, kto dzikiem kwieciem skroń sobie przystroi. Biada, kto w łasce się nie odrodzi, a za rodzimem czuciem się chyli. Biada, kto sobie nie umarł, kto stworzenia Bogu nie poświęcił na skinienie Jego. Biada, kto wie, a nie pełni. Marna boleść i daremne łyzy jego, daremne, daremne. Boże, zmiłuj się nad nami.

8 marca 1845.

Biedna kartka leżała tak długo, oto doczeka się przeznaczenia swego i pójdzie do was. Jeśli tak późno, kochani moi, winna temu niemoc ciała i nieporównanie więcej, niemoc duszy. Co to zdarzeń przeszło od tego czasu! Co też się widziało, ile się ich przeczuło! Ile razy zwinęło się biedne serce jak listek papieru na ogniu, że na spopielatym znać wszystko co pisane było, ale dmuchnąć to się rozleci. A ja do was, kochani, nie mogę pisać jak do wszystkich. Z wami jest to niby spowiedź, przy której muszę w głąb siebie spojrzeć. A wiercie, rzadko się na to odważam, bo się przetwo-

rzyć chcę zupełnie, na lepszą, do niepoznania inną Nisię i boję się sama się sobie przypomnieć. Wiedziałam, że przez Brzezinę¹⁾ pieszczoszkę wieści o nas macie, że wam różne bazgraniny moje posłała, za co nawet połajaną została, bo na co wam znać wszystkie drobnostki opilek złego, które z życia lecieć codziennie muszą. Z daleka każda drobnostka straszną się zdaje i dręczy, choć złe już minęło. A jeszcze, tyle nas jest, to i tych opilek chmura, którzy między swojemi w tysiącach żyjem, przywykliśmy do tego ciągłego ruchu, co dnia jednego spokojności na marzenia nie zostawia. Wszelkiego rodzaju nędze i boleści, dobrodziejstwa niespodziewane, znowu trwogi, uroczyste chwile konania, modlitwy, prace, kłopoty nikną jedne po drugich bez przerwy i każde tylko przechodząc niby kreskę na sercu zostawia, znak niestarty i zawsze pokój, chyba jakaś uluda zawieje z młodości co przeszła, zamdli nad oczyma, aż zciemnieją na rzeczywistość i pomsta Boża zgryzotą wpije się w piersi, jak wąż co nie umiera, potem splanuje się długo, długo zmodli, burza i znów cicho. Przywykłym do pokutniczego życia waszego na pustyni od lat tylu, trudno już może i zrozumieć to nieustanne zajęcie nie w świecie, bo u nas świata niema, ale z ludźmi. Zdaje mi się, że nas, których widzieliście zawsze między obcemi, to jest wolnych i nie mających ręki do czego przyłożyć, ani wyobrażacie sobie w domowym naszym wirze. Zacznie nasze samotność znaczy, że z obcych nikogo latami czasem nie widzimy, ale rojami żyjem. Miesiące mijają, a książki niema czasu wziąć do ręki. Tęskno czasem do spoczynku, ale to złudzenie, tyle razy doświadczyłam prawdy, w którą dawniej wierzyć nie chciałam, że jedyne szczęście co wierne człowiekowi zostaje, to praca, trudna też chwila do przeżycia, kiedy i ona opuszcza. Kiedy niemoc przykuwa i pracą odganiać nie daje myśli co się nad nami pastwi, nie daje miłości wychylić z serca staraniem

¹⁾ Konstancja Rzewuska.

i usługą tylko samej w sobie wypalać się każe do śmierci, bez wątpienia przysłoby szaleństwo, gdyby nie modlitwa, gdyby nie czuła ojcowska opieka co wszystko przewidziała, na wszystko wiernym swoim zostawiła leki, co nauczyła, że wszystko w korzyść kochanym pójść może, nawet męka bezczynności, bo jak każdą inną mękę w cichej cierpliwości dać ją Panu można na okup. Marzenie nie pomaga, marzyć nie można, bo kiedy kto długie lata grzeszył, długie lata miłował nadto, jak nie pod niebem miłować niewolno, tak, że miłością swoją Bożą wolę zniewolnić i koniecznie błogosławieństwa doczesnego uprosić chciał. (Tylko najukochańszego myślałam, że tak miłować można, ale niewolno, nad wszystko wola święta Boża). Bóg mu za karę, nawet po nawróceniu, po zgodzeniu się z wolą Jego świętą, jakaby ona nie była w teraźniejszości i przyszłości, nie objawia widoków swoich nadzieją, tylko nieraz w ciemnej próżni porzuca, że ślepo za rozkazem jego iść musi rozumem, nie wiedząc gdzie dąży, aby dowiódł, iż bezwarunkowo i nad wszystko go kocha i ufa bez miary. Trudniej kochać po Bożemu niż po ludzku, trudniej kochać w prawdzie niż w złudzeniu, trudniej w rzeczywistej, ziemskiej, wiecznej niepewności o jutro, niż w szalonej wierze, iż budować można na wieczność. Trwanie do skończenia dni dane jest tylko Kościołowi Bożemu. Kto wierzy z kościołem, iż owoce dzieł naszych wieczności sięgają, ten prawdziwie miłuje, bo gwoli owoców tylko pracuje, to jest gwoli chwały Bożej i zbawienia bliźnich i praca jego straconą nie będzie, chociażby ludzkim oczom zdawać się mogło, iż ziemskiego celu swego nie dopięła. Ale kto w wieczność dzieła swego wierzy, temu dzieło nie środkiem jest, lecz celem, miłuje dzieło nie dla wyższej woli z podobki, której powstało, lecz ze względu jedynie na piękność jego. Własną pracę w tej piękności miłuje, nie Bogu i bliźnim, lecz sobie w niej służy i marność nadziei jego objawić się musi. Kochani, na co nam wiedzieć czy zejdzie zboże? Dość, że ziarno rzucać kazano.

14 marca 1845.

Na koniec, na koniec niech już ta kartka idzie do was, kochani. Własni rodzeni moi, jak ona was zastanie? Czy zdrowych, czy spokojnych? Czy radosnych w Panu, u którego boleść nawet dobrodziejstwem. Czy płaczących? Och! nie płaczcie, nie płaczcie, kochani. Niema za czem, ani czego, bo co dobre nie zaginie, chyba jak ziarno posiane zamrze, by kłosem się odrodzić. Nie płaczcie, bo Pan dobry wdowi grosz przyjmuje.

Samotnicy, pokutnicy, obciążeni bolem pokoleń, wam droga otwarta do stóp Chrystusowych. Wywalczyliście ją sobie równą i prostą, boście omamieniu góry nad sobą wzięść nie dali, boście światło nad błyskotę ziemskich obietnic przełożyli, kochanych dla Chrystusa opuścili. Szczęśliwi, błogosławieni, módlcie się za nas.

Na czołach waszych pocałowanie pokoju i miłości w Chrystusie składa.

Nisia.

Do pani Konstancji Rzewuskiej.

Pielawa, 14 maja 1845.

Chociaż już późno, muszę ci, Kicio, choć kilka słówek posłać, bo tamtej poczty wyręczyła mnie mamcia, a ty pewnie już myślisz, że bardzo chora. Troszkę niedomagałam przez czas jakiś, ale mi już lepiej i pierwszych sił zaraz używam, aby na ciebie z góry napaść. A kto naszym kochanym¹⁾ powiedział, że mnie pierś boli i oni kochani dręczą się tysiąc razy więcej niż to warto? Na cóż tyle zgryzoty zawczesnej, która im tylko resztę dobrej myśli wyjada? Niech się kochani moi nie martwią. Wszystko dobre co Bóg da, wszystko miło-

¹⁾ Józefowi i Bohdanowi Zaleskim.

sierne w porównaniu win moich. Bądźcie więc spokojni, widzicie piszę i robotę robię, choć to z prawej strony, a z początku nie mogłam. Oczywiście polepszenie. Smutne mi niezmiernie wasze udręczenie, wyrzucam je sobie, bo większe stokroć niż moje cierpienie i wyrzucam je sobie, jakbym je kłamała przed wami. Proszę nie myśleć, że leżę. Owszem, zawsze ubrana i gości przyjmuję i trudnię się jak zwykle.

Juńcia¹⁾ tu została, mało co już niższa odemnie, prosta, szczupła jak Boży dzień, czyta ani ją oderwać ni do muzyki, ni do rozmowy, ni do jakiegobądź zatrudnienia. Ni głowa, w której już po naszymu nerw boli, ni oczy już starczyć nie mogą, ona bez ruchu, bez mowy, czyta i czyta, bo jak rybka bez wody, tak ona nie swoja, skoro na chwilę wyjdzie z książkowego swego świata. Dziwne na mnie robi wrażenie ten mój Doppelgänger. Zupełnie ja lat temu czternaście; to życie tak oderwane od otaczającej rzeczywistości, ta ślepotą na wszystko, oprócz na abstrakcyę, to zamieszkanie od niemożliwości w jasnym jakimś świecie, gdzie granic niema żadnych, gdzie wszystko nieskończone, a jednak wszystko się mieści z prawa jedynie różnicy natury wyobrażeń, a wszystko czyste, wzniosłe, uroczyste, bo niby od doczesności wolne w pierwiastkowym swoim przed wcieleniem stanie myśli, niby jeszcze z tego świata nie na ziemię nie zstąpiło, nie się w pracy nie sponiewierało, nie upadkiem nie skalalo, tylko zdaje mi się, że Juncia dłużej dzieckiem odemnie. Ona dotąd patrzy i czuje, ale nic do siebie ani do nikogo nie stosuje. Żyje jak kwiatek w świetle słonecznym, pusta też, nieraz swawolna. Jam prawie nie zaznała pustoty i śmiechu dziecinnego, może dlatego, że z wielkiego dzieciństwa pozostało mi kilka wrażeń strasznego cierpienia, które nie później zatrzeć nie zdołało, które przymusiły do zwrotu na siebie, do uczucia indywidual-

¹⁾ Iwanowska, siostra pani Dyonizyi Poniatowskiej i pani Konstancji Rzewuskiej.

ności. Świat duchowy nie był to dla mnie piękny obraz tylko, jak nim jest dotąd dla Junci; było to, na przejrzystym Oceanie wieczności, żywe odbicie rzeczywistości ziemskiej, którą tam jedynie widzieć umiałam, w istocie jej doczesnej, prochem pokrytej, pomimo wszelkich moich usiłowań. a co więcej doświadczeń, nigdy jej dojrzeć nie potrafiła. Marzyłam też zawsze sercem, nigdy wyobraźnią i życie moje, obfite w boleści rozmaitego rodzaju, było niby długą zmorą serca. Strach przypomnieć, co to ja już w wieku Juni, widziałam prawd na tym czarnoksiężskim zwierciadle wieczności? Gdyby też choć jedno złudzenie, nic się nie ostało, przed jego światłem, ze wszystkiego co ludziom barwi i kwieci, choć trochę, tę ostrą drogę żywota i zasługi nawet niemam, że do niczego chciwiej ręki nie ściągnęłam. Stało mi się ono tak gorzkim doświadczeniem, że jak trucizną z nikim się niem nie dzieję. Ale za to co piękne w tem zwierciadle, piękne na wieki, bez skazy, bez zmiany i przesytu się nie boi i mgłą się nie rozwieje i zgryzoty, śmierci po sobie nie zostawi, tylko nadzieją przewodzi aż do stóp Chrystusowych, gdzie pokój.

Pierwsza młodość Juni i moja tak bardzo do siebie podobne, obaczysz, Kiciu, jak życie nasze różne będzie. Szczerliwsze ma usposobienie odemnie. U niej żywo będzie, gwałtownie, nieopatrznie. Ale skoro burza minie, śladu po niej nie zostanie, jak fala w pogodę, jasna będzie jej dusza. Tak u Świętych bywa, tak i u niej będzie, bo nie tak zbytecznie nie ukocha, aby w razie nieszczęścia rozsypała się jej istota, rozłożyła się na zawsze jak ciało po śmierci. Ciało zmartwychwstanie kiedyś. A dusza czy zmartwychwstanie? O nie, Bóg ją sądzić będzie wedle stanu, w jakim do niego przyjdzie, nie wedle początku, ale wedle końca życia. Anieli Pańscy, coście nie zgrzeszyli nigdy, módlcie się za mną grzeszną. Miałam, Kiciu, słówko tylko napisać i to na prędce, aż tu druga już kartka i żebyż to czego dobrego.

Przepraszam, Kiciu, duszko jedyna, poszedł wzrok w prze-

szłość i nie chciał odrazu wrócić. A tu już tak późno, dobranoc Kiciu, niech cię wszyscy błogosławieni Pańscy od złego chronią ciebie i twoich i naszych na Wschodzie i Zachodzie, Bóg z Tobą!

Dyzcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Tahańcza, 22 maja 1845.

Kłękni i pomódl się, Kostuniu. Biedny stary ojciec Daryusza¹⁾ już w Bogu. Ubyła pomoc i podpora wielu, ubył dzieciom cel życia. Pisałam ci już dawniej, że coraz się miał gorzej, coraz słabł na siłach, aleśmy jeszcze nadzieję mieli cieszenia się nim przez lata, tembardziej, że do ostatka chodził i wyjeżdżał. Wszyscy synowie, Cezarowa i ja byliśmy w Tahańczy i on codzień rozmawiał z nami, tylko mniej mu czytano niż dawniej. Bardziej niż kiedy pobożnym się zrobił, miłosiernym, łagodnym, dziękował służącym co staranie o nim mieli i w ciągłej był obawie czy komu natrętnym nie jest. Powtarzał, że radby już prędko umarł, bo nie może przemódz na sobie aby nie grzeszył, a nie chciałby Boga obrażać, że zdziennić się boi i cierpieć bardzo. I stało się, Kiciu, wedle życzeń jego, bo najprzypadniejszy umysł i zdrowy sąd o wszystkim i pamięć miał do końca. Nie cierpiał nic prawie, spowiadał się w ciągu choroby. W wilię śmierci wyszedł na galerię i wszyscy tam z nim byliśmy, bo tego dnia nie wyjeżdżał na spacer; nazajutrz ubrał się rano, długo bardzo się modlił, potem do niego zeszli się synowie i obcy nawet na kawę, potem pałac lulkę, zapytał Augusta czy napisał co mu był kazał, przyniósł papiery August i kazał sobie przeczytać całe rozporządzenie pogrzebu, przy którym zapis ubogim podyktowany przed rokiem,

¹⁾ Józef Poniatowski.

ale w którym przed dwoma dniami poddawał różne artykuły i położono go przed nim do podpisania, kiedy znużenie uczuł. „Idźcie sobie już trochę, bo usnę przed spacerem“. — „A kiedy pan pułkownik się kładzie, to się z nim pożegnaj, powiedział ktoś z gości, proszę mego syna pobłogosławić“. — „Teraz bądźcież zdrowi“ i za wszystkimi jak odchodzili, znak krzyża świętego zrobił. Został tylko Maurycy, który przy nim jak niańka był dzień i noc i jeszcze parę osób, aby go na łóżko przeprowadzić, tylko co głowę na poduszki skłonił, szepnął, „uduszę się“, podniósł go Maurycy w górę, wyleciał Józef Żółkiewski po święconą wodę, ledwie nią był czas pokropić, jeszcze Maurycy ręki z pod pleców nie wyciągnął, kiedy go już nie było. Bez cierpienia usnął prawie, dwóch minut nie trwało konanie. Kiedyśmy z Józefem wbiegli, już tchu nie było, leżał z wyrazem pokoju na twarzy jak święty. Zapewne zlitował się Bóg nad nim i przyjął do przybytków swoich. Rzecz to niewypowiedziana i rzadko widziana, jak wieśniacy i ubodzy płaczą za nim. Po śmierci jego dopiero poznać można było, jak szeroki był zakres jego dobroczynnego wpływu. Co to za ilość drobnej szlachty, którą on, w całym znaczeniu tego słowa, osierocił. A biedniż chłopci. Wszak to przez sześćdziesiąt lat innych ludzi z nich porobił, jak zaczął powtarzać, że ulepszać, udoskonalać wtenczas tylko skutecznie można, kiedy nadmiar mają dobra i zbytek zamilują. Tak, Kiciu, jak sama wiesz, ani podobna Tahańcza do reszty Ukrainy. Dostatek jakiego ani widać nigdzie i wyższe nierównie rozwinięcie umysłowe. To też głęboko czują swoją stratę, jak żeby oni nie kochali tego co wierzył i głośno wyznawał, iż aby w chwale ducha swego rozjaśnili, trzeba im tylko mniej nędzy i ucisku. Kiedy go na trzy dni w dużym bawialnym pokoju z odkrytą twarzą postawiono, przecisnąć się nie można było przez tłum co chciał „Iszcze oden raz naszoho pana pobaczyty“, koniecznie chcieli sami przenieść go do kościoła i ledwie zdołali synowie uprzedzić ich w tej ostatniej

usłudze. Wielki to cios dla nich wszystkich pięciu, dla których zerwało się ostatnie co do życia wiązało, dla których już teraz po świecie odnako błudyty, bo jak im źle będzie, niema komu i zapłakać.

Kiciu, i mnie po nim żal, tak żal, że i ze swoich i z obcych nikt nie wie. Jam cudza była, a on mnie za rodzoną przyjął, dzieckiem uwiódł mnie Bóg między nich zachmurzoną, nieufną jak niewolnicę, kryjącą myśl każdą w głąb siebie, by nikt nie dojrzał co w sercu się dzieje, jak z głazu zimną, że przylgnąć do nikogo nie mogłam. A on się zmiłował, niczem nie odstręczył, przytulił, przyhołubił, to też pewnie, och! pewnie nikt szczerzej po nim nie płacze. Brak mi jego w życiu strasznie, moja Kiciu. Oswoić się nie mogę z wyobrażeniem, że niema tu już pójść do kogo podziękować za dobrodziejstwa, niema u nóg czyich upaść, popieścić, rozweselić, niema komu usłużyć, dobrem słówkiem przypomnieć, że go ktoś kocha. Niech Panu będzie chwała, który pozwolił, aby nas widzieli i słyszeli ci co do niego poszli. Teraz on wie, że nie darmo tulił i że jakkolwiek grzeszne i złe przystało, serce moje do niego, jakby rodzone.

Wszystko w domu jak było. Krzeselko jego na miejscu swoim stoi i lampy zielone wieczorem się palą. Książki, które mu czytano, Psalmy Karpińskiego, na których zawsze się modlił, zużywane, jego ręką pozakreślane, tylko jego niema. Jawor, pocziwy stary jego pies, pamiętasz, za nic na poduszce swojej leżeć nie chce, szuka i szuka. Wszyscy chodzim jak błędni, szczególnie od kiedy przeniesiono ciało do kościoła. Jednak się nie rozjeżdżamy, bo się pogrzeb odbędzie, skoro przyjdzie pozwolenie złożenia go w sklepieniu przy żonie i pomarłych dzieciach.

Dla Daryusza, którego usposobienie tak okropnie smutne, wystaw sobie co to za przejście, jeszcze od naszego powrotu z Włoch biedny ojciec, jakby przeczuwał, że już niedługo z nim będzie, ani ukrywał całej miłości swojej dla

niego. Matka by więcej czułości i pieczołowitości okazywać nie mogła. Czasem bywało jak wie, że go znów melancholia dręczy, siedzi sam jeden w pokoju i łzami płacze staruszek, to pieści go, całuje, tłumaczy że co on sobie wyobraża to złudzenie, dowodzi, zaklina, aby mu wierzył, a potem jak widzi, że to nie pomaga, idzie i płacze. Doprawdy, Kiciu, w 85 leciach, kiedy obumierające ciało zwykle tamuje działania duszy; zachować takie serce, taką ciągłą myśl o drugich, tak jasne widzenie rzeczy, jak on je miał, to rzadkie błogosławieństwo. Kiciu, już to nie mówę mam pogrzebową, ale szczerze piszę. Do ostatniego dnia przybywało mu widocznie tak, że się z tego wszyscy budować mogli, cnót chrześcijańskich, cierpliwości, wyrozumiałości, pokory, wyrzeczenia, a nie ubywało nic z władz umysłowych, tylko na końcu powoli już bardzo i odpoczywając, mówił z osłabienia. Spodziewał się śmierci od wiosny, ze wszystkimi się żegnał, ostatnie rozporządzenia robił. Czasem jak na dzień jeden do Pielawy wyjeżdżałam, to mówił: „Wracaj, mam nadzieję, że się jeszcze raz z tobą obaczę“. Spowiadał się, często modlił, przypominał, czy on albo jeszcze ojciec jego komu czego winien nie był i hojnie restytucje robił, gdzie tylko cień mógł być podobieństwa, iż dłużnikiem został, a oszczędził mu Bóg przerażenia i bólu i pokus konania. Skończył przygotowany, a lekko jakby nagle.

Wiesz ty jeszcze jedną stratę naszą. Ciocia Jezierska porzuciła nas także. Przeziębła, spowiadając się w kościele Berdyczowskim, dostała zapalenia kości pacierzowej, w kilka tygodni sparaliżowało ją zupełnie i przemęczywszy się czas jakiś, z zupełną przytomnością przyjęła Sakramenta i skończyła. Ona także ucieczką była i pociechą całej rodziny.

Kiciu moja, ciebie już przerażać musi zawczasu każdy list odemnie. Ile to ja ci już śmierci oznajmiałam. Nie wesoło też u nas, ale spokojnie. Stań się wolo święta, pójdziem i my do nich. Oby rychło u Chrystusa się zgromadzić.

Kiciu moja droga, Bóg z tobą i z twojami. Bodajbyś i ty 85 lat żyła, a życie twoje pełne było miłości i zasług. Przyciskam cię do piersi i całuję w czoło.

Dyzcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 15 czerwca 1845.

Późno w wieczór przypomniałam sobie, że to dziś dzień pocztowy. Przypadam więc do stolika, aby choć kilka słówek nabazgrać. Gdzie ty, Kiciu, od ostatniego listu z Berlina na wyjeźdźnym pisanego? Niemam nic od ciebie, a ty już dawno do swego Badenweiler dostać się musiałś i pewnie pustelnicze życie prowadzisz, po mojemu w Schwalbach, bo po tych zakazanych mieścinkach żywego ducha zwykle niema. Ale ci może bardzo źle z tem nie będzie, lato i kraj śliczny, Ren niedaleko. Czy też tobie, Kiciu, kąpieli morskich czasem nie każą?

Wróciliśmy na mieszkanie do Pielawy; ogromnie liczna nasza osada i pracy wyżej głowy. Samych dzieci moich i na pół moich z jedną przykidką od mamci i Juncią trzynaścioro. Wystaw sobie co za gwar i bieganie i pluskanie w Rasawie. Niewiem jakim cudem wytrzymuje do tej pory galerya na górze, gdzie namiotek postawili i one tam, jak niepogoda, idą szaleć. Ale proszę wierzyć, że to tylko zrana i wieczorem. W dzień cicho, słychać muszkę jak leci. Wszyscy przy pracy, starzy, młodzi, smutni, weseli, bez wyjątku i to od rana, prócz dzieci co tylko biegają po rosie. O szóstej cały dom na nogach, bo praca to spoczynek tym, którzy się długo z marzeniem swoim bili, posiłek tym co omdlewali, mniemając, iż niema już na świecie ręki do czego przyłożyć, leki na wszystko co boli. Musi być potrzebną, konieczną, kiedy Bóg jej tak obficie dostarcza wszędzie i zawsze, jak wody na ochłodę.

Staram się ile sił, tak wszystko ułożyć, abyśmy nie wyjeżdżali stąd przynajmniej do jesieni. Ale Bóg jeden tylko wie, czy bieda jaka znów nas nie wygoni.

Nic nie dowierzam przyszłości. Bóg każdym miecie po ziemi, jak chmurami po niebie, jak piaskiem po stepie. Nie dobrze aby się człowiek wkorzeniał, przylegał do czego, bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie. I nie tylko śmierć. Ach! pracować, byle darmo nie jeść chleba, byle Pan widział, że radoby się jemu służyć, gdyby się umiało i gdyby się godną było. Jak o chleb powszedni, tak i o pracę powszednią tylko na dziś prosić trzeba. Dziś tłumnie, gwarno, ludzi, dzieci pełno, jutro żywego ducha może nie będzie. Kto wie? Bóg prowadzi, to pewnie dobrze, módlmy się tylko, abyśmy z pod ręki się jego świętej nie usuwali, kiedy nas przez ostre kamienie i ciernie prowadzi.

Trzeba mnie kończyć, bo późno. Adieu, koteczko, łapki twoje najmilsze całuje.

Dyzia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Pielawa, 19 czerwca 1845.

Wyspacerowałam się dziś cały ranek po gospodarstwie, oporządzałam pokoiki gościnne w oficynie, zrzucałam jakieś tam stare szopki co mi na zawadzie stały, a upał 32 stopni w cieniu. Teraz na odpoczynek idę do Kici na pieszczołkę, jak niegdyś do Brzezi na jabłuszka czerwone, pamiętasz z owego koszyczka wiszącego na ścianie, co to mnie się zdawało, że on z natury zawsze pełnym być musi, choćby jak z niego tyrolki wyjadać. Ty, moje jabłuszko kochane, słodkie, rumiane, czemu ja ciebie dostać nie mogę. Ot, tak, bym tylko ciom i puściła, niechajby się sobie znowu do Badenweiler pokociło. Czyś zawsze sama? Czy może kogo ze znajomych

spotkałaś? Mnóstwo naszych za granicą tego roku. Może i Józef w tamtych stronach będzie, ja myślę, że u wód morskich, naprzykład w Ostendzie, bo wiele osób lekarze tam wysyłają.

Kicię tulę do serca i Marylątko. Bóg z wami na zawsze.

Dyzia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Gniazdko ¹⁾, 4 sierpnia 1845.

Jak dziecię, wyciągam do was ramiona, trzeba mi was, trzeba. Trzeba mi, żeby wam zimno i pusto nie było. Trzeba naszego stepu, wiośnianego słońca i wiośnianej trawki i wiośnianych ptaszek i serc, z któremiby wam nie było samotnie. Ach, na to wszystko głową byście może potrząśli tylko. Czego innego wam trzeba, czego nie masz na ziemi. Wody z rajskiego źródła, miłości w Chrystusie, co wiedzę daje i uspokojenie, tego trzeba co nie wiem, niegodna, czego imienia nawet nie znam. Czasem, jak strzała, wskrós przeszyję widzenie tego, co się z kochanymi dzieje. Dopiero was tak ujrzałam i nie wiem jak z ciałem i z duszą nie uniosłam się do was. Otóżby niespodzianka była, kochani? Jedną razą przez okno wlatuje ptaszek. Och! gdyby to, gdyby z zieloną gałązką. A poglaskalibyście gościa? Nasypali siemienia? Oj, bołą, bołą nad oczami łzy niesplakane, niechaj już popłyną.

Gniazdko, 25 września.

Długo, długo nie pisałam i ani się nawet tłómaczę z tego. Wy wiecie, że Nisia zawsze gotowa dzielić wszystko z wami, ale nie zawsze można. Mamcia chorowała nam długo: dwa miesiące z łóżka nie wstawała, teraz, Bogu dzięki, zupełnie się dźwignęła. Po dawnemu pracuje, niezmordowanie, karmi,

¹⁾ Kuryłówka.

odziewa, krzepi, naucza, ale wszystko to siedząc ciepło i wygodnie w gniazdku, bo jej długo jeszcze niewolno będzie narażać się na trud i niepogodę. Pocziwy Dr. Stankiewicz ciągle przy niej, jakby rodzony jej pilnował. Czy mówiłam wam kiedy o nim? Wystawcie sobie, że minione lata niby nie były dla niego. Daleko był od swoich, ożenił się, stracił żonę i dwoje dzieci. Wszystko to spelzło na nim jak cień co mija. Żeby to jeden zmarszczek na czole, jeden włoszek siwy, jedna myśl przykrego doświadczenia. Wesoły, mowny, wszędzie mu dobrze, z każdym dostateczny, ma zajęcie ducha, bo większą czuje potrzebę wylania się z umysłowymi swymi zasobami, niż zacerpnienia wyobrażeń, czy siły u drugich. Złe to zwykle usposobienie, bo odzwyczajają od ciągłego patrzenia na duch bliźniego. Nie oznajamia się człek co chwila z uczuciem jego, z potrzebą i wartością zasklepiiony we własnych ideach. Szczególnym jednak przywilejem zdaje się, że to usposobienie Amilkara moralnie mu nie szkodzi, dla cierpiących zawsze otwarte ma serce, tłumami ubodzy i chorzy oblegają jego siedzibę. Nie wiem tylko, czy równie by ogarnął miłosierdziem i duchowe nędzy i niedostatki. Wyobrażenia nieugiętej sprawiedliwości starego Zakonu, nad którym tyle dni i nocy przedumał, nie złagodził jeszcze pojęciem miłości, w której od śmierci Chrystusowej taje sprawiedliwość. Niedosć rozumie do jakiego to stopnia złych kochać wolno i trzeba, nienawidząc złości. Dojdzie kiedyś i do tego, bo pragnie światła, a Bóg dobrej woli błogosławi. Ale tymczasem kiedy kto zgrzeszy z tych, których on wielbi, aby nieoderwać od niego serca, co mu się sprawiedliwym, a więc koniecznym zdaje, ucieka się do zaprzeczenia winy. I tak dotąd, pomimo powieści świata całego, pomimo zdrożności, które sam oczami swymi po dziennikach czyta, wierzyć nie chce błędom Pawła. To być nie może, oni go nie rozumieją, na niego wymyślają, chyba sam usłyszę, uwierzę. I z innych powodów także uporczywie nie wierzy.

A ja sobie myślę: Oj ludzie, ludzie. Czy nie więcejby

w was miłości było, gdybyście się zatrwożyli o kochanego, pomnąc na ułomność ludzką i ze łzami pokorne modły do Pana o światło posłali, jakże oto cieszym się w sobie, ufając sile człowieczej, a on ginie bez pomocy modlitwy waszej.

Uważaliście kiedy jak to nieszczęście przyciąga, pysznić się kochanemi. Dopuszcza Bóg zawodu, aby się nikt na doskonałościach ludzkich nie opierał. Jedni miłują dla zarodu dobra w kochanych, co się rozwija tu do końca życia, a w całej piękności błysnie dopiero po zmartwychwstaniu. Miłość ich w widzeniu jest tego co będzie w pragnieniu, w pracy, w nadziei, jak strzała w niebo wypuszczona, bodzie w górę. Na ziemi nic nie pragnie, niczemu się nie dziwi, niczem się nie zraża. Muł własnymi rękami obłuszcza, obłuszcza, bo wie, że kiedyś aniola pod nim odkryje, bo Bóg nasz dobry kamienia nie poda, kiedy o chleb go proszą i sama z siebie muł obłuszcza, obłuszcza choćby do żywego ciała przyrósł, aby jak nadejdzie chwila przemienienia, razem uwielbieni polecili pokazać Panu, jak przez łaskę jego świętą, ubielili dla niego szaty, jak skrzydła umuskali, jak w miłości ku niemu niby gwiazdka w dzień biały gdzieś zatonała i znikła miłość ich człowiecza. Na co ja wam powtarzam wieczną piosnkę moją? Jak wilga w brzozowym naszym lasku, co jedną tylko umie i jedną co wiosny wyśpiewać tysiąc razy musi. Ale nie śmiecie się ze mnie ubogiej, to tylko porównanie do drugiej miłości, bo inni znów w przeczucie przyszłości oblekają terażniejszość, złote pyłki wyobraźni tumania im nad oczyma i tak im w złudzeniu miło, iż pozbyć się go niechcą, choć nieraz aż żal patrzeć na duchową nędzę ich kochanych, tak niby świetnie odzianych. A rozbije z czasem maryl twarda, nieużyta prawda. Po gorzkim zawodzie rzadko miłość pozostaje cała, bo ta miłość szukała szczęścia, które jak minie, zwykle nie wraca więcej w tem życiu. Nie szukała dobra, którego w skarbnicach łask kościoła bez miary jest dla najgrzeszniejszego,

z Amilkarem ¹⁾ jednak tak nie będzie, bardziej chrześcijańskie serce ma niż rozum, tylko z doświadczeniem zmieni się wiele teraźniejszych jego teoryj i krokiem dalej ku doskonałości postąpi. Czemu to zawsze prawie krok ten pożądany boleścią okupić musim? Zmartwieliśmy, kamieniem oblokła nas doczesność, do żywego zaciąć potrzeba, abyśmy uczyli.

Gniazdko.

Od kiedy mamci lepiej, schodzimy się po dawnemu na gawędkę. Kobiety z robotą, mężczyźni, ktoby myślał, że po wielkich trudach, nic nie robiąc, na odpoczynek. Na środku dużego bawialnego pokoju, mamcia w ogromnym zielonym fotelu prawie leży i pstry ornat wyszywa. W koło niej różnego koloru włóczek moc i nieodstępne niskie świece w maleńkich lichtarzykach. Ona promotor różańca, wszystkie kwestye rzuca i sama gawędzi i drugich do gawędki pobudza. Najszybsze, najsprzeczniesze opinie na jaw wydobywa i ścierać się im każe, wszystko rozwijać, wszystko dowodzić i tylko główkę odwraca i niby mówi: nie lubię, nie lubię, kiedy pomimo jej usiłowań wlecze się rozmowa. Nie znam nikogo coby tak wierzył w iskrę elektryczną w moralnym świecie. Tuż na niskim tabureciku Nisia w czarnej swojej żałobnej sukience z uciętymi włosami, także szyje ornat i zwykle milczy, słuchając co drudzy gawędzą, a czasem co przeszłość jej długa, jak dzieje całego świata, rozmnożona w czucia wszelkiego rodzaju, niby w serca każdego z ludzi z osobna, na wskrós wichrami przewiana, spląkana, sterana, pogrzmiewa w łonie ku przyszłości co się z nieba chyli i patrzy w lica jej czy jasne, czy blade, czy krwawe i drży mimowolnie. Panie, stań się wola twoja. Naprzeciw przy drugim stoliku Antosia ²⁾ siatkę przypięła, słucha i sama z dawnych czasów coś przypomni. Ale niech liść

¹⁾ Doktor Stankiewicz.

²⁾ Linowska, siostra Bohdana Zaleskiego.

zaszeleści za oknem, z niedowierzaniem patrzy po nas i lży się jej w oczach kręca. „Wy się zawsze przedemną kryjecie, a któż go kocha więcej nademnie, na rękum go wynosiła, wyhodowała z siostrą jak własne swoje dzieci“. — „Antosiu, bój się Boga, a któżby cię zwodził? Czyż my tobie wrogą, żebyśmy ci dobrowolnie tak płakać dopuszczali?“ — „Może mnie się tak zdało“. I lży ociera, biedna. Przed nią na krzeselkach ciocia Jaczewska, Amilkar i Jeżowski rozprawiają, jeden w szczególności się wpatruje, nieraz się oderwać od nich i ogółu objąć nie może, takiego figla mu płała nadto bystra i nadto ciągle pracująca pamięć. Drugi znów tak na ogół tylko ciągle patrzy, że w ogromie nikną mu jednostki zupełnie i zapomina prawie, że z nich właśnie ogół składać się musi. Jeden żywo, wesoło płasza sobie nad ziemią, drugi powolnie, uroczyście, niby z górnych stref młodzieńczem słowem przemówi, chociaż piąty krzyżyk dawno już minął. Do ich rozmowy, ojciec z cygarem w ustach po pokoju chodzi, ascetyczną jakąś świętą myśl dorzuci. Daryusz niby słucha, a modli się po cichu. Juncia słuszna, wiotka z czarnymi trochę wpadłymi oczami, ciemnymi włosami, pogodna a poważna ukradkiem książkę jaką pożera, bo jej niedość słuchać, ona razem i posłucha i przeczyta, a mamcia woła: Juncio, daj pokój biednym oczom, na całe życie przecież potrzebne, niech choć godzinę czasem wypoczną. W koło pokoju dzieci gwarzą przeglądając obrazki.

Czasem zajedzie sąsiad. Nowinki, jedni się żenią, drudzy się jak muszle po domach zasklepiają, że o nich ni słycho, inni o zbiorach tylko myślą, inni żony dręczą tak, że o tych męczarniach świat dziwy opowiada, szczęśliwy, że kosztem bliźniego zabawić się może. To znów żony się wyzwalają i innego rodzaju dziwy wyprawiają. Niektórzy na zabój filozofują, jak pajak nić swoją, Boga z siebie samych wysuwają, a innego znać nie chcą. Gdziekolwiek dom cały na arystokratyczno-artystyczno-lwiej stopie, ale takich mało. Reszta modli się po cichu, ostatniem dzieląc się z ubóstwem.

O literaturze, o której u nas tak gwaro było przed kilku laty, ucichło bardzo. Wielka jest liczba ogłuszonych wielkiem imieniem filozofii. Zawsze się boją dość wagi do niej nie przykładają, a zatem za barbarzyńców nie uchodzą. Jeśli rozumowania jej dobrze nie pojmują, wynikłości jego za to bardzo dla namiętności ludzkich zrozumiałe, doskonale do życia stosować umieją. Tygodnik przestał prawie być literackim, bo teraz rozpościera tylko nudy Listopada, z których oświadczył uroczystie, że nam ni kartki nie daruje, a że ich jest dwa czy trzy tomy, cały rok upłynie nim do końca dobrnie. Zawiadomił nas niedawno o mającym wyjść z druku poemacie X. H... Dzieciątko Jezus, zapowiadając wcześniej, że p. R. będzie mu winna ustąpić pierwszeństwo, ku wielkiemu by to było podziwieniu czytającej publiczności, bo trudno się podobnego arcydzieła spodziewać po autorze legend. Dziwno, że poemat ten cały jest prawie na podstawie podań nieznanujących się wcale w Ewangeli. Obaczymy, czy znowu powstaną ci co się tak oburzali na najprostsze obrazowanie zdarzeń podanych przez Ewangelię, które w kilku słowach wzmiankowane, musiały się jednak rozwijać we wszelkich warunkach ziemskiej rzeczywistości. Niezmiernie smuci się H. . . ., że go niektórzy posadzili o recenzję wysłał niegdyś pod pseudonimem Kostrowice, całą duszą z rodzajem zgrozy się jej wypiera, bo nikt nad niego bardziej p. R. nie wielbi. Cieszy się nią, do serca przyjmuje, nie znajdując w niej nic przeciwnego wierze naszej i wszelką przyznając wolność obrabiania świętych przedmiotów, byleby się duchowi, w którym nauczał, nie sprzeciwiały, za zdrożność już ma, bo się je wcale nie za artykuł wiary daje, jedynie za pobożne wystawianie sobie po ludzku każdej nieopisanej nawet chwili pobytu Pana naszego między nami. Wedle rozumienia H. . . . jedno jest tylko miejsce w całej p. R. . . . gdzie jak mówi nie dopatrzył się poeta wykładu kościoła. Ojcowie święci inaczej smutek Najświętszej Panny tłómaczą, inszy mu powód dają i pociecha w tym ra-

zie nie od św. Józefa przyjszyby mogła, który znał, iż nie posiada pełności wiedzy i łask, jaką Bóg Maryę obdarzył.

Z domu ¹⁾, 23 września 1845.

Otóż znowu Nisia u siebie, dziatki porosły, pokraśniały a dobre, doprawdy dobre. Może Bóg wejrzyć raczy i na sługi je swoje przyjmie. Dla niego muskam duszki jak umiem, z plamek ocieram. Szeroko serca bez miary roztwieram dla tych co płaczą, a dla siebie uczę jednego tylko pragnąc gorąco, męczeństwa. Aby jak przyjdzie godzina tej łaski niewysławionej, powitały ją w uniesieniu dziękczynienia i łzami radości. Wielkież bo to wielkie szczęście nieść krzyż Chrystusowy i wielka chwała oblec, jak on, szatę pośmiewiska i wielka potęga, jak on, posłusznym być do śmierci, nie komuśmy obrali, ale komu kazano, w pokorze na pospolitych ścieżkach ręka w rękę z najniższymi i niczem się od nich nie różniąc. Westchnijcie czasem do Pana, aby pobłogosławił raczył te kwiatki co mu hoduję na równianki do jego krzyżów nad drogą.

Wyjeżdżałam parę razy znajomych odwiedzać. Zmniejsza się ich liczba znacznie. coraz Bóg kogoś do siebie powoła. Módlmy się, ale nie smućmy. Jeśli wiarą dane jest człowiekowi nietylko poznanie siebie, Boga i stosunków nędzy swojej do jego wszechmocnego miłosierdzia, lecz jeszcze przyrodzoną zdolnością, choć po części, ducha braci swojej znać, oceniać może i stowarzyszać się z nim miłością, toć zapewne nie dla korzyści tylko krótkiego mieszkania naszego na ziemi, lecz dla spójni kamienia z kamieniem w kościele, którego budowa tu, a trwanie i chwała tam, gdzie uczeń ukochany słyszał głos mówiący: Oto przybytek Boży z ludźmi i będzie mieszkał z niemi, a oni będą ludem jego, a sam Bóg z niemi będzie Bogiem ich. Związki się nasze śmiercią niezrywają, bracia

¹⁾ Tahańcza.

i przyjaciele obcy mi się nie stają. Czy już po zmartwychwstaniu Chrystus wybranych swoich nie kochał?

W tych czasach spodziewam się przybycia M. starszego. A widzisz jak dotrzymuje słowa? Nie pamiętam czy ci pisałam, że rozmawiałam z nim dużo i rozpisywaliśmy się długo.

A cóż to za bieda, kochani, nie mogę i nie mogę nauczyć się pisać rozsądnie. Zawsze coś niepotrzebnego nabazgrzę i potem drzeć kartki muszę. Módlmy się i dość, resztę Pan sprawi. Wolę wam komentarz zrobić przyłączonego obrazku. Jak Boża wiosna, lato i jesień, odbywają się tego rodzaju wyprawy, tylko czasem daleko liczniejsze, do pasieki, to do sadu, to poprostu w pole. Numer 6 jest to mamcia siedząca w wózekczku opłatanym, który ciągną już na silnych mężczyzn porosłe dzieci.

.....
.....
Artysta, który to rysował, utrzymuje, że to są dzieci, co się kiedyś narodzić mają, z zazdrością patrzące na tę wyprawę. Bo co też to szczęście! Idąc często bardzo wszyscy razem, starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni chórem dumki śpiewają, tak ślicznie rozlegają się po polach, lasach i wodach. Dzieciom jakie chcą kwiatki rwać wolno, nawet najpiękniejsze, przechodząc przez ogród i nie tylko wolno, ale i kazano, żeby wiązki całe do domu przynieść. Dzieci, a czasem starsi na wyścigi biegają. Wstępuje się mimochodem po kawony. A w samej pasiece pada się na ziemi, przynosi miód staruszek z długą brodą co wiek widział, wiele pamięta i różne ciekawe rzeczy opowiada, a potem swawola, a potem śmiechy. Komu do śmiechu. A słońce zachodzi i niebo czyste, jasne i ptaszki śpiewają i woda cichsza i przeźroczystsza i pierwsza gwiazdka mrugnie nad laskiem. Niby raj, i prawda raj, krótki jak jedna wiosna dla tych, co ziemskim życiem żyją, i nie zwaśnili się jeszcze z ziemską nadzieją. Wieczny dla tych co umarli ziemskiemu szczęściu, a zmartwychwstali niebie-

skiemu, którym wiecznie przyświeca postać Chrystusa, na którą niezmiennie patrzą i nowym ich zmysłem obdarza Pan ku pojęciu piękności i mądrości, wszędzie gdzie ślad ręki Bożej pozostał. Tym tylko co już nie żyją, a jeszcze nie odżyli, ciemno i zimno w ich grobie, chociaż porosłym kwieciami i trawką, chociaż nad nim ptaszki i dziatki śpiewają.

Zmartwychwstanie ciała, kiedyś jak aniołowie zatrąbią, stanie się w jednej chwili, bo stanie się czystą mocą Bożą, ale zmartwychwstanie ducha na ziemi, do którego potrzebny wpływ woli człowieczej, jakże nieraz trudne, pracowite i długie. Niemoc ciężka jest i nieużyta. Niemoc kajdany woli, dopóki je wiara nie skruszy.

Z domu, 28 września.

U mnie sadzą a sadzą, najwięcej leśnych drzewek, aby, step nasz ocienić cokolwiek. Praca nie lada, a jak wyrosną może się okazać, iż komuś na zawadzie i w pień wyrąbią. Ile razy widzę, że pracują w moim ogródku, dziwne przychodzi mi uczucie, a zawsze jedno i to samo: pewność, że my tu nie na długo, a po nas opustoszenie. Nie mówię tego ani mamci ani Daryuszowi. Zasmuciliby się darmo może tylko marzeniem mojej chorej duszy. A mnie tak boleśnie patrzeć jak mamcia kilkoletnią pracę swoją, wesołą, nadziei pełną rzuca zniszczeniu, jak w tem cały popęd dobrego jej serca, tyle starań w pocie czoła tak długo podejmowanych z czystej życzliwości, na wiatr pójdą i nikt z nich korzystać nie będzie. Mówi mi czasem: ja pracuję, a ty się nie cieszysz. A mnie się serce kraje, bo gdzie ona sadi i sieje, tam ja pustkę widzę, nie dzisiejszą, ale tę co będzie, jak się rozwijem po tym i po tamtym świecie. Ach! co tam, co tam! jak wodą pochwycony leci na koła młyńskie, tak ja lecę w przyszłość i dreszcz mi. Ale co tam, co tam! Minie i męka koła, minie, byleby, och! byleby, mój Boże, nikogo tam kiedyś nie brakło u ciebie, nikogo z nas nędznych. Piszę to do was, pi-

sałam do cici J... i u siebie zanotowałam to samo. Może przypadkiem, która się z trzech kartek zachowa i ktoś sprawdzi dzisiejsze czucie moje. Jeśli to nie skutek rozdrażnienia cierpieniem władz umysłu, pierwszy raz zdarzyłoby mi się przeczuć, czy przewidzieć co w życiu, bo dotąd złe czy dobre zawsze niespodziewanie przyszło. Ale kochani, opustoszenie ja nigdzie tylko w koło domu mego widzę. Po prostu ktoś na mojem miejscu co nie kocha to co ja kocham. Najmilszi, najlepsi, czy można mnie korzystać z tego, że wy daleko i milczenie nakazać mi nie możecie, aby wam takie niestworzone brednie pleść. Szczęście bode, to bode. A to bode, szczęście Boh dał. A co Bóg da, zawsze dobre. Nie wierzę w żadne przeczucia, a szczególnie w swoje i nie lubię kiedy mnie jak oto w ten moment imaginacja uniesie na błędne manowce. Przekreślę kartkę com u siebie zapisała. A was przepraszam, przepraszam tysiąc razy za moją niedorzeczność, jeszcze gdyby przynajmniej wesola była, uśmiechnęlibyście się biedni. Ale jakaś czarna. Nie dość wam rzeczywistych smutków, jeszcze je na zabawkę mnożyć. Piękna zabawka wielkopiątkowa, Memento mori. Ach kochani, a jak śmierć dla Chrystusa, kto na nią zasłuży, Boże mój, to i na wspomnienie jej serce skacze z radości, dość na dziś, bo coś bredzę jak niespełna rozumu.

Teraz trzeba was ogarnąć w ramiona, ogarnąć w serce, popieścić, błogosławieństwa Pańskiego na was wezwać i pożegnać, bo jutro urodziny Cezji, w domu mnie nie będzie, a pojutrze na pocztę wyprawiać trzeba. Wielki żal kiedy do was biała niezapisana kartka idzie. Cóż robić na ten raz? Moi wy, moi najmilszi, najlepsi, najśłodsi, co wy mi wszystko odpuszczacie i żadnemu się dziwactwu nie dziwicie. Czem ja sobie u was miłosierdzie wysłużyła? Doprawdy, nie wiem. Ach! to nie ja, ani nikt, tylko Chrystus wysłużył krwią swoją i u Boga i u ludzi miłosierdzie nawet dla grzesznych. Od kogożby szczęście jakie przyszło, jeśli nie od niego i nie przez

niego. Pozdrowcie dobrych łaskawych znajomych odemnie, Stefana ¹⁾, bratu Hipolitowi ²⁾ powiedzcie, że dzień po dniu ze szczególną uwagą odmawiam za niego obiecaną modlitwę. Upominam się u niego usilnie o umówioną odpłatę, chociaż doprawdy niewarte nagrody moje niegodne modlitwy. Ale wiem, nie masz kłopotu jak ze złym wyrobnikiem.

Ktoś musiał temu dwa tygodnie gorąco pomodlić się za mnie. Czułam po łasce niezasłużonej. Kiedym najgrzeszniejsza była, ogarnął Pan światłem i miłością, przyciągnął, przytulił, tak przytulił. Chwała Jemu, chwała i miłość na wieki i błogosławieństwo tym, co pomnieli o mnie biednej przed Panem. Posądzam ja kogo z was, kochani. Co najlepsze wam niech odda Bóg nasz dobry. Do zobaczenia, najmilszi; od całego domu mego, od gniazdka gorącym tchnieniem niech do was miłość powieje. Niech uleczy duszki, niech osuszy oczka, niech myślom doda choć trochę siły do góry, a serduszkom radości. Pokój wam, kochani i łaska na zawsze.

Nisia.

Do pani Konstancji Rzewuskiej.

Pielawa, 14 października 1845.

Kostunieczko moja jedyna, nie wyjeżdżaj już tej zimy, doprawdy do wiosny niebardzo daleko, a przebiec się w podróż tak łatwo. Czy ty już zapomniała co to karczmy zbliżając się w nasze strony. Siedź już, siedź, ciepło gdzie jesteś, a nie narażaj się niepotrzebnie.

Ja, Kiciu, siedzę cichutko, sama jedna, w Pielawie. Myślałam, że choć na święta pobiegnę do Kuryłówki, ale się tak nie składa. Darcia samego jednego w domu na święta zosta-

¹⁾ Witwicki.

²⁾ Terlecki.

wieć nie mogę, a on wywalić się z tych stron nie może dla interesów... Moja Kiciu, wiatry robi fu... fu... fu... w kąty domu, w okna, w kominy; szaro, wilgotno, droga okropna, bo śnieg, choć obficie pada, leżeć nie chce i ogromne czarne błotniste łysiny zostawia, potem te łysiny marzną i jak po szkle jechać trzeba. Nie chcę ja sobie, Kiciu, wyobrażać, że ty w drodze. Tuliszy się w powozie, Maryleczkę otulasz i w paluszki dmuchasz. Nie chcę, jedynaczko. Ty nie wiesz może jaka droga długa i nudna, kiedy się do domu wraca, z różnych przyczyn i dla tych co radzi i dla tych co nie radzi do domu wracają.

Do zobaczenia, koteczko, trzeba kończyć. Ale jak ja próżnuję, a na nic czasu niemam, aż płacz bierze. Do zobaczenia, Bóg z Kicią moją siostrzyczką biedaczką.

Dyżcia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu, grudzień 1845.

Najmilsi, najdrożsi, łaskę wam i pokój oby przyniósł Chrystus dzieciątko. Wszyscy razem nędznie pokłońmy się ubogiemu: otoczeni nocą grzechu, leżącemu w ciemnej stajence, — którym zimno, a niema się gdzie przytulić na świetle, drżącemu w żłobku drewnianym, — płaczącemu w opuszczeniu płaczącemu który przyszedł do swoich, a swoi go nie przyjęli; pójdźmy do Niego i usiądźmy przy Nim na ziemi i głowy o żłobek Jego oprzyjmy i zapomnijmy sieroctwo. Oto się nam narodził ten, który nas kocha i nie będziemy już sami i kochać będziemy, kochać bez trwogi, bez niepokoju, wstecz się nie obzierając, wszystko zapamiętując, opuszczając się bezpiecznie w tę przepaść bezdenną na wieki. Przyjdzie czas, w którym kościół rozpamiętywać będzie, jak on powstał z sianka swego i stapać po ziemi naszej zaczął i do pracy

naszej lichej, ludzkiej sam rękę przyłożył i usta swoje otworzył i nogi swoje wędrując trzymał, wydając głos zbawienia po miastach i miasteczkach, a wieczór jak przyszedł, głowy swej nie miał gdzie skłonić, a nad rzeszą co ku niemu wyszła, litował się i pieczę miał, nie jedząc nic, ustalił w drodze i karmił ją sam, uzdrowiał i nauczał, ubogich i obciążonych do siebie wołał, winy odpuszczał i kochał, aż go do sytości obelgą nakarmili, ubiczowali, cierniem uwieńczyli, krzyż ciężki na ramiona włożyli i na górę nieść kazali. A my, daj Boże, pójdziem za nim. Ślad w każdy krwawy ślad jego do ziemi przypadając i całując proch nóg jego i sukni tak gorąco, iż boleści nasze staną się nam rozkoszą i zapragnieniem ich więcej, i stanem z nim na górze i razem z nim ducha naszego oddamy Panu i nie będziem go już na resztę dni naszych mieli w mocy naszej, tylko wola Pańska będzie wolą naszą i nie będziem żyli, tylko Chrystus żyć będzie w nas, i wejrzy Pan na sługi niepotrzebne, niegodne, ale które syn jego ukochał tak, iż zamieszkał w nich i dla miłości syna swego otworzy niebo i zamknął powieki na nędze, a serca na tęsknoty i dusze ich wzniosł się w obłoki, by dziękczyniły i miłowały, nim dzień ostatni nadejdzie i obloką się w ciała swoje co niegdyś cierpiały, dziś uwielbione na chwałę wiekuiącą. Daj wam tak Boże, daj sprawiedliwym i grzesznym, ubogim i bogaczom, tym nędzarzom duchowym co tak bardzo jałmużny, modlitwy potrzebują, przyjaciółom i wrogom, daj wszystkim na chwałę twoją któryś jest. Co szczęścia w tem słowie, któryś jest. On jest, pewnie jest, jest dziś, jest wczoraj, jest jutro. Nigdy bez niego nie będziem. Jest, więc oto prawda, a więc sprawiedliwa, dobra, piękna, jak z jednego korzenia, z jednego pnia tysiące konarów, tysiąc liści wieją na nas szczęściem. Ile przymiotów objawionych, tyle niby kwiatów cudnych co się ku nam chylą, a w każdym tyle rozkoszy aż duch omdlewa i kocha, kocha na skinienie, do piekła na wieki by skoczył, bo niby trochę rozumie i miłosierdzie i po-

tępienie, i w zachwyceniu czołem bije słuszości wyroków i widzi, że jedno tylko potrzebne, jedno pożądane, chwała Boża. Ale, najdrożsi, jakby się do nieba dostać i kochanych i wszystkich do niego zwabić? Jak serce spojrzy w to morze piękności, zdaje mu się, że usiłować będzie, jak błotko, w którym się odbił promysek światła, mgłą podnosi po kropelce mętnej swej wody ku niebu. Niechże mnie chwila łaski, usunie się słońce, biedne błotko na nic niezdatne, brzydkie i podle zostaje. Otóż ja takie błotko, kochani, na kolei wielkiej drogi gdzieś się tam zebrało ze śniegów marcowych i ze slot jesiennych. Niejeden z wędrujących stopę o nie pobrudził i zadrżał od jego chłodu. Niejedna łąka w nie się stoczyła, choć płaczący o tem nie wiedział, a byli co się oburzali, iż ono złę ich przyjąć śmiało, byliby woleli, by na kamień padła i mieli słuszość. Wielu było, którzy widząc jak ono czasem błyszczało promieniem, za gwiazdę ją mieli. A ono nie było, tylko błotko czekające, by je Pan na ziemię rodzajną osuszyć raczył, przerabiając, oczyszczając, pociągając do siebie co nie dla ziemi. Bóg nieskończenie wielki może wejrzy kiedy na nieskończoną nikczemność moją, bo dotąd w najlepszych dniach moich byłam jak wieża nadmorska ze światłem na czole dla żeglujących, ale wewnątrz ciemna i pusta, że się w niej chyba na dnie płaz jaki zagnieździ.

Styczeń, 1846.

Już i po świętach, najmiłsi. Przepędziliśmy je w domu, nie w gniazdku, bo Daryusz dla mnóstwa interesów swoich i cudzych, wydalać się nie mógł, a samego na te dni urozyste nie chciałam go zostawić. Zgromadziliśmy się więc jak mogli najliczniejszym gronkiem krewni i znajomi, dawnym obyczajem odprawili wilię na sianie i chlebem podzielili się szczerze. Potem ludzie przyszli ze wsi, nagawędziliśmy długo a jak zwykle najwięcej o biedach. Matki skarżyły na kłopot z chłopcami nim dorosną na pracę, łudsze odna diwczyna

w chati za disiat' chłopciw, diwczyna i wody prynosi i ditok dohlane, a chłopiec na bikaca ta hulaje. Cały tydzień świąteczny wielka była w domu fabryka, dzieci kołędę szyły niemowlątkom ze wsi, wszystkim bez wyjątku, ciepłe, śliczne czapeczki z wstążkami i kwiatkami, a na nowy rok pospolite ruszenie wszystkich dzieciąt i ogólna biesiada, mleko z bułeczką, cukier, ciasta, potem strojenie w czapeczki i radość niezmierna. Aż późno w noc powiedziałyśmy sobie wzajemne spasybi wam za czest' i za mylost', pocałowały i rozeszły. Od tej pory u nas głucho. Z gniazdka rzadkie wiadomości, wiem jednak, że tam wszyscy zdrowi. Mamci tej zimy wyjeżdżać zabroniono przez ostrożność. Wszyscy w Kijowie na kontraktach; pusto więc w całej okolicy. Gazety nie przychodzą jeszcze bo to styczeń. Czasem tylko z dalekiego Wschodu głos doleci, niby modlitwa, czasem drzeniem w sercu odezwie się drzenie najukochańszego gdzieś w dali.

Cicho, niby się czegoś czeka, a na świecie szaro i wietrzno. Och! najukochańszy, najukochańszy, coraz cięższy krzyż wpija mu się w ramiona, że patrzeć bez łez nie można, a jak się czasem szamoce. Ach! moi, tylko upaść twarzą na ziemię i skonać, jeśli Bóg siły nie doda patrzeć na te męki. Są ludzie co myślą, że na wszystko systemat pomoże i jak miecz podają go tym co już i tak do szaleństwa cierpią. Zasierają złe i pójdą; co im szkodzi, że jak wzrośnie trucizną się stanie. Oni systemat nie ludzi kochają, bo systemat to oni sami, marmienie ich głowy. Sami nie wiedząc o tem, siebie tylko kochają. Są inni, którzy skoro ze statku co w burzę bije się z falami, ujrzą ziemię jak rąbek szary u widnokręgu, klaszczą w ręce i radzą w wzburzone wody się rzucać, by o własnych siłach portu prędzej dopłynąć. Mało ludzi z sumieniem, mniej jeszcze z sercem, teraz w modzie lekarzem być moralnym, próby na żywym ciebie, na żywej duszy robić. W sztuki płatać dla mądrości głupiej, dla filozofii co Boga i świętości i cierpienia nie zna. Jak szatany na piersiach chorego ciężą

i dziobią mu w serce słowami rozpacz, dopóki nie zerwie się wściekły i bluźniąc ran własnych nie porozdziera i skona. Ohydni, wzruszeń im trzeba, za ważnych i potrzebnych uchodzić, z ogniem igrać koniecznie, inaczej nieprzyjemnie, mgło i nudno. Aże po ich zabawie piekło. Cóż robić? Jest to smutna konieczność. Och! takich ludzi nie przeklinajmy, ciężkie i tak przekleństwo co się im u Boga zbiera. Tylko módlmy się gorąco. Niech moc jadu Bóg słowom ich odbierze, niech spoczną cierpiący, niech po miłości naszej poznają, żeśmy Chrystusowi. Kochani, jam nie podejrzana, bo wiecie z łez niczych korzystać nie pragnę pod żadnym względem. Ulgi cierpiącym, czci ubogim, miłości wszystkim, błagam na kolanach od wielu lat u Boga i u ludzi i bojaźliwość też wielka nie mąci mi wzroku. Widzę więc prawdę. Módlmy się a ufajmy, przyjdzie czas miłosierdzia.

25 stycznia 1846.

Wyglądam Kicię niecierpliwie, może mi coś powie o was. Ale kiedyż to jeszcze będzie? Myślę o was, myślę, czasem widzę ale nie zawsze. Częściej wy duchem z nami niż samotni, nieprawdaż? Niedawno mi ktoś mówił, że niemilo wam bardzo, jak długo wieści o nas niema. Posyłam więc dziś tę kartkę, chociaż na książeczkę jeszcze nie urosła. Prawda, lepiej częściej choć krótsze. Odtąd może już pisać będę do jednego z was, który pierwszy odbierze, to będzie dla niego tylko, proszę sobie nie zazdrościć moi, moi. Pocałowanie wam serdeczne i pieśczołka. Zarzucam obie łapki wam na szyję i przylegam jak smułka. Choćbyście jak mówili: Widczepysia, nic nie pomoże, bo wy moi, a ja wasza na wieki.

Bóg z wami i łaska święta.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu, 15 lutego 1846.

Czy prawda, najmilsi moi, co po świecie mówią, że Józef znowu chory był. Mój słodki, biedny, kochany, czemu to skrzydeł niema? Czemu ziemia tak wielka? Czemu człowiek jak więzień przykuty? Jak wam obco, pusto, zimno, przeraźliwie, Boże mój, Boże! Do was, do was. Kto was tam kocha? Kto służy sercem? Kto głaszczę, tuli i pieści? Boże, Boże do was koniecznie, i nie na chwilę. Gdyby nie najukochańszy, to i na zawsze. Mój Józefie, co ja robię, żeby ciebie nie bolało, żeby ty już nie leżał w niemocy? Gdyby bliżej, obcałowałabym rączki, czoło, kolana tak bardzo gorąco, że wszystko zle by się stopiło, a tak co? Dumam, dumam i płakać mi się chce i, jak zwykle, nic to nie pomaga. Ach! gdyby przynajmniej wiedzieć co tobie było i czy zupełnie minęło. J... w niepokojach i obawie strasznej pisze a pisze, dowiadując się czy wieści o was niema. Ale one tak rzadkie i Kostusia milczy albo tylko drażni kilku słówkami. Gdyby przejrzeć do was. Widzę ja was, ale tylko troszkę. Józef jeszcze nie silny po chorobie, siedzi cichutko, głowę na rękę schylił i zdaje się mu, że nie smutny. Bohdan chodzi po pokoju, głową potrząsa, oczy ociera i zdaje się mu, że nie płacze. A w pokoju ciemno, bo szaro na niebie i pusto, bo od swoich daleko. Tylko malowane różne twarzyczki patrzą na was i uśmiechają się, to na prorocstwo, najmilsi, że nie zawsze smutno będzie. Czemu się chmurki nie zwiną czasem jak zasłona daleko, daleko tam gdzie się niebo schyla i całuje ziemię i nie odkryje wam naszych gniazdek wśród burzanów na stepie? Ot, tak sobie wam na sen, ile to się ptasząt tuli w każdym i nie siedzą spokojnie jak wróblaćka w puchu, ale się kręcą, zwijają, skaczą, pracują, każde jakieś zdziobelko obrabia co może, pierwszy wietrzyk zdmuchnie, a świergoczą, świergoczą. Czasem trwoga, chwilę ruch wielki, wejście w górę do tego co

i o wróblątku wie każdym, a potem pokój. Ale wszędzie nie tak, kochani. Mnóstwo gniazdek zapełniają same jedne grube, brzydkie, żarłoczne ptaki jak sowy, ślepe na dzień i z krzywymi dziobami, co nie nie robią tylko inne ptaszki duszą i jedzą, to spekulatory. Czy uwierzycie, że ten rodzaj potworny wyradza się i u nas, na naszej ziemi kochanej, mogiłami osypanej, dumkami wskrós przewianej? Ale prawda, pycha i łakomstwo, dwa straszne położy, mieszkają tu zawsze, gdyby nie one, mniej kości bieliloby po polach, mniej łez potokiem zaszumiało w pieśni. A postać poczwary taka czy inna, wszystko to jedno. Bez końca rozprawiają u nas o pracy. Niby korzyści jej na nowo odkryte zostały i każdy spieszy brać w nich udział. Ale praca dla ogromnej większości jest to jedynie spekulacja pieniężna, jak najskrzętniej praktykowana. Dar Boży, na szczęście oni w nim bogactwo tylko widzą, dźwignia ziemi ku niebu, oni ją na niewolnicę przerobili, na wyrobnicę dóbr dla pychy. Znikczemniała do ostatka w ich rękę, jak wszystko zmaleć i znikczemnieć musi co właściwe stanowisko swoje oznaczone wiarą opuszcza. Wiara uświęciwszy władzę i zdolności, działania ich wszystkie na cnoty przerabia nadaniem kierunku, jaki przystoi wysokiemu powołaniu naszemu i obdarza je potęgą działającą przez wszystkie wieki na owoc zbawienia. Jest ona jak źródło żywej wody na górze bijące każdy strumień co z niego wypływa. Człowiek równie wysoko podnieść może, bo moc, którą wiara udziela, nigdy się na jednostki nie ogranicza, ani na pewien zakres czasu ani na korzyści li tylko materialne, chociaż w macierzyńskiej, czulej opiece każdą trzyma jednostkę i w czasie działa i na potrzeby materialne człowieka wzgląd ma i pamięć wyrozumiała. Moc ta nigdy oderwana nie jest, nigdy w obłędzie lub niepewności nie zostawia, lecz w związku jest koniecznym z całą prawdą objawioną i przywodzi zawsze do ogniska światła skąd sama wyszła. Dlatego uduchowienia się czego tylko dotknie i nieskończenie wielkim się

staje i ważnym, ale zapomnieliśmy o godności naszej dzieci Bożych; jak dzieci, kleim lepiankę, za co by kraje zakupić można, jak dzieci, nucim piosenkę, której nie pojmuję już treści.

Kochani, kto nauczy, że czyn jest tylko objawieniem potęgi, a nie potęgą samą, że w duchu w zamiarze tkwi potęga i wielką jest w miarę czystości jego, bo jako działania li człowieka czyn nicością jest tylko i zdmuchnie go Pan z przed oblicza swego, jak wszystko inne co znamienia jego świętego nie nosi, biada nam, biada. Strasznie mało chrześcijan na świecie. Drugi już list posyłam wam ze skargą na ludzi, bo serce boli, boli.

18 lutego.

Nie pisałam wam, kochani, jak uroczyste całym domem obchodziliśmy dzień N. Panny Gromnicznej¹⁾. Wicie wy to i bez mojej powieści. Z rana domownicy, służący, goście, dzieci zgromadziliśmy się wszyscy na wspólną modlitwę, ze czternaścioro dzieciąt złożyło rączki i prosiło za tym, co płacze na ziemi i za tą, którą on kocha w niebiesiech. Może który głosik do stóp Pańskich doleciał. Onże dziatki kochał i pieścił i błogosławił im nieraz. Antosi nie było, bo ciągle u mamci w wielkim gniazdku bawi. Wieczór dzieciętom bal, a że to zapusty, więc i przebierania. Śliczne małeńkie młodyczki i cyganeczki i dopiero szumki, perepelyczki, kozaki. A mam niektóre dziewczęta swawolne i zawadijaki, że im rady dać nie mogę. Odwinęłam się na chwilkę, a one już w prysyudy, ledwie wypersadowała, że to nie dla dziewcząt taniec i podobnym nie bardzo do przekonania trafiła, bo się zasmuciły, a niektóre nawet i mazur nie pocieszył. Wczoraj znowu był bal jako na urodziny Maryleczki i podwieczorek. Na całej kopie pączków, na samym wierzchu królował pączek ogromny

¹⁾ Dzień urodzin Bohdana Zaleskiego.

z cyfrą M. R. Ale wy może nie wiecie co to u nas znaczy bal. Może myślicie, że jak pospolicie zjeżdżają się goście, bynajmniej, tak jesteśmy w sile i co do liczby i co do sprężystości nówek, że obchodzimy się doskonale bez wszelkich obcych pomocy. Zaczynają od tego, że przybierają się wszyscy w różowe sukienki (nb. prócz Daryusza i mnie) i tłumem przybiegają do dużego bawialnego pokoju, gdzie codzień grywa się w mrućka albo ciuciubabkę przy jednej albo dwóch lampach. In gratiam balu, niosą ich aż cztery, które się w czterech kątach na stoliczkach stawiają. Jeśli szczęśliwym trafem nadjechał żydek z pozytywką albo skrzypiciel jaki, co zwykle niesłychanymi okrzykami radości oznajmiane mi bywa, mam spokój na cały wieczór, jeśli nie, idą Nisine ręce na usługi i do dziesiątej, jak podolać mogą, wybijają szumki i mazury. Kiedyś to nie lada paradnie było, bo razem skrzypce, bęben i gitara i na tę wielką okoliczność Julka G. zaproszoną została, bo ubliżałoby staropolskiej gościnności taką harmonią samym się tylko cieszyć. Oczywiście przy tańcach figi, rodzenki, migdały, śliwki na rozuchach, ciasteczka, herbata, a woda na dwa klucze zamknięta i wszystkie drzwi w domu na rygle pozasuwane, aby zgrzane na podwórze i do sieni nie wybiegały, tak, że jak kto nadjedzie, a za hałasem nie słyhać, kwandrans nieborak do domu szturmować musi, jak byśmy się od Tatarów obwarowali.

Moi wy, najmiłsi, czemu ja wam tych balów pokazać nie mogę i różnych w nich epizod? Jedna naprzykład wśród mazura w płacz. „Co tobie, Teosiu?“ — „Kasia nie dość ochoczo tańczy“. Druga znów gwałtem do kozaka wyciąga Olesia, który w kącie siedzi zatopiony w najukochańszym Pielgrzymie. „Daj mnie pokój“. — „Ale chodź póki grają“. — „Kiedy ja wolę na obrazki patrzeć“. — „Mój Olesiu, proszę cię“. — „Kiedy ja niechcę“. A Nisia szepce do ucha. „Jakże można Olesiu bliźniemu przyjemności nie zrobić? Jak nie pójdziesz, Maryni smutno będzie“. — „Kiedy mnie tak przykro Pielgrzy-

ma rzucać“. — „To chwala Bogu, że przykra będzie ci zasługa“. I na odwagę ciom w białe czołko i chłopczyk na pół smutny, na pół przekonany do kozaka.

19 lutego.

Poodczytywałam dopiero różne kartki od was, najmiłsi. Co jest w słowach waszych dla wszystkich, czy dla mnie tylko jednej, że gdyby jak dusza była daleko w światowej gdzieś zamieci, w mig wróci ją do domu, do tej ojczyzny nikomu nie znanej, bo u każdego innej, pełnej promyczków zachwyty i nędz bez końca i poczwara w aniołów postaci, w której nadziei nawet niema zestarzeć się kiedyś i spocząć. Ach! tak znam popielate ciężkie jej niebo i źródła palące i zieloność zwiędłą, głuche milczenie i samotność, a samotność wielką, że niema nawet komu powiedzieć boli, jedni nie pojmują, drudzy nadto słabi w wierze, innym do szczęścia koniecznie trzeba mego szczęścia. Od szesnastu już lat niepamiętam, aby się kiedy całkiem odsłoniło serce moje przed kim i zapewne nie odsłoni już nigdy. Jest stopień takiego jasnowidzenia, nicości, wszystkiego na świecie, takiej niewiary na wszystko ludzkie, takiej bolesnej litości nad bliskim zawodem tych, co ściągając rękę do kwiatu, nie myślą, iż ściągają tylko do żdźbła suchej wkrótce trawki, że mówić o tem nie powinien nigdy ten co w opustoszeniu ducha swego, sprawdziwszy ziemię i gorzkie słowa króla mądrego, pieśni nad pieśniami nie zanucił z nim jeszcze. Niech milczy o ziemi kto nie dość święty, aby na niebo wskazać umiał. Inaczej nie zbawienie w wyrzeczeniu i nadziei, ale zatracenie w żalu i rozpacz przyniesie. Ja o niebie wiem, ale go w sercu nie mam, bom grzeszna bardzo, i na pociechę, na ucieczkę pokazać go nikomu nie umiem, nie umiem. Słowo, marny dźwięk, do serca nie przenika. Nie masz łaski we mnie niegodnej. Mówi jedno z was: dość płakać, Nisiu, niech te łzy grzeszne oschną raz na zawsze. Prawda, wiele, wiele łez było grzesznych, bo upo-

minających się jak o zatrzymaną należytość, o szczęście którego nie masz na świecie nikomu, a tembardziej mnie grzesznicy. Myślałam w szaleństwie, że jest na ziemi drzewo życia co karmi. Biedna ziemia wszystko mi z ubóstwa swego zносиła tak uprzejmie, a mnie się zawsze zdawało, że ona mi coś kryje i żal miałam do niej niesprawiedliwy. Miłość wszelka na niej płytka, młodość smutna i piękność poszpecona. Na niej tylko imiona wszystkiego, a rzeczy niema. Chyba u tych co Boga jedynie kochają i Jemu służą samemu. Ale ci nie z ziemi, kochani, dawno już dawno za ziemią nie płaczą i nie na niej nie nęci. Czy wy mnie jeszcze nie znacie, nie rozumiecie rodzaju grzechów moich? Rzadko kiedy Bóg miłosierny dopuszczał aby się brzydkość i błoto w tak cudną szatę przybrało, iżby aż pokusą się stały. Wina moja złe zrozumienie wiary naszej. Od dzieciństwa w moc niby jej świętej, z jej prawa, pragnęłam tego na ziemi co tylko w niebie być może i nie szukałam, bo zdało mi się, że to szczęście już mam. Wystawcie sobie to zachwycenie wewnętrzne, tak ciągle, spokojne, zupełne, że mogłam uwierzyć niebu na ziemi. Biedne dziecko zapomniało o grzechu, dlatego tak błogo śniło, i pierwszy, nawet się mnie osobiście nie zupełnie tyżący, splamił piękność, rozwiął niebo na zawsze i został czyściec straszny, bo jak u tych dusz co niewidzą, święta mówi zakonnica, gdzie się znajdują i których cała ostatnia nadzieja, że nie pamiętają odtrącającego wyroku. Ale kochani, czyściec jeszcze, jak ta zakonnica o innych duszach mówi, czyściec to miłości, nie czyściec zmysłów. Męka, że w kochanych nie dość świetna szata niewinności czasem rozdarła, po różnych drogach spruszona i swoja własna aż szara, że już i nie znać pierwotnej jej barwy. Och! męka i nie płakać? Nie można, kochani, nie można. Wyrok to nieodzowny. Gdzie plama, tam łza, och i niejedna. Znać jeszcze ich niedość, bo plam jeszcze przybywa. Boże, Boże zmiłuj się. Niby obiema rękami cisną się piersi. Cicho tam serce, cicho. Nie rozumiesz, ale wierz. Na-

dzieja przeciw wszelkiej nadziei wolą przynajmniej powtarzaj. Póki Pan nie wejrzy, bo on jeśli zechce, oczyścić może. Głęboko ubodły mnie w sumieniu słowa Bohdana. W rozpamiętywaniu Nisi dziejów i pamiątek domowych, duchowych, przeniosę się myślą w świat lepszy, piękniejszy. A więc wiele tu sobie chwil osłodzę. Prawda, takby być powinno. A jakże bardzo nie jest! Wszystko cudne zamierzchło mi w oczach, tylko skwarna pustynia, w której ochłody ni spoczynku nikomu, to piętno egoizmu. A widzicie, kochani, na mnie zawsze zawód. Cóżby to było, gdyby trzecia jeszcze była część, jak czasem pokusa przychodziła napisać? Za łaską Bożą nie i nie mogłabym nawet. Gdyby nie różne zewnętrzne przeszkody, a bardziej jeszcze duchowe, ułożyłby się może obrazek ze ślicznych barw, co się w koło mnie jak tęcza na ciemnym tle świata promieniły. Na łzach jeszcze niesplakanych, ale nic nie potrafiłabym.

Gniazdko nasze kochane, gdzie, jak Józef wie, tyle było zawsze kochających, małym było wyjątkiem. Ogólnie, więcej, daleko więcej od niemowlęstwa widziałam rozpacz niż nadziei w nieszczęściu. Więcej słyszałam przeraźliwego krzyku w męce niż cichego płaczu, więcej wspomnień gorzkich niż rzewnych, w cnotach więcej siły niż czułości, w kochaniu ogień tylko pożerający a szczęścia i pokoju nic. Wychowałam się w dziwnej sferze gwałtowności i stoicyzmu, gdzie wszystkie powierzchowne oznaki przywiązania za udanie miano, a przynajmniej za nieprzyzwoite i śmieszne egzaltacje, tak, że na przykład matka (tylko nie myślcie że mamcia nasza biedaczka, jej straszliwe systemata nigdy do główki nie przychodziły, a zresztą ją znacie) matka, ku wielkiemu zbudowaniu otaczających kobiet opowiadała, iż aby je nie popsuć, nigdy dziecię swoje nie pocałowała chyba śpiące. Kto jako młody i podwładny krzyknąć z bólu nie miał prawa, choćby skonać miał w wysiłku, uśmiechać się musiał. A biada mu jeśli zbladł, bo cierpienie zupełnie za nic się liczyło. A pieszczota?

Była to niby rozkosz niebieska, której ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani rozum ludzki pojmuje. I tak przywykłam była do tego stanu, że nawet dumki długo bardzo stopić nie mogły zakamieniałej boleści. Bo na co się skarżyć? A boli? Nocą ręce pogryść a nie jęknąć, to też, kochani, u wszystkich prawie w tej epoce wychowanych, ledwie z dzieciństwa zaświtała młodość, serce pękło i została tylko straszna wiedza, jak po śmierci.

Goście nadjechali, musiałam przerwać, a teraz czasu nie ma kończyć, bo na pocztę list oddać trzeba taki, pomimo mojej grzesznej pamięci, na której złe i przykre głębiej się ryje od dobrego, pomimo niegodności mojej, kto wie może wam kiedyś pokażę, jak gniazdko nasze śliczne i nie ono jedno tylko. Moi, moi, żal was rzucać, bądźcie mi pełni zdrowia i pokoju. Dobra noc. Niech wam anieli zeszlą święte i błogie sny. Kto wam pocałowanie moje serdeczne zaniesie? Aniołków poprosić nie śmiem. A wietrzyk trzpiot. A potem, on taki zimny teraz. Stopił wszystkie śniegi i na czarną ziemię dmucha, aż żal. Ludzie mówią, że zboże wysmoli i będzie nieurodzaj. Nie daj, Panie. Ubogich tyle! Co wy tam robicie, moi najmilsi? Co to za bieda, że świat nie przeźroczysty? Tobym dopiero długie listy bazgrała, gdybym choć przez szparkę do was zajrzała czasem. A tak niewiedząc jak tam u was, chmurno czy pogodnie i ochota do gawędki odpada. Wiem ja o was to, co ludzie wiedzą, ale to wcale niewiele i wcale nie to, coby się wiedzieć chciało. Moi, moi, rodzeni, kochani, Bóg z wami, jeszcze czołka, łapki całuję, całuję ty się raz.

Nisia.

Kłaniajcie się ślicznie dobrem znajomym, panu Stefanowi ¹⁾. Pusty mnie śmiech mimowolnie bierze jak sobie kilka

¹⁾ Witwicki.

tygodni naszej znajomości przypomnę, bo ręczę, że mnie za wielką ma elegantkę i nie łada światową, a kto wie może i arystokratkę! Wiem, że jeśli istotnie tak jest, to doskonała mistyfikacya. Ale go to pewnie zabołec musiało pocziwego i z tego względu mi przykro. Może Bóg da, jeszcze się kiedy spotkamy w świecie na rozwiązanie zagadki. Niechby się przynajmniej modlił za mnie, bo jeśli nie w tem, to w wielu innych rzeczach bez żartu nawrócenia potrzebuję. Dobranoc, wam, dobranoc.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Z domu, 12 marca 1846.

Dzień pocztowy, a więc oczywiście do Kici kartka pójść musi. Ale z czem, kiedy u nas głucho, cicho, spokojnie, że chyba wymyśleć wiadomości? Wielkie słowo post, nawet co się w około na takie buczne pohulanki zbierało, przycichło zupełnie. Pomiarkowano się podobno, że zgorszenia byłoby to powodem. Czy uważałaś, Kiciu, że czasem jak szal napada bawić się i bawić bez względu, bez myśli, bądź co bądź, byle pohulać. Dla mnie smutny to widok okropnie. Iluż to szaleje na śmierć i ani ich zbudzić do rzeczywistości, ani upamiętać, aż polecą w przepaść, którą wykopali sami. Ale nie dla siebie tylko, bo każdy co moralnie ginie, nie ginie sam, ale cały świat nadziei zabiera z sobą. A my co robimy? zapytasz może. Jak zwykle, kajamy się i modlimy. A ja co robię? Modłę sercem do Ojca w niebiesiech, patrząc w oblicze najukochańszego, którego dzień w dzień nie mogę powiedzieć więcej kocham, to niepodobieństwo, tylko mi się serce rozszerza, patrząc w myśl jego głęboką, tak głęboką, że aż spokojną. Czytamy mało, więcej rozmawiamy, wieczorem dzieci śpiewają, a puste to i rozśmieszają. Wczoraj była na placu może tobie

znana szumka: „Oj posijaw kozak hreczku, na dubaczku, na werszczku, zirwała sia szara bura, kozakowi hreczku zdała“.

Widzisz, że przy śmiechu i nauka, a doprawdy nie idzie w las, a szczególnie u najukochańszego (tylko proszę się nie śmiać, że co tylko dobrego, ja zawsze w nim widzę). Choć jaka czasem pokusa posiać na werszczku, rozum szepnie coś na nebo i usłucha.

Kiciu, goście wkoło siedzą, gwarzą i ja gawędzę. Niepodobieństwo pisać. Jeśli co nabazgrałam bez sensu przeproszam, ale nie mogę inaczej, a innego listu pisać nie chcę. Do zobaczenia, koteczko, Bóg z tobą.

Domek mój cały i co w nim żyje pozdrawia ciebie, całuje, pieści, jak komu wolno.

Nisia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Z domu, 19 (6) marca 1846.

Kostuniu moja, nie bardzo dziś zdrowa jestem. Jednak chce się koniecznie pomilować ciebie, popieścić i choć słówko ci posyłam i nie tobie jednej, ale razem całemu gronku twemu. Nie będę, jak dotąd, pisywać osobno, chyba kiedyś, kiedyś. Ale za to każda kartka do ciebie będzie razem i do nich ¹⁾, proszę Kici dzielić się sumiennie jak przystoi grzecznej siostrzyczce, bo już nie chcę pisać do kogo, ani odbierać od kogo listów tylko do Kici i od Kici, bo to wielki post, czas pokojania i modlitwy. Ułożyłyśmy, aby zawsze był ktoś modlący o przebaczenie za przeszłość, o łaskę na przyszłość. Kto wie czy długo iść będzie głos nasz do góry? Błagajmy póki czas. Niech Kicia się nie śmieje, nie mówi, że na mniskę się

¹⁾ Józefa i Bohdana Zaleskich. Z powodu prześladowań w kraju, pisanie listów do emigrantów narażało na niebezpieczeństwo.

kieruję. Jak tu nie modlić, kiedy tylu o Bogu nie myśli. Czy myślisz, że wszędzie pokutują tylko w ten święty czas? Gdzie tam! Pohulanki i pohulanki... Serce się kraje, patrząc na radość bez Boga, co się więc tylko karą okropną skończyć musi. Gospodarze ogrody stroją a stroją, rośliny zwożą, aby na bale pałace ubierać. Oj! Kiciu, Kiciu, módlmy się za tych, co się nie modlą. Chciałam teraz pojechać do mamy, ale i drogi złe i rzeki porozlewały. Czekam więc spokojniejszej pory. Nie wiem ogólnie co tego lata robić będę. Zależy to oczywiście od mego męża. Jeśli mu się na co przydać będę mogła, jeśli nie odtrąci mnie od siebie, bezwątpienia zostanę przy nim. Ale jeśli mnie Bóg zechce gniewem jego dotknąć, zapoznaniem miłości co dla niego wierna i zupełnego poświęcenia pełna w biednym sercu mojem, zawsze była i będzie. Pomimo wszystkiego, czemby najboleśniej miał ugodzić, pomimo — pojadę sobie gdzieś, może do Odessy, byle gorzkie dni przeżyć. Mamę radabym wziąć z sobą. Miałam od niej wieści niedawno. Odebrała od ciebie aż 6 listów razem. Bardzo pragnie, a ja, Kiciu, proszę i zaklinam, abyś o zdrowiu swoim pamiętała i nie rwała się do domu, kiedy ci Karus pomaga i nie wracała aż po kąpielach, które ci przepisuje, bo, koteczko, czemuśby nie korzystała z tego, że bliżej wód jesteś i nie poleczyła się jeszcze trochę. Rób jak ci się zdawać będzie najlepiej. Ale Kiciu, ile mogę, błagam ciebie, kąp się, lecz spokojnie i nie rwij się. Jak wyzdrowiejesz, to co innego.

Całem ci sercem ogarniam i pieczę i już kończę, bo nie bardzo dziś schylać się mogę. Twoja

Dyzcia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

22 marca 1846.

Kostuniu moja, znowu od ciebie nic nie ma. Chodzę, krzaczę się koło domu, który na parę miesięcy opuścić mamy i koło ogródka, gdzie sadzą drzewka, a sadzą bez końca, aby kiedyś komuś, którego nie znam i nie wiem, cień był i owoc, koło dzieci, którym na lato sukienki szyją, ach! Kiciu, koło wielu rzeczy. A jednak jednego tylko potrzeba. Czy uwierzysz, że tygodnie mijają, a ja książki do ręki nie wezmę, ani roboty żadnej. Zaczęłam była ogromną makatę, ani myśleć kończyć. Ani rozumiem, jakim cudem dawniej przemarzyło się tyle dni z igłą w ręku, czy przeczytało. Niewola mi teraz wprowadzie, ale jej nie czuję. Co mi dawniej było po wolności mojej głuchej, jałowej pustyni zaludnionej tylko chmurami i burzą, co się po niej bije sama jedna? Szkoda mi wielu lat zmarnowanych. Mówią znajomi niektórzy z tych, co zbliża bardzo w serce patrzeć, że tak się zmieniała we wszystkim, że dość nadziwić się nie mogą. Ani pojąć i zrozumieć co się to dzieje i że prawie nową znajomość zabierać ze mną muszą. I przypisują te zupełne zmiany we mnie niesłychanej mocy charakteru, woli nieugiętej. A jam glina martwa, którą Bóg dłonią swą miesi i kształci. Ach! czy mimo oporu mego wykształci do końca, czy łaska zechce niegodność zwyciężyć? Pisał kiedyś Bohdan „tyle strat, tyle zmian tego roku“. Jakże on wie o zmianach? Prawda. Może ostateczne. Ale prócz Boga i mnie, nikt o nich nie wie. Zamknęła się młodość, niby z wysokiego brzegu, ze świata innego patrzę na nią co była, na dni jej najśliczniejsze i nic mi jej nie żal bo jak kwiat opada. Nie żal, och! nie żal! Piękniejsza będzie młodość siwizny, bo ona Chrystusa więcej ukocha, Chrystusa życie, śliczność i świętość nad wszystko. Cicho mi jak nigdy, chyba może w wielkiem dzieciństwie i czemuś boleść nie ima się cierpko jak dawniej. Nawiedził Pan i rękę co оголаca, po-

łożył na serce, zimną i od dotknięcia ustały szaleństwa. Przytomna widzę wszystko jasno i jako zdrowa już, pracuję co mogę i nawet chłodem niebardzo drzę, czekając na nową szatę, w jaką opatrność jego obłoczy. Nową? Nie, tylko przemienioną, jak po Zmartwychwstaniu. Ale chcę do Chrystusa, chcę, chcę i wszystkich chcę do Niego, jak Bohdan mówi, aby mi nikogo u Niego nie brakło, nikogo, nikogo. Wszyscy święci na ziemi i w niebie uprosie kilkoro nas grzesznych. Nie, nie kilkoro, tysiące, miliony. Już się ani obejrzę na ziemię, tylko w górę patrzeć będę, wypatrywać czasu zmiłowania i ufać. Jaki Bóg dobry, że z życia nie zostało mi żalu do nikogo, nie nikomu nie mam do odpuszczenia. Grzeszyli kochani wiele ale nigdy przeciw mnie. Boże im błogosław, resztę dni przemodłę za nich w samotnej celi mego ducha i przepracuję, jeśli Bóg pomoże. Byleby tylko oswoili się ze mną. Zdaje im się, że zawsze jak niegdyś zazierać mają prawo, choć przez szparki do wewnętrznego świata, co pod wpływem jest tylko Bożym i chmurzą się, jak wejście do niego kamieniem zawalone zastaną. Jakby kamień taki w mocy było czyjej przynieść sobie samemu. I usunęli się zupełnie. Niemniej mi oni kochani, porozumiemy się kiedyś, kiedy już nie zakrytego nie będzie. Iluż to kocha nie nas, ale kwiat, którym kwitniem. Inni nie rozumieją nigdy, iż zmiana z wewnątrz przyszła skutkiem życia i podziwiać będą bohaterstwo ciągłego przełamywania się. Ach! kiedy nie ja siebie, ale Bóg mnie łamie, różnie będzie, a różnie. A prawdę jeno Bóg wie.

Wybieram się do mamci z częstką dzieci, które się cieszą jakby do nieba jechały.

Moja Kiciu, jak się ja dziś rozgawędziłam i to o sobie. Wstyd wielki, niech ci to na dowód służy, że nie wcale ciekawego u nas niema, na coby obejrzyć się można; powszednia cichość, to i na siebie samą mimowolnie zwróci się myśl. Gdzie tam na siebie? Sami sobie za pretekst służym. Przypominamy, że ziemia i szczęście jej niby naszą dziedziną i że

je tylko niby dobrowolnie rzucamy, aby mieć prawo odcho-
dząc nawet od niej, wejrzeć na nią okiem, czasem już nie
miłości, ale nigdy obojętnem, przynajmniej, Kiciu, kiedy kto
grzeszny i ułomny jak ja biedna. Aby ci więc nagrodzić nudę,
moja ty najmiłsza, posyłam winietkę. A widzisz? ty już pe-
wnie myślałaś, bo dawno nie miałaś żadnej odemnie, że i nie
myślę o tem, co tobie miło i ogólnie kochanym. Baw się so-
bie winietką, a ja rzucić cię muszę, bo, jak cię kocham, na
list nawet czasu nieraz nie mam i teraz stukają i stukają do
drzwi. Dobranoc, koteczko; dobranoc, dziecinko.

Do zobaczenia, ty moja droga kochana, ciebie i całe
gronko kochane sercem ogarniam.

Nisia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Cudnie piękny sztych pana Jezusa, aż się grzesznemi
oczami nie śmie na tę twarz przenajświętszą patrzeć. Zdaje
się, że wejrzeniem wyrzuca zbrodnię, tylko co za nią niepla-
cze. Ach! jakbym sobie chciała pójść daleko, gdzieś daleko,
żeby o mnie ani wiedział nikt ani słyszał, służyć zakonnicom
jakim, żeby już usta moje nie mówiły i myśl nie myślała
i serce nie patrzyło jeno w górę i w Bogu tylko miłowało.
Jak mnie już znużyło grzeszyć! Jak mi nudno i pusto bez
Pana! Bo jakże Pan mieszkać ma ze mną, któram mu nigdy
obietnicy nie dotrzymała, któram go opuszczała ile razy za-
błysnął mi lada promyk niby szczęścia ziemskiego. Ile razy
zawołam, wiem, że przybędzie, a ja go znowu porzucę za lada
myślą co mi przez serce przemknie. Jednej godziny w życiu
mojem niema bez winy. I to źle, że ci to piszę. Ty mnie nie
uwierzysz, bo jak wszyscy, za lepszą tysiąc razy mnie masz
niż jestem i tylko ci się w biednej duszce zachmurzy, bo ci

się zdawać będzie, że się dręcę. Gdzie tam, Kiciu? Dnie i ty-
godnie mijają, ani pomysłu o sobie. At! stało serce mówiąc
z tobą. Obetrę łzy i pójdę jak zwykle kręcić się po domu,
czytać i t. d.

A mnie zawsze coś goni. Zawsze mi się zdaje, że ja
z memi sierotami niedługo, że nie będę miała czasu poksztal-
cić trochę te duszki dla Boga i dla bliźnich, że gdzieś wyjadę,
czy nie wiem już co? Tylko nie myśl, że mam przecucie
śmierci. Gdzie tam? Nigdy. Tylko wyrzucenia gdzieś na świat
szeroki, tylko boleści inszych, niż te co były. Stań się wolo
święta! Kiciu, przepraszam za ten list. Inszego bym dziś nie
potrafiła napisać. Jak cię kocham, zwykle się nie smucę, ani
wesele. At sobie chodzę do niczego stworzenie.

Irenka ¹⁾ już z łóżka nie wstaje. Jeśli widziałaś Sewerkę
przed śmiercią, możesz ją sobie wystawić. Opuściły ją siły,
blada, cicha, nieruchomie leży. Może jeszcze, mówi Trütfehl,
kilka tygodni pociągnąć, ale też i za kilka dni ręczyć nie mo-
żna, to już od woli Bożej; jedno wiedzieć można tylko to, że
już nie wstanie. Czuje brak życia w sobie, modli się, spo-
wiada często, wczoraj prosiła o olej święty i jutro ksiądz
przyjedzie. Och! moja Kostuniu, jaka ona szczęśliwa! Nigdy
wielkiego grzechu, nigdy też wielkiej męki ni na duszy ni na
ciele. Święta jej matka uprosiła jej to w niebie. Zerwaną bę-
dzie jak lilia i do stóp Chrystusowych rzucona. Och! ja jej
nie zazdroszczę, nie zazdroszczę, uchowaj Boże! ja, któram
nawet wiedzieć o takim szczęściu niegodna; tylko, Kiciu, po-
plakać troszkę, wszak wolno? Tylko z uczucia nędzy i odda-
lenia od Pana

Nisia.

¹⁾ Irena Żurakowska, wychowanka pani Iwanowskiej, śliczna i rozu-
mna dziewczyna; w tańcu rozegrzana, wybiegła na werandę żeby się ochło-
dzić, przebiegła się i dostała suchot, z których wkrótce umarła.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

27 października 1846.

Kostuniu moja . . .

Gdzie się ty myślisz na zimę ugnieździć? Co robią kochani? ¹⁾ Niech z niczem się nie spieszą, a patrzą w górę, gdzie wola Pańska? Niech na zwłoki się nie niecierpliwią. Niech wielkich na życie całe postanowień w chwili namiętności nie robią. Niech pokorę, cierpliwość i cichość w wielkiej mają cenie. Niech pokój co na pokorze i wytrwaniu się opiera wyższym sądzą od uniesień nawet najcudniejszych i najwyższych. Niech zamiłowania w miotaniach ducha pilnie się strzegą, bo jakkolwiek burza uczuć piękna ludzkim oczom, Bóg mieszka tam gdzie pokój. Niech na pokój w sobie i w koło siebie pracują bezustannie. Niech ustalają go teraz i na przyszłość. Niech się uchylają od wszystkiego co się go obiecywać nie zdaje, bo szczęście czy dobro jakiekolwiek bez pokoju, to marna uluda na zgubę, a piękność bez pokoju, to pokusa, umajony brzeg przepaści. Bo piękność, która sąd sumienia wytrzyma, spokojna jest i poważna, bo wielki początek swój z Boga, cicha i pokorna, bo czuje nieistnienie swoje bez twórczej łaski Jego i choć najwyżżej leci, wznosi się nie trzępiąc skrzydłami, bo ku jednemu celowi wprost ostrzem dąży, niosąc ze sobą i w zebraniu ducha siebie Panu ofiarą, mówiąc mu: weź, Panie, co twoje, a zniszcz co mego we mnie, boś wielki we mnie jak we wszelkiem stworzeniu twojem, a jam nicość grzeszna — i wraca spokojna na nicość jej rodzimej należy padoł i dobra i poufała obcuje z prochem jak z bratem. Cierpienie jak ojca co niby karci, a tajemnie darzy słodko, przyjemnie i nie targuje się nań nigdy, aż wejrzenie

¹⁾ Józef i Bohdan Zalescy.

Boże znów ją ku sobie pociągnie i znów się wzniesie w niebiosy, na chwilę, bośmy tu na pracę, nie na szczęście.

Kochani, pokój wam w Panu, pokój i cierpliwość. Nie chwytajcie sercem przyszłości waszej ziemskiej, nie pragnijcie dni, które nie są i rzeczy, które się jeszcze nie stały. Przyjdą w swym czasie, a nikt z nas nie wie, ile ziszczonych nadziei przyniosą, łaska i siła na przyszłość w teraźniejszości. Nie wybiegajcie naprzeciw przyszłości. Czekać na nią raczej, strojąc się w szaty białe jasne. A pod niemi niech będzie zbroja, mądrość cierpliwości i wyrzeczenia. Uzbrojcie też oko wasze w światło, aby prawdę serc przejrzało, a uluda nie usiadła koło was jako piękność, a niknąc nie zostawiła na długo, może na zawsze, zamieszania i smutku. Patrzcie, iż uluda nie zawsze obłuda, że może być tylko w sercu waszem, nie w sercu bliźnich, a niemniej dlatego bolesna i szkodliwa. Patrzcie, iż nie wszystko co dobre, dobrem jest dla każdego, nie wszystko co piękne szczęście przynosi, bo różne są rodzaje duchów i różne ich stosunki i biada kto się na nich pomyli i wbrew przeznaczeniu ich pójdzie. Kochani, surowe to może smutne prawdy. Nie wiem skąd mi pod pióro przyszły po wielkim płaczu wobec nędzy mojej, nicości i grzechów, które mi dobroć Kostuni przypomniała. Kiedy napisane, niech do was pójdą. Może to ze zrządzenia Bożego. Jedno wiem to, że was kocham. Bóg z wami i z tobą, Kostuniu moja. Tulę was tam wszystkich kochanych, znanych, oczom ciała i znanych oczom ducha tylko. Bądźcie mi błogosławieni teraz i zawsze wasza

Nisia.

Do pani Konstancyi Rzewuskiej.

Z domu, 5 listopada 1846.

Najmilsza moja, karteczkę, którą przy tym liście znajdziesz, odeszlij zaraz. Niech nie myśli¹⁾, że mu na błogosławieństwach zbywa. Ledwie wiem com mu napisała, bo mi lży oschnąć nie chcą, ile razy wspomnę o nim. Nie dlatego, abym, uchowaj Boże, niedowierzała sercu Zosi²⁾ i dlatego o przyszłość jego się bała. Ależ życie ukrytych kolców ma tyle. Spojrzeć przed siebie dreszcz. A on już tyle wycierpiał. Jeśli ona dobrze zna anielską piękność tej duszy i nietylko nie zraża się teraz, ale czuje, iż nigdy ją nie zrażą narowy samotnika, jeśli on ją kocha, ale ją samą, nie ideał wymarzony, jeśli się niedoskonałości spodziewa, a jak się w pożyciu okażą, nie wyziębi, nie zmartwieje niemi, nie będzie je do serca jak coraz nowe urazy przyjmował. Ach! jeśli kochać będzie tak jak my tylko, kobiety, umiemy cierpliwie a wiecznie, pomimo wszelkich boleści, będzie mu raj na ziemi. Módlmy się, módlmy o dar takiej miłości dla nich. Niech on już sam nie będzie. Niech mu już tęsknota utuli się w sercu. Wytlómacz Zosi, że ona już nasza, jakby z nami wzrosła, postaraj się o portrecik jej dla nas. Boże, Boże, Kiciu, kiedy kilka miesięcy temu dla różnych ważnych przyczyn musiałam przestać pisywać do niego, czy myślałam, że pierwsza kartka pójdzie z błogosławieństwem na życie nowe? Wie Bóg co robi. Jemu rodziny trzeba koniecznie, kogoś, coby pieścił i holił. On zamierał z osamotnienia i tęsknoty na pustyni swojej. Boże, daj Zosi niewyczerpane źródło miłości, bo na śmierć spragniony, a jeszcze przywykł z nami do tego życia sercem co nieustaje nigdy na chwilkę, jak uderzenia jego nie ustają. Moja, moja Kiciu, wszystko mi straszne dla niego, nawet co

¹⁾ Bohdan Zaleski.

²⁾ Zofia Rosengardt, narzeczona Bohdana.

zdaje się szczęściem, taki dotkliwy i zbolały. Ach! ale Bóg wielki i dobry, wejrzy na niego biednego. Gdyby ptakiem do nich polecieć! toż Józef musi być szczęśliwy, jak dziećmi musi się cieszyć. U nas kto się dowie, rzewnie i uroczyście wieść przyjmuję, błogosławią wszyscy serdecznie. Pisz, Kiciu, jak najwięcej, gdzie i jak się osiedlają? Czy odżył? Czy choć trochę rozjaśniło mu się czoło? Żadna matka nie głaskała, nie błogosławiła syna, jak ja mu błogosławię. Gdyby Bóg wysłuchał!

Mnóstwo, Kiciu, mam do ciebie interesów, ale dziś nie mam głowy do tego... Bóg z tobą, moja ty droga, kochana, pieśczętka tobie i utulenie twoja

Nisia.

Do Bohdana Zaleskiego.

Z domu, 5 listopada 1846.

Ze złożonemi rękami oto nad kartką dumam już dawno, kochany, w jakie słowa dość święte, dość tobie zrozumiałe, dość ku Bogu rozgłosne, wcielić błogosławieństwo co łzami z serca płynie. Co tylko zacznę, modlitwą się kończy. Kochany ty bracie mój rodzony, którego mi Bóg w nadmiarze łask swoich dał, jak żywe rodzinne źródło, na ochłodę, na ozdobę, na radość piękności twojej, ty, do którego serca tyle się lez naszych stoczyło i czeka tam na zmiłowanie Pańskie, od ciebie nie przyszło nam nic prócz miłości i więcej stokroć niż miłości nas, boś ukochał cośmy ukochali, bośmy się spotkali nie tylko w zrozumieniu wspólnem, ale wyżej, w miłości Tego co nad nami, niby w proroczym widzeniu pochwyceni, poznaliśmy się u stóp Chrystusowych, jak przystoi na dzieci Jego po miłości i dar nadziei od Niego ze czcią najukochańszemu nieśli.

Kochany, drogi, to szczęście, o któreś tyle dla nas mo-

dlił, coś mimo wiedzy nawet swojej, tyle na nas zlewał, niechże teraz na ciebie spłynie, niech miłość w Chrystusie zamieszka dom twój i błogosławieństwo pokoju niech spocznie na głowach waszych.

Kochany, och! teraz dopiero przystrój dom, wyszukaj kwiecica, bo gość święty zawitał ci z nieba. Niema w niem skazy, ni żalu, ni sromu. Rozraduj się całym sercem twojem. Małoż bo mało komu ziemskie szczęście Bóg łaską na niebo przemienia. Ty może sam jeszcze nie wiesz co to prawo kochania, prawo pracy na kogo, tej pracy dusznej co to niedoskonałość każdą poświęceniem własnym z taką rozkoszą okupia. Oby ci w tem szczęściu wszelka boleść znikła, jak może serce wie pewnie, że zniknąć może. Niech ci to szczęście nie w złudzeniu będzie, nie w marzeniu niepodobnych doskonałości, po którym zawód, najbardziej gorzka z goryczy, ale w rzeczywistości na ile piękna, a na ile zwykle po ziemsku mętna i nie anielska, w pewności niczem niezachwianej iż prędzej czy później ufna modlitwa obficie czerpie ze skarbów wszechmocności i wszystko uprosić może.

Kochany, powiedz wybranej twojej, a raczej powtórz coś pewnie mówił jej oddawna: że nieznana jej rodzina kocha ją jak swoją, przyjęła ją sercem jakby ją wychowywała wśród siebie, że jej równie jak tobie modlitwą i łzami błogosławi. Oto znak krzyża świętego zdaleka na głowach waszych składam w imieniu gniazdka naszego, w imieniu Ukrainy całej. Wszyscy modlić się za was będziem. Dzień szczęścia waszego, wielkież to i uroczyste święto dla nas. Boże was błogosław, błogosław, błogosław na sercu, na duszy, na wszystkim co was otacza, na wszystkich co was kochają, na wszystkich i wszystkim co wy kochacie. Ach błogosław, błogosław na rdzennych dumach serca waszego, tych głębokich łzami złanych, o których usta nie mówią. Bóg z wami, Bóg z wami na życie i na wieczność.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu, grudzień 1846.

Najmilsi, najdrożsi, trójlistku mój kochany. A widzicie, Bóg dobry, już wy nie dwie rosy kropelki. Zjawiała się wam trzecia, świeża, śliczna. Zachowaj wam ją Boże jak widomego anioła stróża, jak żyjący dowód, że jest niebo, którego wam ona oby część przyniosła. Nie całe wprawdzie, bo ziemia, choć jak ją opromienić, zawsze ziemią zostanie. Ależ dobrze choć i odrobinka. Moi wy, moi, czy to przeczucie, że wam zajaśniało w sercu, bo i mnie dziś weselej i piszę choć nie bardzo schylać się mogę. Dobrze, że do was trojga pierwszy raz piszę do Rzymu.

Kochani, kochani, czy wy pamiętacie, ile my się tam wymodlili? Pamiętacie St. Andrea della Frate? Czy jest jeszcze moja kochana Matka Boska w bocznym ołtarzu, co to ją z wielkim moim żalem na piękniejszy obraz zamienić miano? Ale pewnie nie tak spokojnie, jasno w serce patrzący jak ta postać biała, sama jedna spuszczaająca się z nieba z rękami pełnymi promieni dla nas biednych. Gdyby nietyle działań w domu, nietyle różnej wielkiej pracy, jakbym poleciała pomodlić się z wami. Daryusz od roku już pokusę ma nie-słuchaną, ale za fałdy trzymam jak mogę i on sam wie dobrze, że tam uradowanie, ale tu powinność. Najmilsi, odbądźcie za nas pielgrzymkę, zaczawszy od Scala Santa i słupa ubiczowania Pańskiego, aż do kościółka świętego Klemensa, w którym nie byłam nawet, tylko się przed nim zamkniętym w sam dzień wyjazdu pomodliłam z ojcem T... do tego patrona naszego, co nam Czarne Morze śmiercią swoją uświęcił. Obejdźcie wszystkie miejsca święte, gdzieśmy dopłakali tyle, za tak wielu. Zdaje mi się, że was widzę, kochani, czworo was i M... piąte, jak się suniecie po kościołach i willach, modląc na przemiany, to gawędząc, rzewną myślą zalatując do wszystkich kochanych znanych i nieznanym, i tych co

z nieba ramiona ku nam wyciągają i tych, co w czyściu ogniem winy swe zmywają i tych co po szerokiej ziemi wojują i płaczą rozpierzchnięci. I u nas często ona gości, do chatki wejdzie, to do którego z domów naszych takich ludnych, a takich cichych, to spojrzy na obszar stepu rodzinnego i lepsze dawno upłynione lata przypomni i mokro w powiekach. Oj! młodość, młodość! Nic dobrego. Sama wszystko przemarzy, starości nic nie zostawi. Wprawdzie zaradził Bóg temu; dał starości bliskość nieba i opromienił białe jej włosy światłem, które bije z napół otwartych dłań podwoi.

Czemuż nam tak żal zawsze za snem naszym dziecinym? Cóż ma młodość, czegoby jej starość zazdrościć mogła? Starość śpiwniejsza prawdą, niż młodość złudzeniem, potężniejsza wiedzą, niż młodość marzeniem; ozdobniejsza bliźnami, niż młodość niewypróbowanym zapalem i nadzieja jej cudowniejsza, bo wiele przetrwała. Czemuż więc, czemu za młodością tęskno? Młodość jak kwiat nie pożywi, nie ochłodzi, nie ocieni, nie obroni. Darem jej jest jej piękność i miłujem ją, bo nam jest prorocstwem przyszłego szczęścia w niebiesiech. Tam już próby ni pracy nie będzie i zabłyśniem wywalczoną świętością nie na pożytek, coby ziemskie przypominał nędze, ale na piękność i chwałę, tylko na ziemi kwiat i młodość na owoc wędnać muszą, w niebiesiech przeciwnie. Z gorzkiego owocu życia wiekuisty wystrzeli kwiat. Cieszymy się, kochani. Im dalej od prorocтва, tem bliżej do ziszczenia. Szczęśliwy, kto młodości swojej pożałować może. Ja mojej nie żałuję. Póki wieniec marzeń skrzył mi się na skroni, dziwne światła rzucając do koła, szli ludzie za mną, krok w kroku patrząc i podziwiając co jednak bardzo proste i zwyczajne było. Ale biedny świat tak przywykł do sztucznych i kłamliwych uczuć, iż od rzeczywistych jak od zjawiska oczu oderwać nie może. Paliło się długo, aż spaliło do ostatka i ze zgasłą ostatnią iskrą rozbiegli się ludzie, wszyscy, niektórzy wracali z podziwem i rękę przykładali sami nie wierząc, iż

popiół już zimny. Och! nie wiedzieli gdzie dotknąć, prawda, głowa już zimna, uludy już ni jednej i obłoki i widzenie gdzieś znikły, sam na sam z rzeczywistością jedne po drugich przyglądam dawno znane myśli i rzeczy, zapoznając się z niemi na nowo, od kiedy jak blask wieńca mego już nie oświeca i nowe już imiona nadając, zimne i twarde jak rzeczywistość zimna i twarda tym, którzy na nią z dołu jeszcze patrzą. To glina na przyszłą pracę. Serce, bo nie uluda.

Z marzeniem nie rozwija się miłość tylko szczęście. Ale szczęście, to rzecz podrzędna i bez niego pokornie, pospolicie przypaść można na kolana i rękami niegdyś tak białemi, co się nigdy niczego nie tknęły, cierpliwie niezmordowanie misię tę glinę rzeczywistości, gorącym ją żywiąc technieniem, aż wzrośnie nowa latorośl w winnicy i nowym głosem pochwalon będzie Pan. Kochani, owej Nisi waszej dawnej, dawnej, ni śladu, że mi się ledwie wierzyć chce, żem ja ta sama. A jednak nie zwiędło w niej nic prócz tego, co nigdy na ziemi zakwitnąć w pełni nie może. Szczęście z uczucia, piękności własnej i braci i z jakiejś istoty światłej, powietrznej, ale na nic niezdatnej. Stałam się, kochani, prostą, dzienną wyrobnicą. Z zapomnieniem, ile tylko zdołam, wszystkiego na świecie kuję, a kuję bez przerwy, piękność, bo nie śmiem ja niegodna, powiedzieć świętość, świetność na ile ją biedna rozumieć zdołam. Cień jej tylko zapewne daleki.

Jeśli szczęście młodości mojej było tylko marzeniem, niechże się to marzenie rzeczywistością stanie, przynajmniej ile tylko duch mój sięgnąć może, ile wycierpieć zdolny nie tylko tu, ale i w przedniebnym, czyścowym świecie, bo inaczej szczęścia nam ani tu, ani w niebie, a co straszniejsze chwały Panu i miłości od nas nie będzie. I Bóg błogosławi, kochani. Wielu cichością, pokorą i gorącą wiarą obdarza. Wielu święte myśli zseła. Modlim się bardzo, niektórzy prawie ciągle.

2 stycznia 1847.

Dziś 2-go stycznia, pierwsze do was słówka tego roku. Niechże was przywitają pieszczotką, moi, moi, wy rodzeni, wy kochani, gronko moje śliczne a takie dziwne. Każde w niem ziarneczko inne, to z pazurkami na buzi, to niby jagódka kaliny, to dwie torenki z kolcami wewnątrz, żeby już kiedy mają ukłuć, lepiej siebie niż kogo, takie cnotliwe torenki! To znów straszny, och! jaki straszny mars. Nachmurzyło się ziarneczko. Ciom! pocałowała kalinka w same brewki. A kuku? A gdzie mars? To czary, uciekaj. Gdzie tam uciekać. Złapali wietrznika, choć jak w burzę się zwił, patrzcie już i zdmuchnięty. Niema marsa, niema. Zaklęli nieboraka w uśmieszek i pokutować musi za dawne przestępstwa długie lata. Jeszcze mu urąga kalinka psotnica. Coraz zajrzy blisko, prosto w oczki i jeszcze główkę do niego przekrzywi, nu, nu, nu. Ach gnębi jego, gnębi, aż mnie miłosierdzie bierze. Ty kozaczko małe co tam w spodniczce biegasz, ty kapryśnico z rodu zawadziako z praojców, idź mi zaraz odczaruj marsa, żeby ten brat mój serdeczny, jak mu za jaskrawo kiedy na tym świecie będzie, w cieniu własnego czoła skrył się po dawnemu i podumał w cichości. Och! na co ja swawolę, kiedy wy może nie razem, może nie weseli. Ciężko, że dusza, więzień w tym ciełe, że was, kochani, wszystkich, ni widzieć, ni słyszeć, a nawet czasem i nie przeczuć. Co mi to Kicia wyrabia, że nie pisze. Widzę jak łapki do góry wznosi na niesprawiedliwość. Gdzież nie pisze! Otóż nie pisze, nie pisze — nie dość. Niedobra, nie milcia, nie pieszczoszka.

Jakże można, żebym ja dotąd nie wiedziała czy oni szczęśliwi czy nie i oczki duszki musiała darmo wypatrywać za niemi. Gdyby przynajmniej można jak Abraham dać domownikowi wielbłądy i posłać do swoich. Ach! jakiegobym ja wam posłała, najmilsii. Jeden z tych co dumki prześpiewywał, na serdeczniej bliższy głos, pamiętacie? przystał do gwiazdki, jakby się w niej urodził i kocha was, kocha, kocha, że na to

słów niema. Mówi, że nikt sercem w serce wasze nie wniknął jak on, że nikt was na świecie nie wie i nie rozumie jeno on, bo od dziecka kochał co wy i cierpiał jak wy. Niczego nie pragnie jak dobić się kiedyś do was, pewny, że go jak rodzonego przytulicie, bo on kość z kości waszej i że mu słodko u was, cicho i radośnie jak w rodzinnem gniazdku będzie. Polecam go wam, kochani. Jeśli się kiedy spotkacie na świecie, przyjmijcie jak swego pocałowaniem i lżą, bo przebolał na wskrós, a kochać nie zapomniał. Imię niech Kicia wam powie.

Do gniazdka mnóstwo się teraz ptasząt zlatuje różnych a różnych, i nie dziw, Junka szesnasty roczek bieży.

Chciałabym wam portrecik jej przysłać, ale o malarza u nas tak trudno. Nieładna z twarzy, tylko oczy czarne, śliczne, wesołości w wyrazie ni trochę. Słuszna jak ja, smukła, giętka i coś bardzo szlachetnego w postawie. Objęcie ma wielkie, ogromnie wiele wiadomości na swój wiek, nie co do faktów pamięcią zebranych, ale co do wyobrażeń, które się w dziwacznej, poważnej ciszy jej duszy układają zawsze. Zdaje się, że zmysł ma osobny, aby wszystko pięknem widzieć i nie masz dla niej boleści, jak kiedy przez uszanowanie prawdy, przez wzgląd na powinności życia, które się w urojonym świecie wypełniać nie mogą, ktoś jej rzeczywistość tłómaczyć usiłuje. Ileż to boleści przejdzie przez tę duszę, nim wolę swoją nauczy się skruszyć, a ile jeszcze przejdzie, nim bez tej woli, bez siebie, niby po śmierci żyć się nauczy, ale żyć z pracą, z codziennym wysiłkiem skrzętnie ważąc siłę swoją, bo siła nie do niej należy i na pracę starczyć musi.

Mówię wam o gniazdku, ale od trzech miesięcy nikogo zeń nie widziałam. Nawet piszą niewiele. Mamcia gości bawi, koło dzieci się krązące.

Od powrotu z Odessy, żywego ducha z naszych nie widziałam, ani nawet cioci. Święta przepędziliśmy sami z do-

mownikami. Dzień po dniu równie cicho jakby jeden płynie, dawno już tak zupełnie osamotnieni nie byliśmy. Ale mnie tak lepiej stokroć. Nie lgnie świat do mnie, ani ja do świata.

Krewka i słaba niewiasta, rozumiem świat jeszcze, ale mnie świat już nie rozumie, bom go w starości wyprzedziła daleko. Tylko mi dziwno patrzeć na tęczę różnobarwną własnych ich urojeń, przez którą tak rajsco wydaje się im wszystko, a która już dla mnie kroplami łez tylko, samotnie mi z ludźmi bardzo i nie wiem jakimi słowami przemówić do tych, co żyją jeszcze jak ja kiedyś żyłam. Czy mówą ich złudzeń? Gorzka mi jak zawód i czemuś wstyd jej jak kłamstwa. Czy mówą wiedzy mojej? Boleśna jak ostrze u piersi i żal dobrej ich chwilki i mimowolnie oko moje idzie dalej i dalej po za te ściany, po za te światła, po za te gwary, patrzy wzdłuż i wszerz daleko na głód i chłód i ciemnotę, i przesyt boleści i inne światy ogniste i na niebiosach krzyż promienny i pokój tym, którzy łaknęli i pragnęli sprawiedliwości i zamykają się usta ze salonowymi słowami opowiadać nie mogę i czuję, żem obca między niemi, że i im dziwna i przykra ta postać, co się wśród nich jak z innego zabłąkała światu. Tych samych ludzi spotkaj u kolebki dzieci, u łóża chorego, zrozumiesz się z nimi, zleją się dusze, tylko po salonach każdy bliźniemu obcy, bo każdy rad zapomnieć prawdę życia swego, puszcza wodze miłości własnej, sam przed sobą rolę jakąś wygrywa i z największem natężeniem wyobraźni wierzyć jej się stara i żal ma do tego, co niewczesnem słowem z obalamucenia go budzi. Kochani, nie ostatecznyż to stopień nędzy, to kara Boża na tych, co szczęścia w życiu tylko dla siebie i nie w świętości, ale w użyciu szukają.

Przychodzą po list, przerywam go więc, reszta gawędki na trochę później. Kochani, bądźcie mi zdrowi, spokojni, błogosławieni. Ogarniam was sercem wszystkich i was z dzie-

ciństwa kochanych i nowo od Boga danych. Przytulcie i pokochajcie i nas.

Ciom was w czołka każde z osobna. Bóg z wami, Bóg z wami.

Nisia.

Do Józefa i Bohdana Zaleskich.

Z domu, 20 stycznia 1847.

Moi, moi, własni, rodzeni, jednym skokiem ja przy was. Na złość czarnej, ciężkiej, brzydkiej ziemi co się między nami rozpościera jakby nie wiedziała, że my się kochamy. Ale jak kochamy? Jak się jej ani śniło. Moi wy, moi, jakże to dobrze, że was Bóg stworzył, jakże mi rozkosznie z wami, a jak to jeszcze będzie, kiedy ciało nie pokutnicze już, nie więzione niemocą, ale wolne będzie i lotne jak ptaszek. Powiem jemu: prędko do kochanych. A ono leci, leci przez światy i przestrzenie i duszkę moją niesie, w mig aż do was i nuż pieścić na zabój. Proszę mi się do owego czasu ślicznie pieścić nauczyć, ale to expedyte. A tymczasem wiernego czekam sprawozdania z postępów i to karteczek nie chcę, one mi czemuś złe godziny przypominają; długich, wielkich listów chcę literkami zasypanych jak kiedyś. Jak mi bardzo tęskno za wami, to je odczytuję owe stare, kochane i zawsze, jak pierwszy raz, ze łzą w sercu i ja wam po dawnemu znów wszystko pisać będę. Wszystko co nie nadto boli, co kamieniem gdzieś w głąb nie zapada, żebyście nas niby w zwierciadle widzieli. Dziś na przykład jakże wam niepowiedzieć jak u nas ślicznie, błękitno, jasno, ciepło jak w kwietniu. Nisia siedzi i pisze w długim pokoju przed szklannymi drzwiami i straszne ma dystrakcyę, bo za niemi tysiące miliony ptaszków szarych, żółtych z czerwonymi piórkami w ogonku i różnych, różnych przylatuje do samego prawie szkła, skacze, dziobie ziarneczka

co tam dla nich zawsze rozsypane, kapie się w roztopionym śniegu na piasku i swawoli. Ale jak swawoli! Nisia je czasem straszy, łapką w szyby dzwoni, ale to nic nie pomaga. Nisia swoje, a ptaszki swoje i w domu nie większa karność. Z trzeciego pokoju słyhać jak na przepadle świergocą, choć Daryusz woła a woła: cicho tam dzieci i zwykle się tak dzieje, że nie dzieci, ale Daryusz wynosi się jak niepyszny. Albowiem ozdobiony jest tytułem generalnego arcyPieściciela wszystkich dzieci i obowiązki urzędu swego tak sumiennie spełnia, że rady czasem dać nie mogę. Tuż przy stole siedzi najdrobniejszego maczku cała garstka i zawzięcie pracuje. Stawiają się laski, krzywe wprowadzie, ale że to ochota choć mury nią łam, trzeba widzieć jak się to wszystko na śnieg wypuści, dopiero z ptaszkami w zawody. Na nieszczęście śniegu już niema, bo zima lekka tego roku. Za to rzeczki na dziedzińcu płyną, które przeskakiwać można, po kładkach różne figle wyrabiać. Szkoda tylko saneczek, w które to się tak doskonale wpręgać było, a teraz gdzieś w kącie nieużyte leżą. Ale te saneczki wielką tego roku były pokusą i powodem tragicznych różnych wypadków, ale smutne te dzieje lepiej w niepamięć puścić.

Z domu, marzec.

Dawno, już dawno do was nie pisałam.

Byłam w Kuryłówce, mnóstwo widziałam znajomych, mnóstwo młodzieży co się już niby z trawki na kłos wypuże i myślałam sobie, jakie też to żniwo kiedyś będzie? Oj! pustej trawki dużo, co to zieleni, a chleba z niej nie będzie. Ale Bóg wielki i lata jeszcze przed nią, tak mało czasem potrzeba, jednego tylko poważniejszego, tylko przytomniejszego wejrzenia na świat, jednej chwili leż, na wzbudzenie człowieka w bezimiennej istocie.

Słyszałam Liszta. Ogromna potęga jego muzyki. On tak

gra (nie mówię, uchwaj Boże, aby duchem miał z nim co wspólnego) ale on gra jak Don Juan myśleć musiał w przedostatnich chwilach życia swego. Wiedza, boleść, przesyt i namiętne usiłowanie wydarcia się z siebie, stąd szal i niby wieczna hulanka. Za nieskończonością jednak jak Don Juan już nie goni, ani nawet na ziemi. Szalone swoje życie, w którym próżn mu już tylko i nuda prowadzi jak z obowiązku, a obejść się bez niego możeby mu trudno. Ale ma czego Don Juan nigdy nie miał. Dziecię powiedziało, że to geniusz, który dobry jest i prawda, dobroć to grunt i podstawa tego ducha, któryby wysoko był poszedł, gdyby choć raz był przypomniał, że świat lepszy, nie w mgle prawdopodobieństwa, ale w prawdzie rzeczywistej jak myśl i miłość. Rozmawialiśmy nieraz długo. Ale nigdy nie mogłam przebić pancerza salonowości, dobrze robi, że się nim osłania, bo świat boli, jednak poznać go łatwo, bo czuje i gra, a samodzielnie myśli mało.

Z domu, 5 kwietnia 1847.

Kochani, nikt wam nie opowie co to się u nas przed kilku dniami działo. Przyszło razem aż dziewięć listów od.... W nich jeszcze, kochani, że oczkom swoim ledwie Nisia uwierzyła, tak z radości zadrżała, karteczki od was, od trójlistka i do Nisi. Wy już nie pamiętacie może, ile to lat minęło od takiego szczęścia, od kiedy to już Nisia, jeśli czasem zasłyszysz słówko od was, to zawsze do inszej jakiejś duszki, a Nisia zła paku nia, nic się z laty nie poprawiła. Zazdrośno i smutno jej było. Aż tu głoski wasze do Nisi, doprawdy do Nisi, i mile, słodkie jak w śnie rajskim, och jak zawsze od was. W mig cały dom zbiegł się do Nisi, daj i nam co z ich słówek, jedni proszą grzecznie, drudzy w łapki całują, Józia się przymila i w oczki zagląda, a Nisia nic niby nie słyszy, pierwszej sama wszystkie a wszystkie słówka do serca wybierała, wszystkie a wszystkie literki i kropki i znaczki pokochała i papierek także co je przyniósł z daleka prosto z pod wa-

szych rączek. Dopiero co było dla kogo, rozdała: błogosławieństwa, całunki komu w rączki, komu w nóżki, słówka z pod serca. C. . . , ten co to was tak kocha, myślałam, że wyrwie się z ciała i polecą do was jak posłyszal, że go jak brata czekacie. M. . . przeczytało się wszystko, innym choć po odrobinku o łasce Bożej na was i zrobiło się cicho między nami uroczysto. W łzach każda z nas pomodliła się gorąco dziękczyniąc za wszystko, i cały ten dzień było jakby w wielkie święto. Wy to nie wiecie, kochani, co to za strumień miłości płynie od was, co pochwyca z ciałem i unosi tam, gdzieśmy modlitwą i dążeniem zawsze i za życia razem. Was posłuchać, to zdaje się, że przeźrocystsza zasłona przyszłości i że bardziej po widomu schyla się ku nam z góry miłosierdzie.

Jedna tylko Zosia¹⁾ moja, Zosia młodsza, źle pisze do mnie. Ale nim jej to wymówię, niech popieszczę duszkę, my się jeszcze w życiu nie napięścili, Zosiu. Chodź więc tu blisko, bliżusieńko usiądź koło mnie. Niech cię obejmę, przytulę, podziękuję tobie za Bohdana, że ty dla niego pocieszeniem, ukojeniem, że ty pięknnością ducha twego błogosławisz jemu i błogosławić będziesz po wszystkie jego dnie i od złego obroń i łaskę Pana na niego ściągnąć. Dziękuję tobie, że brat mój na tobie się oparł i spoczął. Dziękuję tobie za mnie także, że ty mnie na wiarę dobrego serca twego od razu przyjęła za siostrę. Chociaż, jak ciebie kocham, ja wcale nie taka jaką kochani ci mówią. Oni mnie widzą przez miłość swoją i przez cnotę jak przez podwójne śliczne światło i w tym blasku wydają się im czysta, biała, świetna. Ale nie wierz temu, Zosio. Bóg jeden widzi, ile brzydoty pod tą anielską powłoką i dlatego tak boleśnie kiedy mnie kto dla dobra kocha, które niby we mnie. Niech raczej kocha pomimo ułomności i grzechu na siłę dźwigania. Dlatego słowa twoje, Zosiu, uderzyły jak zgry-

¹⁾ Żona Bohdana Zaleskiego.

zota sumienia. Nie przez pokorę, ale wprawdzie ci mówię. Zosiu, siostró moja, nie pisz i nie myśl nigdy tak o mnie, ja tobie powiem co to Nisia. Nisia wprawdzie kocha i całe życie kocha i musi kochać, choć nie chce, bo już ją tak Pan Bóg stworzył, ale że przytem pyszna, niecierpliwa i wielogrzechami zła, miłość jej zawsze jałowa. Nic nigdy nikomu dobrego przynieść to nie umie, to nie może i jest jak groszek posiany w pełni księżyca, kwitnie do jesieni, ale ziarnka nie daje ni jednego. Oto już, Zosiu, jesień moja przyszła, a owoców życia niema, ani nawet nadziei na niego. Ale pracuje się ślepą wiarą, z posłuszeństwem, z jakiegoś czucia wewnętrznego, co budzi i podnieca co chwila, że pracy na gwałt potrzeba i drugiego jeszcze czucia co ciągle szepce: Zmarnowałaś młodość, nie trać czasu, bo go już niewiele. Niedosć czystymi rękami pracuję i praca moja niegodną jest błogosławieństwa Bożego, ani pochwały ludzkiej, ale że tej pracy wielu potrzebuje, ufam w cud, iż nawet Bóg im w pokarm pożywny zamieni. A na mnie kiedyś wejrzy i przetworzy w miłosierdziu swoim? Czy dobrze, Zosiu? Prawda, że ty już nigdy sprawiedliwości Bożej na biedną głowę moją niezasłużoną pochwałą nie wyzwiesz? Nie, już nigdy, bo ty do mojej gwiazdki dorzucony promyk, kochać mnie będziesz, nie gniewaj się na mnie i niech żal tobie nie będzie, lepiej wiedzieć prawdę, choć złą, niż odczarować się kiedyś na tym czy na tamtym świecie. Niech ciebie Bohdan pogłaszcze, pocieszy, że na tym świecie nie wszystko piękne jak się nam roi za młodu i Nisia nie piękna, ale może kiedyś, jeśli się Bóg zmiłuje, będzie piękną po zmartwychwstaniu, kiedy się wszyscy, wszyscy kochani złączym. Zosia o spotkaniu na ziemi mówi. Gdybyś ty bardzo chciała, alboż to tylko idzie o chęć. Czy wierzycie, że Daryusz od niepamiętnych czasów napiera się w tamte strony, a Nisia okrutnem sercem nieprzełamany opór stawia, bo nie można, nie można jeszcze, kochani, nie można wszystkiego porzucić, kiedy mamcia i wszyscy bliscy po świecie, bo wiecie,

że mamcia na dobre się wybiera. A któż tymczasem domu i czeladki pilnować będzie? A jeśli Bóg zdrowie da i życie, gdziebyśmy do was, na spoczynek sercom, nie dobili się kiedyś. Wszak wy rodzeni, jeszcze was nigdy w trójlistku nie oglądała. Ślicznie wam być musi młodym pod macierzyńskim skrzydłem Józefa. Co wy szukacie, kto się za was modli, że Bóg pokojem i obfitością dobrego czucia błogosławi. Wszak Józef przy was. Małoż on modli pokorą, modli wyrzeczeniem, modli gotowością na wszelkie ofiary. Józefie mój, kolana twoje ze łzami całuję, ja twoje dziecko. Ale ci nie mówię, wstaw się za mnie do Pana, bo ja wiem, że Mu o mnie co rana mówisz i co wieczór, o drugie twoje dziecko czemu ty się tak niepokoisz? Nie wiem skąd ci zawsze złe wieści zalatują, powiększone, jakieś straszne? Wszak wiesz, że w niebie czuwa Bóg nad sierotą, a na ziemi dobra, ucziwa i wcale niepobłażająca dusza. Gdyby istotnie tyle złego było co ty sobie wystawiasz, nie robiłby i przed nami tajemnicy. Ma on wędzidło w pracy.

Dzięki wam za wieści o Pawle i innych. Posiadaż on dość rdzeni, aby z świata fantasmagoryi zstąpił do prawdy serca swego i już nudno mu w niej było, dość rozumu, aby nicość pomysłów swoich poznał wobec pomysłu Bożego kościoła! Będzież on dość wielkim, aby w pokorze ducha wrócił na drogę prostoty i posłuszeństwa, dość pojętym, aby w niej wytrwał? Czemu by nie? Mnoży Pan cuda teraz. Oby nawrócenie jego oświeciło tych, którym zgorszenie przyniosł. A jest ich wiele, bardzo wiele. Ogółu nauki jego nikt nie przyjął, bo nawet mało kto wierzył, iżby naprawdę ją głosił. Ale śpiewem dwuznacznej swej mowy, która niby w zachwycie miłości bluźni pobożnymi słowy struła u wielu prostotę wiary. Dotąd mieliśmy niewierzących zgola, to jest usiłujących nie słyszeć głosu sumienia i wmawiających sobie gwoźli namiętnościom, iż niewierzą, lecz którzy pokoju znaleźć nie mogli. Była więc na nich nadzieja. Mieliśmy ogół wierzący, który

jednak wiary do życia nie stosował, lecz wiedział, że złe czynił i także pokoju nie miał. Była więc i na nich nadzieja, teraz nauczyły się tysiące, iż można niby dobrym być katolikiem, a spokojnem sumieniem przez cnotę, nawet powstawać na kościół, tłumaczyć nauki jego dowolnie, rozwijać ją, niby to jest przekształcać i niszczyć, wierzyć w co nie naucza, spodziewać się, czego on na ziemi nie obiecuje, światło mieć nie z jego ogniska, siłę nie z jego daru, miłość nie z jego uczestnictwa. Oswoiły z myślą, iż można być świętym bez pokory i posłuszeństwa, gdyż zapal ku wielkim rzeczom uprawnia wszystko, iż dziecięciu matkę sądzić wolno i rękę nad nią podnieść już zbrodnią nie jest, ale gorliwością. Spokojni, bezpieczni, okrywając się przed własnem sumieniem płaszczykiem jedności imienia i jedności wyrażen kilku dogmatów, rozsypali się w tłómaczeniu ich na tysiące jednostek i tak z obrazą Bożą przybył nam jeszcze nowy żywioł rozprzeżenia. I cóż dziwnego? Prawdzie jest tylko dano jednoczyć w duchu, dlatego kościół nasz jeden na całej kuli ziemskiej zupełną jest jednością. Błąd nie jednoczy, bo z nicości jest. Pokory tak głębokiej, iżby cały rozum swój na zawsze poddał ślepej wierze w słowa bliźniego, nie otrzyma nigdy człowiek od człowieka, choćby się i natchnionym mienił, bo ta pokora to dań nasza Bogu, jedynie Bogu zawarowana w kościele od wszystkich postępów ludzkich i wszelkiego omylenia. Nikt długo nie uzna nad sobą prawa, którem mistrz jego nie czuł się związany, ani długo uszanuje jako świętość słowa nieposłanego, przyjmuje je, lecz prawem równości z mistrzem, który posłannictwo swoje także sam w sobie zaczerpnął, zastąpi wkrótce swoim własnem i staje się, iż ile piersi, tyle serc różnych, tyle dążeń na wsze strony rozstrzelonych i z narodu motłoch. Wiare, a przez nią jedność, a przez nią życie, siłę i przyszłość na ziemi i w niebie daje tylko Bóg przez kościół, którzy na cuda go wyzywają niech się temu wiecznie

trwającemu cudowi przypatrzą i niech ręce załamią na śmierć, którą z takim zapalem rozsuwają między swoich.

Kochani moi, oniż serce mają przecie. Niech serce ich oświeci, jeśli nie widzą, niech przeczują tę straszną karę Bożą, iż zabijają mieczem, którym zbawić chcieli, bo miecz ten ognisty do kościoła należy. Biada niepoświęconej ręce, która go dotknie, biada sprawie ziemskiej, dla której podnieść się go ośmieli. Słowo Boże to nie igraszka ludzkiej woli, to nie narzędzie ziemskiej chwały ani ziemskiego szczęścia, to szczęście dane będzie nadmiarem, ale tylko nadmiarem. A kupować je sobie zań, ważyć na szalę tego szczęścia i wedle niego przekształcać za świętokruczą myślą, och! to nadmiaru nie będzie, bo nie świętość tam, ale zbrodnia i przekleństwo. Wybaczcie co ja wam tu piszę, boliż bo serce patrzac, ilu pije szaleństwo w pragnieniu życia i prawdy, kochani, ja zawsze to samo mówię, już nim list otworzycie, zapewne co do słowa wiecie, co w nim będzie, bo, kochani, jam tylko dzwon na oznajmienie że przyszedł czas modlitwy.

Ktoby myślał, iż cały mistycyzm Paweł doprowadzi jak wszelkie inne sektarstwo prosto do filozofowania, jednak wynikłość jasna, skoro sądzi kościół, rozum swój wznosi nad wiarę, a czy ten rozum w uniesieniach wyobraźni buja czy zatapia się w sobie, znamie jego jedno, świętokradztwo i owoc jeden i rozproszenie. Nikt nauki Pawła nie przyjął, każdy tylko sławiąc ją katolicką, szukał w niej upoważnienia do własnych rojeń, bo zdjęła święte jarzmo poszanowania kościoła i puściła na oślep w obszary wyobraźni i namiętności.

6 kwietnia.

Mamcia pojechała temu dni kilka.... Znów u nas cicho i tylko myśl podróżnych sięga. Czemu my nie wszyscy razem, kochani? Dante mówi, że niebo wielka róża biała wybranych, nad którą niezgłębiona jasność, Bóg. Czy poeta wyrazić chciał, iż tam wszystkie pamiętki ziemskie leż i szczęścia pochłonięte

w uczuciu miłości przytomnego Boga? Dzień każdy opada ogniem życia spalony, bo dzień skończoności pylinka, a życie potęga wieczności. Jednak radosną pamięcią zmartwychwstać musi nam każdy, bo inaczej nie zmartwychwstaliibyśmy cali, brakłoby wieńca promiennego, który duch w zapasach boleści, skończoności wydiera, brakłoby zasługi. Ziemia, jak dumka mówi, myślą naszą zbrana, miłością zasiana, łzami polana, na przyjęcie tu w czasie na kolanach, w pokorze ducha wiekuistej myśli i wiekuistej miłości. Czy ta ziemia kiedyś, kiedy gościnnością za gościnność płacąc wezwie nas Pan ku niebu, ze wszystkimi skarbami piersi naszych w ogniu pożartą zostanie? Och! nie. Co skończone, skończy się i zepsucie i brzydkość. A co miłości było i piękności pójdzie z nami, bo z Boga przecie było i do Boga wrócić musi. Wszystkie części kościoła, które ręce chrześcijańskie krwawo dźwigały w górę, zdobiły i strzegły, pójdą więc z nami do nieba. Każda pieśń Panu zaśpiewa pieśń miłości, a jednak pieśń własną do żadnej innej niepodobną, bo miłości inną pracą objawionej, inną boleścią stwierdzonej, aby Panu ni jednej chwały nam, ni jednego szczęścia nie brakło i wszystko jak gwiazdy w dzień białe w blasku miłości Bożej zatonie. Józefie, to słowo radości do ciebie, na otarcie łzy, która się może do oka cisnęła.

7 kwietnia.

Trzeba już wyprawiać te kartki, bądźcie mi zdrowi, kochani. W kolej niech idzie pieszczotka, naprzód Zosi, ona najmłodsza, jej pierwszeństwo we wszystkim. Zosiu, ty się nie gniewasz na mnie? Ty wierzysz, że ciebie Nisia kocha? Ty wiesz, że Nisi tak bardzo trzeba, żeby ty ją kochała, bo jakżeby Nisia mogła jednym ogniwdkiem właśnie najserdeczniejszym oderwaną być od kochanych? Zacząć by to było umierać sercem, ale Boże broń i myśl sama straszna jak z mora, idź precz. Zosieczko moja, niech ciebie Bóg ubłogosławi wszelką pięknnością i wszelką miłością. A ty Bohusiu, chodź, naprzód

ciebie ciom w czołko, a potem słuchaj: nie wolno się tobie chmurzyć, nie wolno dniami całymi milczeć, nie wolno na ludzi nie chcieć się patrzeć, nie wolno z ludźmi się nudzić, choć oni czasem nudni i, jak dziki człowiek uciekać, nie wolno żadnym sposobem chimerować, bo tobie Bóg Zosię dał. Co uchodziło na pustyni, teraz nie uchodzi, kiedy na tej pustyni aniołek. Aniołek kaprysów pewnie i nie widział nigdy, a jak zobaczy, to się jeszcze przestraszy i weźmie ciebie za tygrysiątko i coś z tego będzie? Bądźże także aniołek, dobry, miły, słodki, łagodny jak mój Daryusz, pochowaj ślicznie pazurki. Żebyś mi jej nie udrapnął ani razu, ani troszeczkę. A Zosia tobie pokaże kiedy się pazurki we środek schowają, jaka się śliczna robi krągła łapka.

A teraz pomóżcie Józefa upieścić. Do kolan twoich Nisia przypada i tuli się do nich, dziękując za miłość, dziękując za modlitwę i modląc także za ciebie. Boże zgarń nas wszystkich pod skrzydła twoje tam, gdzie tęsknoty już niema. Bóg z wami, trójlistku mój, niech was owieje błogosławieństwo Jego święte.

Nisia.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	1
Do Bohdana Zaleskiego	29
Do Józefa Zaleskiego	30
" " "	31
" " "	32
" " "	33
" " "	34
Do pani Felicji Iwanowskiej	39
" " "	44
Do Bohdana Zaleskiego	45
" " "	46
" " "	46
Do pani Felicji Iwanowskiej	51
Do Bohdana Zaleskiego	53
Do Józefa Zaleskiego	61
Do Bohdana Zaleskiego	63
" " "	64
Do Józefa i Bohdana Zaleskich	69
Do panny Maryi Sharp	71
Do Bohdana Zaleskiego	72
Do Józefa i Bohdana Zaleskich	73
Do Józefa Zaleskiego	74
Do Józefa i Bohdana Zaleskich	75
" " " " "	76
Do pani Felicji Iwanowskiej	79
Do Bohdana Zaleskiego	80
Do Józefa Zaleskiego	84
Do Bohdana Zaleskiego	88
" " "	



62634/1

— 258 —

	Str.
Do Józefa Zaleskiego	96
Do Bohdana Zaleskiego	100
Do Józefa i Bohdana Zaleskich	121
" " " " "	125
" " " " "	129
" " " " "	135
" " " " "	139
" " " " "	152
" " " " "	155
" " " " "	156
" " " " "	163
" " " " "	165
" " " " "	168
" " " " "	179
Do pani Konstancyi Rzewuskiej	179
Do Józefa i Bohdana Zaleskich	181
Do pani Konstancyi Rzewuskiej	184
" " " " "	184
" " " " "	186
" " " " "	188
" " " " "	189
Do Bohdana Zaleskiego	191
Do Józefa i Bohdana Zaleskich	196
Do pani Konstancyi Rzewuskiej	199
" " " " "	203
" " " " "	204
" " " " "	205
Do Józefa i Bohdana Zaleskich	215
Do pani Konstancyi Rzewuskiej	216
Do Józefa i Bohdana Zaleskich	221
" " " " "	229
Do pani Konstancyi Rzewuskiej	230
" " " " "	232
" " " " "	234
" " " " "	236
" " " " "	238
" " " " "	239
Do Bohdana Zaleskiego	241
Do Józefa i Bohdana Zaleskich	247
" " " " "	

